

Lynn Erickson

Nad Przepaścią

(On the edge)

Przekład Joanna Nałęcz

*Tapowi Richardsowi i Flintowi Smithowi
oraz wszystkim dzielnym alpinistom,
których znaleźliśmy;
tym którzy żyją i tym, którzy zginęli*

*Choraś, różo, bo owad
Niewidzialny, co leci
Nocą ciemną na przestrzał
Skroś wyjącej zamięci
Odkrył łożę twe, szkarłat
Uciech wonnych – i skrycie
Swą miłością tajemną
Niszczy, różo, twe życie.*

przekład Jerzy Pietrkiewicz

Prolog

Umarła w jego ramionach pięć po szóstej. Świeciło słońce, niebo było błękitne, łagodny jesienny wiatr chłodził mu spocone czoło. Miała po co żyć.

– Sprowadzisz mnie na dół – powtarzała mu, coraz słabsza, a on nie mógł jej zostawić. Nie mógł też znieść jej w tym stanie ze skalnego osuwiska. Nie miał komórki ani radia. Nawet gdyby jakimś cudem zauważył ich inny alpinista, dotarcie do telefonu w Maroon Lake zabrałoby mu dwie godziny.

Bridget nie miała dwóch godzin.

Nie przygotował się do tej wspinaczki jak należy. Zbyt wiele pozostawił przypadkowi.

To miała być zwykła jednodniowa wycieczka, spacer po parku. Dla niego, ale dla niej... Miała lęk wysokości, wiedział o tym. Wyrzuciła to z siebie na samym początku, zaraz kiedy się poznali i gdy powiedział jej, czym się zajmuje. „Więc jesteś tym Erikiem, o Boże, tym słynnym himalaistą! A ja mam taki straszny lęk wysokości!”

– Boli – szepnęła.

– Wiem, ale jesteś silna. Jeszcze tylko kilka minut. Zabiorę cię do szpitala, zanim się obejrzysz.

– Nie mogę oddychać. Sprowadzisz mnie na dół, prawda?

Była słaba, powietrze uciekało z jej płuc. Przynajmniej jedno z nich zostało przebite i dostała się do niego krew. Wiedział o tym, bo na jej ustach pokazała się krwawa piana, którą ocierał palcami. I wargami chcąc pocałunkami odegnąć śmierć.

– Tak, sprowadzę cię na dół. Nic nie mów, kochanie.

Kłamstwa, same kłamstwa.

– Obejmij mnie. Ledwo dosłyszał jej szept.

Nigdy dotąd nie wpadł w panikę, nawet na Everescie, kiedy jego ekipa zabłądziła w zadymce, ani na Aconcagui, ani na Eigerze, Kilimandżaro czy McKinley. Nawet wtedy, kiedy było tak zimno, że odsłonięta skóra reagowała odmrożeniem w ciągu kilku sekund, przy wietrze uderzającym w namioty z siłą wystrzału. Zawsze potrafił zachować zimną krew i wiedział, co robić. To była jego praca, jego powołanie, religia.

Ale tutaj, w jasnym słońcu Kolorado, na kamieniach polodowcowego osuwiska zaledwie kilkanaście kilometrów od Aspen, zupełnie stracił głowę. Bridget umierała – miała zmiażdżoną klatkę piersiową i krwotok wewnętrzny – a on nic nie

mógł zrobić.

Dla niego pokonała swój strach, zaczęła chodzić po górach, wybierając łatwiejsze trasy. Czy za bardzo na to nalegał? Czy zmusił ją do tego? Czy to wszystko – blada, obłana potem skóra, słaby oddech, oczy zwrócone na coś, co znajdowało się bardzo, bardzo daleko, ciężkie, bezwładne ciało w agonii – czy to wszystko było jego winą?

Czy byłaby tutaj, gdyby nie on? Chryste, nie.

– Erik – jej wargi prawie się nie poruszały. – Kochałam cię.

Kochałam? Czy ona wie, że to już koniec?

Była taka dzielna tego ranka. Zapowiadał się piękny, rześki jesienny dzień – wspaniała pogoda, doskonałe warunki. Wybrał South Maroon Peak, bo był łatwiejszy z dwóch Maroon Bells, choć miał ponad cztery tysiące trzysta metrów. Wspięli się po skałach na grzbiet góry i ruszyli na szczyt. Bridget była blada, ale pełna determinacji, a na szczycie radośnie podekscytowana. Czuł taką dumę, kiedy na nią patrzył. Śliczna, odważna Bridget. Ale wspinała się powoli. Wiedział, że wkrótce zapadnie wczesny jesienny zmierzch. Rozważył wszystko i podjął decyzję. By zaoszczędzić na czasie, zejść śnieżnym osuwiskiem, a nie grzbietem, którym prowadził łatwiejszy, ale dłuższy szlak. Miał w plecaku liny i haki. U szczytu osuwiska zamocowali haki i przywiązali czekany do nadgarstków.

– Idź za mną – powiedział. – Stawiaj stopy dokładnie tam, gdzie ja.

Dla niego było to proste jak schodzenie po schodach. Wbicie pięty, przeniesienie środka ciężkości ciała, wbicie drugiej pięty trochę niżej. Zbocze było nachylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Strome, ale bywało gorzej.

Powinien pamiętać, że większość wypadków zdarza się podczas zejść. Grawitacja to bezwzględny przeciwnik.

On robił wszystko automatycznie, odruchowo przyjmował właściwą postawę, utrzymując środek ciężkości w pewnym oddaleniu od zbocza, by stopy udźwignęły ciężar całego ciała. Ale dla Bridget było to coś nowego. Instynktownie starała się trzymać jak najbliżej skał.

Był wrzesień. W osuwisku leżał miękki śnieg, w którym woda złościła zbiegające się kanały. Haki zupełnie się w nim nie trzymały, musiał wbijać je między ostre skałki czekaniem. Pokazał Bridget, jak się to robi.

Pamiętał, że zaczął się niemiłosiernie pocić. Przygrzewało gorące popołudniowe słońce. Pot zalewał mu oczy. Zabawne, zupełnie inaczej niż zazwyczaj, myślał. Wtedy odpadła od ściany.

Potem zrozumiał, co się stało. Haki Bridget puściły i straciła oparcie pod

stopami. Usłyszał tylko cichy, zduszony krzyk strachu, a w następnej sekundzie runęła w dół, omal nie pociągając go za sobą. W pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje. Potem krzyknął:

– Wbij się! Wbij się!

Próbowała, tak jak ją tego uczył, przewrócić się na brzuch i zatrzymać na czekaniu, ale przekręcając się nieumiejętnie, zaczepiła hakiem o skałę i runęła głową w dół – sto pięćdziesiąt metrów pokrytego śliskim śniegiem urwiska. Tak szybko, tak niewiarygodnie szybko.

Usłyszał jej przerażony krzyk:

– Erik!

Jeszcze zanim się zatrzymała, zaczął schodzić, zdecydowanie zbyt szybko, ryzykując własnym życiem. Nadzieja walczyła w jego umyśle z wiedzą i doświadczeniem. Błyskawicznie rozważał wszystkie możliwości. Telefon? Nie ma telefonu. Inni alpiniści? Wszyscy zdążyli już zejść, byli w drodze do domów.

Była już daleko w dole, ale nadal się zsuwała. W pewnej chwili ogarnął go zimny strach, zdołał go jednak stłumić.

Boże, Boże, jasna cholera. Dyszał ciężko, raz omal sam nie spadł, tylko instynkt go uratował.

Dotarł do niej w końcu i od razu zrozumiał, że jest bardzo źle. Zjechała na sam dół osuwiska i trafiła na nagie skały. Spadła na nie z taką prędkością, iż zakrawało na cud, że była przytomna. Nie uderzyła głową, ale klatką piersiową. Złamane żebra przebiły płuca, które szybko wypełniały się krwią, uniemożliwiając oddychanie. A on nie mógł nic zrobić, tylko tulić ją do siebie, ocierać krew z jej ust. I kłamać.

Patrzył bezsilnie, jak wydawała ostatnie tchnienie, i przyciskał ją do piersi jeszcze długo po tym, jak umarła.

Słońce schowało się za grzbiet góry. Erik wstał, podniósł martwe, bezwładne ciało i ruszył przed siebie. Powrót zabrał mu wiele godzin, ciało Bridget z każdą chwilą stawało się coraz cięższe. Nie zatrzymał się jednak.

Patrzył prosto przed siebie. Nikt nie domyśliłby się, co kryją te bystre niebieskie oczy. Patrzył w przyszłość, tak jak robili to jego przodkowie, gdy stali na dziobach swoich łodzi. Z niezachwianą pewnością widział swój los.

Rozdział 1

Meredith Greene bardzo wyraźnie pamiętała chwilę, kiedy Bridget Lawrence pierwszy raz weszła do jej gabinetu. Wtedy o tym nie wiedziała, ale później, kiedy wydarzyła się ta tragedia, zdała sobie sprawę, że wizyta Bridget nadała jej życiu nowy kierunek. Nie los. Nie, bo to ona sama, kierując się wolną wolą, pchnęła przyszłość w dół tego stromego zbocza. Aż w końcu dała się ponieść lawinie.

To był typowy czerwcowy dzień w Aspen. Wspaniały letni poranek. Niebo lśniło szafirem, tylko kilka białych obłoków zawisło wdzięcznie nad Independence Pass po drugiej stronie doliny. Dopiero po południu zebrało się więcej chmur, zwiastując deszcz.

Telefon Bridget nie był niczym niezwykłym. Jako psycholog Meredith zajmowała się pacjentami cierpiącymi na różne fobie, wykorzystując wiele rodzajów technik terapeutycznych. Ale w głosie młodej kobiety usłyszała coś, co wzbudziło jej ciekawość. Na ogół nowi pacjenci byli bardzo czujni, często zachowywali się defensywnie, jakby w ich życiu nie istniał żaden prawdziwy problem, mimo że szukali pomocy specjalisty. Ale głos Bridget był zdecydowany i pełen nadziei.

Gabinet Meredith znajdował się w jednym ze starszych budynków przy Main Street, tuż przy kinie. Wolałaby co prawda przyjmować na parterze i mieć wejście wprost z ulicy, ale przy czynszu wynoszącym średnio dwa tysiące dolarów za metr kwadratowy było to marzenie ściętej głowy. Pomalowała wnętrze na jasne, pastelowe kolory, postawiła rośliny w doniczkach i powiesiła na ścianach plakaty z górskimi widokami. Lokal składał się z dwóch pomieszczeń, poczekalni i gabinetu, w którym pacjenci zwierzali się jej ze swoich problemów, tajemnic i lęków. Nie było jej stać na recepcjonistkę, funkcję tę spełniała automatyczna sekretarka.

Bridget przyszła punktualnie o trzeciej po południu. Była trochę młodsza od Meredith, mogła mieć jakieś dwadzieścia siedem lub osiem lat. Ładna dziewczyna, zgrabna i wysportowana, ciemnowłosa, o delikatnych rysach twarzy.

Meredith podała jej formularze do wypełnienia i zrobiła kopię karty ubezpieczeniowej, po czym zaprosiła dziewczynę do gabinetu.

– A teraz – zwróciła się do swojej nowej pacjentki – powiedz mi, jak mogę ci pomóc.

Młoda kobieta pochyliła się lekko do przodu i spojrzała Meredith w oczy.

– Mam lęk wysokości – powiedziała. – Chciałabym, żebyś pomogła mi go pokonać.

Lęk wysokości. Akrofobia. Dość częsty problem.

– Czy jest jakiś szczególny powód? – spytała Meredith. – To znaczy, mnóstwo ludzi ma lęk wysokości, co w niczym im specjalnie nie przeszkadza.

– Tak – odparła Bridget. – Mam bardzo ważny powód.

Meredith czekała.

Bridget zamknęła oczy, jakby podejmowała bardzo istotną decyzję.

– Poznałam mężczyznę. Kochamy się. Nigdy dotąd niczego takiego nie przeżyłam. Myślę, że to ten jedyny.

– Tak... ?

Bridget westchnęła głęboko.

– On jest alpinistą.

Aha. Było ich w Aspen na pęczki.

– W porządku Bridget, chyba wiem, do czego zmierzasz.

– To nie tak, że on się po prostu wspina. Jest sławny. To Erik Amundsson. – Spojrzała na Meredith wyczekująco.

– Tak, słyszałam o nim.

Wszyscy o nim słyszeli.

– I on chce, żebyśmy wspinała się razem z nim. Aleja się boję, Boże, to okropne. Umieram ze strachu, nawet kiedy mam wsiąść na krzeselko wyciągu narciarskiego. Serce mi wali jak młotem, mam sucho w ustach, kręci mi się w głowie i nie mogę złapać oddechu. Czasami mam ochotę zeskoczyć, żeby skończyć ten koszmar. Ale on tak bardzo kocha góry...

– Bridget, czy on wie, że tu jesteś?

Dziewczyna poważnie kiwnęła głową.

– Uważa, że to doskonały pomysł. Spojrzała na Meredith ciemnymi oczami. – Możesz mi pomóc? Szybko, jeszcze przed końcem lata?

Dobry Boże.

– Cóż, oczywiście mogę spróbować ci pomóc, ale fobie tego typu niełatwo poddają się terapii i nie mogę zagwarantować, że jeszcze przed końcem lata pokonasz swój lęk.

– Muszę go pokonać.

– Dlaczego, Bridget? Myślisz, że twój chłopak odejdzie od ciebie, jeśli nie zaczniesz się z nim wspinać?

Ogarnął ją zupełnie nieprofesjonalny gniew. Znała ten typ mężczyzn, nieustraszonych macho, którzy egoistycznie narażali swoje kobiety na niebezpieczeństwo.

– O nie, Erik nie zostawiłby mnie, nawet gdybym nigdy nie wyszła w góry. On mnie kocha. Ale tak wspaniale byłoby wspinać się razem, nie rozumiesz? Wtedy moglibyśmy dzielić ze sobą wszystko.

Meredith przez chwilę siedziała w milczeniu.

– Czy on cię zmusza do podjęcia terapii?

– Nie, nie, to nie tak. To był mój pomysł.

Meredith pamiętała dzień ze wszystkimi szczegółami, które wyrwały się w jej umyśle. Kiedy zamykała oczy, scena ta wracała do niej tak wyraźnie, jakby działa się tu i teraz, ciągle od nowa, bez końca.

Chłodny wiatr poruszył drewnianą żaluzję wiszącą w oknie gabinetu, powietrze pachniało świeżą zielenią i nadciągającym deszczem. Gdzieś w oddali rozległ się klakson samochodu. W pokoju pociemniało, słońce skryło się za zbierającymi się nad doliną chmurami.

– To był mój pomysł – powtórzyła Bridget. – Tylko mój.

Daleki pomruk grzmotu odbił się echem od gór, żaluzje zagrzechotały, uderzone silniejszym podmuchem wiatru. Ile razy jeszcze tego lata Meredith powtarzała sobie to pytanie: Czyj, tak naprawdę, był to pomysł?

Na zawsze zapamięta ten wspaniały dzień u progu lata, kiedy Bridget pierwszy raz weszła do jej gabinetu. Dzień, kiedy ważyły się ich losy.

Teraz był początek września. Drzewa dopiero zaczęły nabierać barw jesieni, niebo jaśniało błękitem, szczyty gór lśniły w dali bielą pierwszego śniegu. W południe było ciepło, ale po zmroku nadejdzie chłód, a rankiem trawę pokryje szron. Piękny dzień... doskonały na stypę na wolnym powietrzu.

Meredith postanowiła, że pójdzie. Sama nie bardzo wiedziała dlaczego. Smutek, poczucie winy, zawodowa ciekawość, wszystko to miało wpływ na jej decyzję. Nie musiała tego robić, ale uznała, że to konieczne. Potrzebowała jednak wsparcia, poprosiła więc przyjaciela, by jej towarzyszył. Tony Waterman, poczciwy jak zawsze, nie odmówił.

Park nad Roaring Fork River był pełen ludzi. Przyszło co najmniej dwieście osób, głównie młodych ludzi w codziennych strojach. Niektórzy mieli na sobie spodenki do jazdy na rowerze albo inne sportowe ubrania. Nakryte obrusami stoły uginały się pod ciężarem potraw. Każdy coś ze sobą przyniósł, choćby paczkę chipsów. Meredith upiekła ciasteczka. Płakała, wkładając je do piekarnika.

Na środku stała dziewczyna mniej więcej w wieku Bridget, trzymając w ręce bezprzewodowy mikrofon. Z początku Meredith nie słyszała jej słów, po chwili jednak tłum ucichł.

– Jesteście tu, ponieważ wszyscy kochaliście Bridget. Oddajecie jej hołd przez swoją obecność. Czy to nie wspaniale, że miała tylu przyjaciół? – głos jej się załamał.

Meredith poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Ścisnęła dłoń Tony'ego, on odpowiedział jej podobnym uściskiem. Jako psycholog musiała przyznać sama przed sobą, dlaczego czuje się tak wytrącona z równowagi, dlaczego nie potrafi zapanować nad emocjami. Wiedziała, co przechodzi terapeuta, którego pacjent popełnił samobójstwo.

Ale śmierć Bridget była dziełem przypadku. Wypadku. Tak jak śmierć matki Meredith.

Łza spłynęła jej po policzku, starła ją wierzchem dłoni. Nigdy dotąd nie była tak roztrzęsiona z powodu pacjenta. Co się z nią dzieje?

Dziewczyna znowu zaczęła coś mówić, ale Meredith jej nie słuchała. Rozmyślała, próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, co nią kieruje. Co kierowało Bridget. I Amundssonem.

Był tam. Stał przy dziewczynie z mikrofonem. Wysoki, smukły, dumnie uniósł jasną głowę, a jego twarz pozostała obojętna, jakby drwił z tej uroczystości.

Na litość boską, miała ochotę wybuchnąć, to wszystko twoja wina. Wypadek? To ty zabrałeś ją na tę górę, więc to tak, jakbyś ją zamordował.

Każdy, kto przez jakiś czas mieszkał w Aspen, znał kogoś, kto zginął w górach. Wiedziała o tym. Było to ryzyko, które podejmowali wszyscy, którzy chcieli się wspinać. Ale Bridget, Boże, ona nie była żadną alpinistką. Była tylko biedną młodą kobietą, która się zakochała i zrobiłaby wszystko, aby być ze swoim mężczyzną, nawet to, czego najbardziej się bała.

Ale najgorsze było to, że Meredith czuła, iż ona sama również mogła przyczynić się do śmierci Bridget. Ta świadomość dręczyła ją bezustannie, nie pozwalając zasnąć albo zsyłając na nią koszmary, w których spadała bez końca.

Tony objął ją ramieniem. Zdała sobie sprawę, że drży. Może mogła powstrzymać Bridget? Czy za bardzo ją zachęcała? Czy pozwoliła jej wierzyć, że zrobiła postępy większe niż w rzeczywistości? Czy była dość stanowcza, kiedy powiedziała Bridget, że nie jest jeszcze gotowa do prawdziwej wspinaczki?

A może nic nie mogła zrobić, by powstrzymać ją przed wyruszeniem u boku ukochanego w tę wycieczkę?

– Była taka odważna – mówiła dziewczyna z mikrofonem. – Tak namiętnie kochała życie.

Namiętnie kochała Erika Amundssona, pomyślała Meredith. Dlatego teraz nie

żyje.

Patrzyła wprost na niego, tak intensywnie, że musiał chyba wyczuć jad w jej wzroku. Stał nieruchomo jak posąg, wyższy co najmniej o głowę od pozostałych, w koszuli w niebiesko-zieloną kratę. Podwinięte do łokci rękawy ukazywały silne, umięśnione ręce i duże dłonie. Bridget powiedziała jej, czego potrafi dokonać tymi dłońmi. Meredith zadrżała. Wpatrywała się w niego tak długo, aż oczy zaszczyły jej łzami.

Miał brodę krótko przystrzyżoną i przetykaną siwizną, choć wiedziała, że ma dopiero trzydzieści dziewięć lat. To dlatego, że tyle razy otarł się o śmierć, pomyślała.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, podczas peanu na cześć Bridget wygłaszanego przez stojącą obok dziewczynę, spojrział wprost na Meredith. Oczy błękitne jak niebo, ocienione jasnymi brwiami, zatrzymały się na niej. Poczowała jak ogarnia ją chłód. Nie wiedział, kim ona jest, oczywiście, że nie. Zastanawiała się, czy potrafi odczytać jej myśli. Nie odwróciła wzroku.

W końcu spuścił oczy. Stał jak przedtem, nieprzenikniony, obojętny. Meredith nie była pewna, czy ta wymiana spojrzeń nie była tylko dziełem jej wyobraźni.

Erik Amundsson nie znał jej, ona jednak wiele o nim wiedziała. Nie tylko od Bridget. Amundsson był sławny i dobrze znany zarówno wśród mieszkańców Aspen, jak i w międzynarodowym środowisku himalaistów. Zdobył wszystkie szczyty na świecie. Słynął z nadludzkiej siły i wytrzymałości, odwagi i umiejętności zachowania zimnej krwi w każdych okolicznościach. Wspinał się samotnie na szczyty, z których nie powinien był powrócić. Wielokrotnie ratował innych członków wypraw, swoich klientów i klientów innych przewodników. Do diabła, uratował też kilku przewodników.

Dziesięć lat temu na Aconcagui w Andach stracił trzech klientów podczas szczególnie gwałtownej burzy śnieżnej. Atakowano go z tego powodu powiedziała jej Bridget podczas jednej z sesji terapeutycznych – ale uratował pięciu innych ludzi, którzy stracili orientację i omal nie zamarzli podczas tej burzy. Sam stracił wtedy dwa palce z powodu odmrożenia. Bridget powiedziała, że uwielbia całować jego okaleczoną dłoń.

– Uspokój się – szepnął jej do ucha Tony. Zawsze wiedział, co czuje, czytał w niej jak w otwartej książce.

– Nie potrafię – odszepnęła. Popatrz na niego, stoi tam jak biedny, osamotniony wdowiec. Na litość boską! Powinien był wiedzieć, co robi. Ja też.

Tony znał jej zdanie na temat Amundssona. Nie mogła mu jednak powiedzieć

wszystkiego. To, co usłyszała podczas terapii, było objęte tajemnicą. O tak, wiedziała o tym człowieku rzeczy, o których nie miała pojęcia nawet jego rodzona matka.

Znała intymne szczegóły ich życia seksualnego. Wiedziała, że jest dominujący i że ma wybujałe ego. Kontrolował wszystkie aspekty życia Bridget. Siedziała w swoim gabinecie, co tydzień słuchając ojej obsesji na punkcie Erika Amundssona.

– Hej – Tony zniżył głos, zbliżając usta do ucha Meredith. – Traktujesz tę sprawę zbyt osobiście. To nie twoja wina, na litość boską.

Traktuje to zbyt osobiście. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak prawdziwe są te słowa. Tony wiedział, że Meredith nie ma dobrego kontaktu z ojcem i że jej matka zginęła dwadzieścia pięć lat temu. Nie wiedział jednak, że właśnie tata ponosił winę za jej śmierć. Nigdy nie powiedziała tego ojcu wprost, ale to oskarżenie leżało w jej sercu jak kamień, o który rozbijały się wszystkie cieplejsze uczucia.

– Meredith.

– Nie traktuję tego zbyt osobiście – skłamała.

Znowu spojrziała na Amundssona. Czekwała, w nadziei, że powie coś, kiedy dziewczyna zakończy swoje przemówienie, ale kiedy urwała, łkając, on tylko poklepał ją uspokajająco po ramieniu, z wyrazem kamiennej obojętności na twarzy.

Przytulona do Tony'ego przyglądała się Amundssonowi. Zdawała sobie sprawę z tego, że zachowuje się dziecinnie, ale nic jej to nie obchodziło. Ktoś musiał uświadomić temu człowiekowi, jak tragiczny popełnił błąd.

Amundsson patrzył teraz gdzieś w przestrzeń ponad tłumem, arogancki i znudzony.

Czy ludzie nie umieją liczyć? Trzech alpinistów zginęło w Andach, Bridget jest czwarta. Ile jeszcze ludzi, którzy powierzą mu swoje życie, zginie w górach?

– Chodźmy stąd – powiedziała głucho.

Nie wytrzymałaby tu ani chwili dłużej, oplakując Bridget i obwiniając ojej śmierć Amundssona. Oraz siebie.

– Już? – spytał Tony.

– Po prostu chodźmy powtórzyła zdecydowanie.

Ruszyli przed siebie drogą Rio Grande, biegnącą wzdłuż zakola Roaring Fork River. Kiedyś, ponad sto lat temu, jeździły tędy pociągi wyładowane rudą srebra i ludźmi. Od dawna nie było tu już torów, wyłożona brukiem ścieżka służyła rowerzystom, kobietom z dziećmi i psom.

Przed stu laty wycięto wszystkie drzewa, by podstemplować kopalnie w górach. Teraz wszędzie rosły osiki, sosny i strzeliste topole.

W końcu skręcili w stronę gabinetu. Tony objął Meredith ramieniem. Była mu wdzięczna za zrozumienie. Serce ciągle biło jej bardzo szybko, pod wpływem silnych emocji ogarnęły ją mdłości.

– Chcesz, żebym odwiózł cię do domu? – spytał Tony.

– Nie, nie, wszystko w porządku. Tylko... To taka straszna, bezsensowna śmierć, a on stał tam, jakby... jakby... nie miał z tym nic wspólnego. Boże, Tony, doprowadza mnie to do szału.

– Wiem. Ale już po wszystkim. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. To już koniec. Chryste, Meredith, przecież to nie twoja wina.

– Może jednak moja odparła ponuro.

– Przestań.

– Nie mogę.

– Powiedziałaś jej, że przewyciężyła lęk wysokości? Czy kiedykolwiek powiedziałaś jej coś takiego?

– Nie.

– Powiedziałaś jej, że jest gotowa? Że teraz już może się wspinać?

– Nie, ale... – Rozpaczliwie chciała mu opowiedzieć o śmierci swojej matki, o ojcu i siostrze, i wszystkich tych latach pełnych bólu, kiedy obwiniała tatę... Ale nie potrafiła. Perfekcyjnie nauczyła się pokazywać światu, że jest silna. Była w stanie sprostać każdej sytuacji. Robiła wszystko, co do niej należało, sprawnie i szybko. Tak było od dzieciństwa, od kiedy opiekowała się młodszą siostrą Ann po tym, jak ich matka zginęła w wypadku samochodowym.

Radziła sobie doskonale, ale to, co przeżyła, odcisnęło piętno na jej osobowości. Musiała wszystko kontrolować. Nie była przy tym dominująca czy głośna, przeciwnie, robiła to cicho i cierpliwie. Nie układało jej się z ojcem, którego obwiniała o śmierć matki. W końcu to on wpadł na pomysł, żeby jechać do Denver tamtego śnieżnego dnia. Matka bała się jeździć górskimi drogami w czasie zadyмки, ale Neil Greene postawił na swoim.

Meredith była sumienna i bezpretensjonalna, pewna siebie, uczciwa i szczerą. Ale gdzieś w głębi jej duszy znajdowało się miejsce twarde jak zaciśnięta pięść.

Wychowała się na rodzinnym ranczu, wśród koni i bydła pasącego się na szerokim płaskowyżu między Aspen a Missouri Heights, nad Roaring Fork River. Do śmierci matki jej dzieciństwo było idyllą. A jako psycholog dobrze wiedziała, jaki wpływ na jej życie miała strata bliskiej osoby.

– Do diabła z twoim poczuciem winy, Meredith – powiedział Tony, kiedy

przechodzili przez Main Street. – Zadręczasz się zupełnie bez powodu. Przyszło ci kiedyś do głowy, że ludzie, którzy wspinają się po górach, spadają, nawet jeśli nie mają lęku wysokości?

– Owszem.

Tony zatrzymał się i odwrócił do niej. Jego kwadratowa twarz wyrażała najgłębszą troskę.

– Nie podoba mi się to, co się z tobą dzieje. To zaczyna mieć wpływ na całe twoje życie. Na nas.

– Wiem. – Spuściła wzrok na swoje buty. Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. – Wezmę się w garść. Naprawdę. Obiecuję.

– Dobrze – Tony ujął ją pod brodę. – Grzeczna dziewczynka.

– Tak – mruknęła, próbując się uśmiechnąć.

Mieszkała o dwa domy od Tony'ego, w Woody Creek, w bliźniaku wybudowanym z myślą o pracownikach okolicznych firm. W całym hrabstwie brakowało mieszkań w rozsądnej cenie, ponieważ Aspen było gęsto zaludnione. W wąskiej dolinie Roaring Fork miejsca pod budowę było niewiele, większość zalesionych terenów należała do Ministerstwa Leśnictwa, a główna arteria miasta, droga numer 82, nazywana przez mieszkańców zabójcą 82, była bezustannie zapchana korkami.

Woody Creek, leżące nad rzeką osiem kilometrów od Aspen, było starą osadą ranczerów. W okolicy ciągle jeszcze było kilka rancz, ale nie brakowało też pól pełnych przyczep kempingowych i domów dla młodych rodzin oraz ludzi należących do klasy średniej, których nie stać na domy bliżej Aspen.

Meredith i Tony widywali się z daleka przez kilka miesięcy, kiedy wsiadali lub wysiadali z samochodów, wyrzucali śmieci albo szli pobiegać.

Tony był miłym facetem, dość przystojnym, co w jego zawodzie okazywało się bardzo przydatne. Pracował jako broker inwestycyjny w miejscowym oddziale Merrill Lynch. Roztaczał wokół siebie aurę absolutnej uczciwości, wzbudzał zaufanie na pierwszy rzut oka. Szeroki w ramionach, mocno zbudowany, miał miękkie jasne włosy, silnie zarysowaną szczękę, szerokie usta i orzechowe oczy.

Nieźle wyglądał. Meredith zauważyła to od razu, tak samo jak fakt, że nie nosi obrączki i nie ma dziewczyny.

Ich związek ewoluował powoli. Nie był to nagły poryw uczucia ani wielka namiętność, tylko spotkania dwojga ludzi, którzy dobrze się czuli w swoim towarzystwie, mieli ze sobą wiele wspólnego i rozumieli się jak starzy przyjaciele. W przeszłości Meredith przyciągała głównie mężczyzn słabszych od siebie, i

zawsze prędzej czy później dochodziła do wniosku, że nie szanuje ich na tyle, by stworzyć związek.

W końcu przyszła miłość. Tony to ten jedyny, myślała. Po latach chodzenia na randki z przypadkowymi mężczyznami, samotności i krępujących pytań zadawanych przez zamężną siostrę, Meredith, w wieku trzydziestu dwóch lat, znalazła Tony'ego. Planowali, że zaręczą się w czasie najbliższych świąt Bożego Narodzenia.

Z gabinetu pojechała prosto do domu. Tony miał jeszcze jednego klienta, powiedział, że wróci za kilka godzin. I przywiezie pizzę.

Meredith weszła do siebie i rzuciła klucze oraz torebkę na kuchenny blat. Była wyczerpana. Opadła na sofę, zdjęła buty, położyła głowę na oparciu i zakryła oczy ramieniem.

Lekarzu lecz się sam, pomyślała. W porządku, ale jak, do cholery?

Tkwiała ciągle w tej samej pozycji, kiedy Tony wrócił o siódmej z pizzą.

Cześć, kochanie – powiedział. – Lepiej się czujesz? Nie, miała ochotę odpowiedzieć.

– Tak, jasne, dużo lepiej.

Położył pizzę na stoliku i usiadł obok niej na kanapie.

– Chciałbym, żeby wróciła moja dawna Meredith – powiedział.

– Wiem, ja też.

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Chodź, zjesz coś.

Meredith westchnęła w duchu. Jeśli Tony miał jakieś wady, to był nią jego uzewnętrzniający się czasami egoizm. Poszedł na pogrzeb Bridget, dla niego to już koniec sprawy, czas ruszyć dalej. Zapomnieć o tym, co było. Meredith natomiast ciągle cierpiała, roztrząsała wszystko i czuła, że mógłby wykazać więcej zrozumienia.

Po obiedzie zebrali mu się na amory. Rozpoznawała już te znaki – spojrzenie spod ciężkich powieki sposób, w jaki jego dłonie muskały jej ciało. Zazwyczaj akceptowała jego potrzeby, nawet jeśli seks nie dostarczał jej tyle satysfakcji, co jemu. Wiedziała, że nie jest namiętna. Meredith Greene nigdy nie będzie w łóżku naprawdę gorącą sztuką. Już w szkole średniej uważano ją za pruderyjną. Rozmyślała wiele o swojej seksualności i w końcu doszła do wniosku, że ma zbyt wielką potrzebę kontroli, by pozbyć się zahamowań. Nie widziała w tym nic złego. Czasami lepiej nie przekraczać granic, które dobrze ci służą.

Tony przyciągnął ją do siebie. Znała jego ruchy każdy znała ich kolejność i wiedziała, co będzie wtedy czuła, co zrobi i...

Tony, kochanie – powiedziała, kładąc mu dłonie na piersi.

– Hm? – Dotknął ustami jej szyi i zaczął ją całować. Wiedział, że to lubiła.

– Proszę, Tony... Och, tak mi przykro, ale nie bardzo... Jestem taka rozbita.

Tony podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

– Jezu, Meredith, myślałem, że już ci przeszło.

– Ja też tak myślałam. Ale ta stypa... Nie mogę... Nie mogę przestać o tym myśleć. Przepraszam.

Zmarszczył brwi i wypuścił ją z objęć. W ich związku obowiązywała niepisana reguła – nie zostawali u siebie nawzajem na noc bez wyraźnego zaproszenia. Meredith nie poprosiła go, żeby został. Zaraz potem ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Była taka zagubiona.

Wyciągnęła do niego ramiona.

– Buziak na dobranoc?

Uścisnął ją i pocałował w czubek głowy, mrużąc „dobranoc”. Był zły. Chciał, żeby zawsze świeciło słońce i kwitły róże; ona nie była gotowa, a on nie wiedział, co z tym zrobić.

Meredith poczuła ulgę, kiedy wreszcie wyszedł. Zaraz potem znowu ogarnął ją żal. Boże, nie znosiła tych złych, nieopanowanych emocji, które wymykały się jej spod kontroli. Wolalaby być taka jak Tony – mniej analityczna, bardziej opanowana.

Umyła zęby i poszła do łóżka. Na zewnątrz nie było jeszcze ciemno, ale na nic nie miała już sił.

Wyobraziła sobie Tony'ego w jego domu, dokładnie takim samym jak jej. Ciągłe jest zły. Widziała go zupełnie wyraźnie. Potem, zupełnie bez związku, przypomniała sobie Erika Amundssona. Stał pod drzewem, górując nad tłumem. Widziała jego niebieskie oczy, ogorzałą twarz, szpakowatą brodę i plamy słońca na jego jasnych włosach. Rozumiała, dlaczego taka młoda dziewczyna jak Bridget zakochała się w nim bez pamięci. „Wiele kobiet za nim szalało”, powiedziała jej kiedyś Bridget, „młode dziewczyny jeździły za nim od obozu do obozu. Miał powodzenie”.

Ale było w nim coś więcej. Dostrzegła to tego dnia, i lepiej zrozumiała obsesję Bridget. Roztaczał wokół siebie jakąś aurę, jakby był nie z tego świata. Wydawał się nieobecny, jakby znajdował się nie tu i teraz, ale staczał na jakimś szczycie walkę na śmierć i życie z żywiołami.

No i ta arogancja. Meredith przypuszczała, że himalaiści wspinający siana najwyższe szczyty muszą być aroganccy. Zapewne emanowała z nich jak zbyt

mocny zapach drogiej wody po goleniu.

Boże, miała obsesję na punkcie Amundssona, tak jak Bridget. Nie podobało jej się to. Ale nie mogła przestać o nim myśleć, zastanawiać się nad tym, co by mu powiedziała – gdyby miała okazję – jak by go potraktowała. Czy wtedy też zdołałby zachować zimną krew?

Leżała w łóżku, o dwa domy od swojego ukochanego Tony'ego, i myślała o innym mężczyźnie.

Rozdział 2

W Aspen, położonym na wysokości niema! dwóch i pół tysiąca metrów, zima niechętnie ustępowała wiośnie. Czasami śnieg padał jeszcze w czerwcu, a pogoda była zmienna jak kapryśna kobieta.

Był kwiecień, sezon narciarski dobiegał końca. Jednego dnia świeciło słońce, następnego szalała śnieżna zadymka. W Aspen nazywano ten czas porą błotną; wielu mieszkańców zaraz po zakończeniu sezonu narciarskiego wyjeżdżało na południe.

Meredith nie było stać na wyjazd po sezonie, chociaż Tony próbował namówić ją na krótki wypad do Cancun. Poza tym nie miała ochoty ani odpowiedniego nastroju na beztroską zabawę. Kiepski byłby z niej towarzysz.

Znajomi uważali, że przydałby jej się urlop i może rzeczywiście tak było. Ale ucieczka nie stanowiła lekarstwa na to, co ją bolało.

Minęło już siedem miesięcy od śmierci Bridget i od koszmaru, jaki przeżyła podczas jej pogrzebu, a Meredith ciągle dręczyły poczucie winy, gniew i depresja. W okresie świąt Bożego Narodzenia poszła do Sandry Cohen, koleżanki po fachu. Rozmowa z nią pomogła, ale tylko na krótko, jak wizyta u kręgarza i nastawienie kręgosłupa, który następnego dnia wrócił do poprzedniej pozycji.

Ten ból, to niedojrzałe nurzanie się w cierpieniu miało fatalny wpływ na jej związek z Tonym i inne relacje z rodziną i przyjaciółmi zaczynało też przeszkadzać jej w pracy terapeutycznej.

Meredith i Tony nie zaręczyli się w czasie świąt. Sytuacja była okropna, bolesna dla nich obojga. Meredith musiała w końcu przyznać, że nie ma stuprocentowej pewności. Nie wiedziała, jak powiedzieć mu, że go kocha, ale nie wie, czy jest w nim zakochana. Tak naprawdę ciągle czuła się rozbita po śmierci swojej pacjentki i niczego nie była pewna. Nie była w stanie podjąć żadnej decyzji, ani bardzo ważnej, ani mało istotnej.

Tony na początku był zły. Uraziła jego dumę. Potem miał romans. To bolało, bardzo. Chociaż fakt, że zblądził, był jej winą, oczywiście. Pod koniec stycznia znowu chciał się z nią spotykać. Meredith niechętnie zgodziła się spróbować jeszcze raz, choć w głębi serca wiedziała, że nic z tego nie będzie.

Wydawało jej się, że są teraz przyjaciółmi. I taki układ odpowiadał chyba im obojgu.

Prawdę mówiąc, w tym okresie nie była sobą, ale trzymała się myśli, że problemy w końcu miną. Trzymała się jej kurczowo, co pozwoliło jej przetrwać

najgorszy czas.

Był piątek. Dzień jak na kwiecień naprawdę ciepły. Szare niebo, topniejący śnieg spływał zewsząd drobnymi strumyczkami do rzeki, która wzbierała stopniowo na przestrzeni sześćdziesięciu kilometrów stanu Kolorado. Powietrze było ciężkie, drzewa, o ciągle jeszcze nagich gałęziach, budziły się do życia.

Tony miał przyjechać po nią o czwartej, postanowiła więc, że zostawi swój samochód przed gabinetem. Nie ma sensu bez potrzeby jeszcze bardziej zapychać drogi. Meredith cieszyła się na ten weekend. W sobotę pojedzie na rodzinne ranczo na zajęcia hipoterapii. Musiała oddać sprawiedliwość swojemu ojcu – przeznaczył na potrzeby programu ranczo i konie. Meredith darowała swój czas. Hipoterapia uzupełniała jej psychologiczne wykształcenie, poza tym pomoc pacjentom, głównie dzieciom, sprawiała jej wielką przyjemność. Konie, z którymi pracowała, były bardzo łagodne i starannie wytrenowane. Większość dzieci korzystających z programu miała porażenie mózgowe i problemy z koordynacją ruchową. Siedząc na końskich grzbietach, w czarnych dżokejkach i z rozanielonymi uśmiechami na twarzach, odprężyły się i wchodziły w rytm prowadzonych po padoku zwierząt.

Wiele naukowych teorii potwierdzało skuteczność hipoterapii. Jazda na koniach poprawia postawę, zmniejsza napięcia mięśniowe, rozwija zdolność ruchową. Pacjent nabiera nowych odruchów motorycznych. Poprawia się mowa, ogólna sprawność ruchowa i sprawność kończyn górnych.

Meredith zakończyła ostatnią sesję godzinę temu. Pracowała z kobietą, która miała wiele problemów z już niemal dorosłym synem, uzależnionym od niej i przejawiającym skłonność do manipulacji. Sytuacja poprawiała się powoli, Meredith pomagała ustalić pacjentce podstawowe zasady, jakimi powinna się kierować w życiu, i była zadowolona z jej postępów.

Kończyła notatki, przygotowując się do zamknięcia gabinetu na weekend i czekała na Tony'ego.

Ciągle dręczył ją gniew z powodu śmierci Bridget, taki sam, jaki odczuwała, kiedy myślała o śmierci swojej matki. Gniew i żal, które podchodziły do gardła ni stąd, ni zowąd, wiele tygodni, miesięcy albo lat po śmierci bliskiej osoby. Sandra powiedziała jej, że to normalna reakcja w obu przypadkach, ale że w końcu będzie musiała zostawić te uczucia za sobą, ponieważ od pewnego czasu nie spełniają one żadnej pożytecznej funkcji.

Wiedziała o tym. Na litość boską, знаła ze studiów podobne przypadki. Wiedziała, do jakiego stopnia gniew może skazić życie człowieka. Sama to przerobiła.

Po prostu nie umiała się z tym uporać. Zdolność przebaczenia najwyraźniej nie leżała w jej naturze. Jeśli wybaczysz komuś, kto jest winny, uważała, oznacza to, że to, co zrobił, nie było niczym strasznym, a tego nie mogła zaakceptować.

Kiedy przyszedł Tony, siedziała za biurkiem i patrzyła nieobecny wzrokiem przez okno.

– Puk, puk – powiedział. – Czy zastałem panią doktor?

– Mówiłam ci już, że...

– Wiem, nie jesteś lekarzem – spojrzał na nią i zmarszczył brwi. – Zmęczona?

– Nie, właściwie nie.

– To dobrze. Bo mam dla ciebie propozycję.

Meredith podniosła głowę.

– Jaką propozycję?

– Przyjęcie. Duża impreza w domu Kemila al Assada.

– Przyjęcie? Och, Tony, wiem, że wolałbyś iść tam w towarzystwie, ale... na litość boską, nie cierpię takich imprez.

– Spokojnie. To nie musi być randka, jeśli to cię tak zaniepokoiło.

Meredith aż skreśliło w środku.

– Pomyślałem tylko, że może powinnaś trochę więcej wychodzić. Poza tym będzie tam mnóstwo świetnego zarcia. Może uda mi się pozyskać tam nowych klientów. Tobie zresztą też.

– Będzie tam mnóstwo pretensjonalnych dupków.

– Kemil nie jest dupkiem. To miły gość. Ma fioła na punkcie sprawności fizycznej. Jeździ na nartach, gra w golfa i wspina się po górach. Stać go, jest księciem. Poza tym trzyma naszą stronę w kwestii terroryzmu, a to się liczy.

– Och, Tony...

– Posłuchaj, zaprosił wszystkich z biura i prawdę mówiąc, nie mogę nie pójść. Chciałbym, żebyś wybrała się tam ze mną, ale jeśli naprawdę nie możesz, w porządku.

– Teraz jesteś zły.

– Nie jestem zły, Meredith.

– Więc kto tam będzie?

– Do diabła, nie wiem. Większość sławnych i bogatych wyjechała, bo jest już po sezonie. Kemil lubi utrzymywać dobre stosunki z miejscowymi. Na pewno będzie tam jego narciarska paczka, no i ta grupa, z którą się wspina. Słyszałem, że Amundsson został zaproszony.

Meredith miała takie wrażenie, jakby ktoś chlusnął jej w twarz zimną wodą.

Poczuła, jak cała krew odpływa jej z policzków.

– Och – powiedziała – teraz naprawdę mam ochotę tam pójść.

Tony wzruszył ramionami.

– Amundsson to bliski przyjaciel Kemila. Razem brali udział w wielu wyprawach.

– Więc ma szczęście, że jeszcze żyje – mruknęła sarkastycznie.

– Och, daj spokój, Meredith.

– No dobrze, ja...

– Kemil pewnie chce, żeby Amundsson poznał jego bogatych przyjaciół, którzy mogliby wynająć go jako przewodnika. Tak kręci się ten świat.

Meredith już go nie słuchała. Nagle przyszedł jej do głowy pewien zupełnie szalony pomysł. A gdyby poszła na to przyjęcie i tam zaatakowała Amundssona? Przy tych wszystkich bogatych ludziach, którzy go podziwiają? Wyobraziła sobie, jak idzie przez zatłoczony salon, staje przed nim i ciska mu w oczy gorzką prawdę. Prawdę, do cholery! „To ty jesteś odpowiedzialny za śmierć Bridget Lawrence”, tak by powiedziała.

– Dobrze, pójdę z tobą – powiedziała do Tony'ego. – Masz rację, powinnam częściej wychodzić. Może nawet być zabawnie.

– A żarcie na pewno będzie świetne. Tony powtórzył żart mniej zamożnych mieszkańców Aspen.

Meredith milczała, jadąc z Tonym do domu i cały czas wyobrażała sobie tę scenę. Czy po tym, jak już powie to, co od tak długiego czasu leży jej na sercu, powinna odwrócić się na pięcie i odejść? Czy może raczej zostać i zobaczyć, czy Amundsson będzie miał coś na swoją obronę?

Była spięta. Podekscytowana. Nie wiedziała, czy naprawdę będzie miała dość odwagi, by zaatakować Amundssona przy tych wszystkich ludziach.

Wzięła prysznic i staranniej niż zazwyczaj ułożyła włosy, chociaż niewiele mogła z nimi zrobić. Były proste, lśniące, ciemne i ostrzyżone tak, żeby nie musiała spędzać zbyt wiele czasu na układaniu fryzury. Włożyła swój zwykły strój wyjściowy, wiedząc, że goście na tym przyjęciu będą mieli na sobie cokolwiek, od spłowiałych džinsów po nieprzyzwoicie drogie stroje sportowe. Żaden mężczyzna nie przyjdzie w garniturze, broń Boże, a kobiety zaprezentują kaszmir, świetnie skrojone spodnie, długie spódnice z rozcięciem na boku i swetry po tysiąc dolarów.

Meredith kupiła tę sukienkę rok temu. Na wyprzedaży, rzecz jasna, w jednym z firmowych butików. Czarna, uszyta z cienkiej wełnianej dzianiny, sięgała jej do kostek, miała golf i długie wąskie rękawy. Absolutna prostota. Typowa sukienka na

jakieś wyjście. Wiedziała, że jest odpowiednia na przyjęcie u księcia, wigilię u ojca i noworoczny obiad u rodziców Tony'ego.

Złote kolczyki w kształcie kół, bransoletka i to by było na tyle.

Spojrzała w lustro i z trudem rozpoznała tam siebie. Na policzkach miała gorączkowe rumieńce, oczy błyszczały jej z podniecenia. Wiedziała, że to z powodu planowanej konfrontacji i była ciekawa, czy kiedy wreszcie wyładuje złość na Amundssonie, upora się ze swoimi problemami.

Uśmiechnęła się do siebie, czując, że nabiera sił. Będzie aniołem zemsty, przypomni mu o Bridget i sprawi, że jej śmierć zacznie się liczyć.

A Tony będzie na nią wściekły.

Stała przed lustrem zdumiona tym, jak mało obchodzi ją reakcja Tony'ego. Niedobrze, pomyślała i wzdrygnęła się lekko. Niedobrze, ponownie odezwało się jej sumienie.

Nie zamknęła drzwi na zamek i teraz usłyszała, jak Tony otwiera je i zamyka za sobą.

– No i jak, jesteś gotowa? – usłyszała jego głos.

– Jasne, już schodzę odkrzyknęła i wyprostowała się, szykując się do walki.

Rozdział 3

Meredith kochała Aspen, choć mieszkanie w nim wiązało się z wieloma niedogodnościami. Czynsze były wysokie, a turyści zalewali miasto w zimie i w lecie, ale nigdzie indziej na ziemi miejski szyk nie sąsiadował tak blisko z dziką przyrodą. Przede wszystkim jednak Meredith kochała mieszkających tu ludzi.

Starzy hippisi, zapaleni narciarze cytujący Sartre'a, zakochani w sporcie, zdrowi, szukający wrażeń i dobrej zabawy. Młode matki i emerytowane małżeństwa, rozwodnicy, gwiazdy tenisa, gwiazdy filmu, kierowcy wyścigowi, znani narciarze i miłośnicy rodeo.

Ranczerzy o twarzach ogorzałych od wiatru i górskiego słońca, którzy znali stare tradycyjne tańce ludowe. Młodzi ambitni ludzie, którzy właśnie w tym miejscu na ziemi postanowili robić karierę.

Gdzie indziej mogłaby słuchać muzyki poważnej w namiocie rozbitym na górskiej łące, patrząc przy tym na wdzięczne cienie drzew, poruszające się na tle białego płótna? Gdzie indziej mogłaby chodzić na tańce, wieczorki jazzowe, przedstawienia amatorskich teatrów i koncerty pod gołym niebem w Silver Queen, gdzie w letnie wieczory orkiestra kameralna grywała Bacha?

W Aspen było wszystko, czego chciała i potrzebowała.

Mieszkało tam także wielu nowobogackich, którzy przyjeżdżali do tej miejscowości zwabieni atrakcyjnym stylem życia. Meredith do nich nie należała. Przy tych ludziach zawsze czuła się nieswojo, drażniła ją ich ostentacja, kosztowna biżuteria, liftingi twarzy i pretensjonalne rezydencje ciągnące się u podnóża Red Mountain. Wszyscy oni nieodmiennie jeździli land roverami i bez przerwy rozmawiali przez telefony komórkowe. Rządzili swoimi finansowymi imperiami za pomocą komputerów i latali prywatnymi odrzutowcami na Palm Beach, żeby pograć w golfa, albo na rowery do Francji czy zakupy w Nowym Jorku, kiedy tylko mieli taki kaprys. Ich domy w Aspen nieraz stały puste całymi miesiącami, odwiedzane tylko przez ogrodników, sprzątaczkę, hydraulików i tym podobnych.

Meredith wiedziała, jak będzie wyglądało przyjęcie wydawane przez arabskiego księcia. Tłum ludzi, dwustu najbliższych przyjaciół Kemila al Assada plus kilku miejscowych, takich jak Tony. Obsługa w uniformach będzie roznosić kosztowne delikatesy: kawior, koktajl z krewetek, francuskie pasztety i zapewne jakieś egzotyczne potrawy, jak falafel albo hummus. Było bardziej prawdopodobne, że spotka kogoś znajomego wśród kelnerów niż gości księcia.

Wyjątkiem będzie Erik Amundsson. Jego znała.

Stojący w podnóża Red Mountain dom, do którego Tony zawiózł ją tego wieczoru, był doskonale widoczny z każdego miejsca w mieście. Architekt zaprojektował go tak, by wyglądał na przytulną górską chatę, tyle że gigantycznych rozmiarów. Zbudowany z drewnianych bali i miejscowego kamienia, miał wysokie sufity wsparte na grubych belkach. Z wielkiego dwuskrzydłowego okna rozciągał się widok na położone w dole miasto i całą dolinę wraz z wyciągami narciarskimi i kolejką górską, która pięła się na sam szczyt, dziewięćset metrów pionowo w górę. Czwartego lipca, w czasie styczniowych zawodów narciarskich i podczas rozgrywek Pucharu Świata w Aspen urządzano pokazy fajerwerków, które eksplodowały nad doliną wszystkimi kolorami tęczy. Z okien rezydencji księcia na pewno wspaniale było to widać.

Meredith wiedziała wszystko o domu księcia Kemila, tak jak i cała reszta Aspen. Był ogromny i miał tyle łazienek, że miejskie przedsiębiorstwo wodno-kanalizacyjne miało problemy z podłączeniem go do sieci. Lokalne gazety przytaczały wszystkie soczyste szczegóły: pewnego razu w czasie świąt Bożego Narodzenia w domu księcia było tylu gości – wśród których znalazły się też wszystkie jego trzy żony – że system tego nie wytrzymał. „Za dużo gówna zebrało się w tym domu”, jak to dosadnie określił jeden z dziennikarzy.

Poza tym książę musiał zapłacić zarządowi miasta pięćset tysięcy dolarów za przekroczenie dopuszczalnego zużycia energii. Potężny zbiornik na wodę, centralne ogrzewanie, podgrzewane w zimie chodniki i podjazdy. Wszystko w tym domu było za duże i wszystkiego było zbyt wiele. Ale Kemila było na to stać.

Na podjeździe czekało kilku ludzi z obsługi, którzy odprowadzali samochody gości na parking. Rzęsiście oświetlony dom jaśniał na tle górskiego zbocza, wielkie drzwi z drewna tekowego były szeroko otwarte, a z wnętrza płynęła muzyka.

Przyjęcie się rozkręcało. Morze ludzi; kelnerzy zręcznie manewrowali w tym tłumie, roznosząc tace z przystawkami i kieliszkami szampana. W jednym rogu grało trio jazzowe, przy barze tłoczyli się goście. Do baru można było też podejść z tarasu, więc przy cieplejszej pogodzie goście mogli bez przeszkód wchodzić do domu albo wychodzić na powietrze.

W holu wisiał wielki żyrandol z łosich poroży, stały drewniane rustykalne meble, a ściany zdobiły bezcenne dywany Indian Navajo i płótna współczesnych malarzy. Za każdy z tych obrazów Meredith dałaby sobie uciąć prawą rękę. Wszędzie ustawiono stoły uginające się pod ciężarem wyszukanych i pięknie podanych potraw.

Odruchowo zaczęła przyglądać się gościom, szukając wśród nich znajomych

twarży. Owszem, rozpoznała koleżankę ze szkoły, która była teraz żoną maklera. Był jeden z jej byłych pacjentów. I doradca finansowy jej ojca. Poza tym nie знаła nikogo.

Dobiegały ją strzępy rozmów. O tym, kto ma największy samolot, czyja przyjaciółka stara się o rolę i w jakim filmie, kto tego dnia wybrał się na narty na Highlands Bowl, gdzie bardzo często schodziły lawiny. Typowe dla Aspen tematy.

– Tony – powiedziała nie zostawiaj mnie tu samej.

– Nie zostawię cię. Chciałbym cię przedstawić Kemilowi, ale nigdzie go nie widzę.

Oboje wzięli z tacy kieliszki szampana. Kelner był młody, opalony i wysportowany. Wokół oczu miał bledsze obwódki w kształcie gogli. Narciarz. W nocy obsługuje przyjęcia, a całymi dniami szaleje na górskich zboczach.

Meredith sączyła szampana i przyglądała się ludziom zebranych w tym ogromnym salonie. Nigdzie nie dostrzegła Amundssona. Może jeszcze nie przyszedł, może w ogóle nie przyjdzie. Może jest w innym pokoju.

Podszedł do nich jeden z klientów Tony'ego. Meredith poznała go już wcześniej, na przyjęciu, na którym była z Tonym jesienią ubiegłego roku. Facet był obrzydliwie bogaty.

– Witaj, Tony, kolego. Superprzyjęcie, nie? Kemil zna się na rzeczy, prawda? Ale, ale, chyba nie znacie jeszcze mojej żony, Janice?

Janice była dwadzieścia pięć lat młodsza od męża. Żona trofeum. Meredith była ciekawa, co stało się z poprzednim modelem.

Tony przedstawił ich sobie. Ollie, facet nazywał się Ollie, to by się zgadzało. Pogadali chwilę. Janice wydawała się dosyć miła, ale Meredith nie potrafiła nawiązać z nią kontaktu, nie miały ze sobą nic wspólnego.

– Posłuchaj, Tony, chciałbym, żebyś poznał mojego starego kumpla, Jerry'ego. Opowiadałem ci o nim. Jest tu dzisiaj. Sprzedał niedawno firmę i ma sporo pieniędzy. Może mógłbyś mu podsunąć kilka możliwości? – mówił Ollie.

– No cóż...

– Chodź, widziałem go przed chwilą przy barze. Zabierze nam to tylko sekundkę. – Ollie spojrzał na Meredith i uśmiechnął się do niej, błyskając rzędem idealnie równych i białych zębów. – Nie masz nic przeciwko temu, Melanie?

– Meredith uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Oczywiście, oczywiście, widziałem, Meredith. Przepraszam. No, to jak będzie, Tony? – Ollie objął Tony'ego ramieniem.

– Dobra. Meredith, zaraz do ciebie wrócę. Nie masz nic przeciwko temu,

prawda? – uśmiechnął się niepewnie.

– Idź, idź – odparła. – Poradzę sobie.

Tony odszedł w towarzystwie Janice i Olliego, który ciągle obejmował go umięśnionym ramieniem. Meredith widok ten przywiódł na myśl jeńca wojennego prowadzonego przez zwycięskich żołnierzy.

Postanowiła, że trochę się przespaceruje. Nie miało sensu sterczeć tu i czekać na Tony'ego. Wzięła kanapkę z tacy i skubiąc ją leniwie, ruszyła w stronę okna. Wyjrzała przez nie w noc, odwrócona plecami do przyjęcia. Nikt jej nie niepokoił. Widok był wspaniały. Światła miasta migotały w oddali jak tysiące diamentów na tle śniegu, który pokrywał wszystko poza czarnymi wstęgami dróg wijącymi się wśród wszystkich odcieni bieli i szarości, od najbledszych perłowych tonów po cienisty, niemal czarny aksamit.

Nagle zauważyła, że poniżej, na tarasie, znajduje się podgrzewany basen. Niezwykły, gdyż jedna z jego ścian zdawała się nie istnieć, by nic nie zasłaniało widoku zażywającemu kąpieli księciu. Co działo się z tą wodą? Czy spływała w dół, skąd była znowu pompowana do góry?

Odwróciła się, szukając wzrokiem Tony'ego, żeby pokazać mu basen, ale nie mogła dostrzec go w tłumie.

Podszedł do niej jakiś mężczyzna, uśmiechając się przyjaźnie.

– Fajny widok, nie? – Był miły, niski, o okazałym nosie i zawadiackiej postawie koguta.

– Owszem.

– Jestem Dean.

– Meredith.

– Cześć, Meredith. Mieszkasz w Aspen?

– Tak, urodziłam się tu i wychowałam.

– Rany, niewiele was tu już zostało. Ja przyjechałem tylko na jakiś czas. Ale bardzo mi się tu podoba. Byłaś dzisiaj na nartach?

– Niestety, musiałam być w pracy.

Praca, hm, to kiepsko. Dzisiaj warunki były doskonałe. Śnieg jak marzenie. Najlepszy. – Przekrzywił lekko głowę. – Znasz Kemila?

– Nie, niezupełnie, ale mój przyjaciel go zna. A ty?

– O tak, od dawna. Jeździmy razem na nartach, na rowerach, wspinamy się po górach.

– Słyszałam, że uprawia sport.

– Tak, ma fioła na tym punkcie.

– A ty, Dean?

– Ja też – zaśmiał się mężczyzna.

Meredith polubiła go. Był bezpretensjonalny.

Cóż powiedział – miło się z tobą rozmawiało. Wydaje mi się, że żona mnie szuka. – Podniósł dłoń, zasalutował i zniknął w tłumie.

Tony. Gdzie jest Tony? Czy Ollie ciągle jeszcze trzyma go za ramię i włóczy za sobą, przedstawiając mu kolejnych potencjalnych klientów? Wyciągnęła szyję i wspięła się na palce, żeby lepiej widzieć.

Powoli przesuwiała wzrokiem po tłumie. Nagle jej oczy zatrzymały się. Zamrugła, ale nic się nie zmieniło, ciągle tam był. Amundsson. Stał dość blisko, po drugiej stronie wielkiego okna.

Jak mogła go nie zauważyć? Najwyższy mężczyzna w pokoju, w spranej dżinsowej koszuli i czarnych spodniach. Nie pasował do reszty elegancko ubranych gości, ale nie wydawał się tym przejęty.

Rozmawiał z innym mężczyzną, szczupłym, czarnowłosym. Obaj mieli w rękach szklanki z piwem, a nie kieliszki szampana. Meredith przyglądała się im przez chwilę.

Chad Newhouse. Ten drugi to na pewno on. Patrzyła na mężczyzn, obserwowała ich gestykulację i nagle przypomniała sobie słowa Bridget, które padły podczas jednej z sesji:

– Boże, przepadam za Chadem, wiesz? mówiła. – Ma takie fantastyczne, cierpkie poczucie humoru. Ale, sama nie wiem... ciągle jest gdzieś w pobliżu. Czasami wydaje mi się, że nigdy nie uda mi się pobyć z Erikiem sam na sam. To znaczy, mam wrażenie, że Chad nie pójdzie do toalety, jeśli Erik nie udzieli mu na to pozwolenia. – I Bridget zaczęła się śmiać tym szczebiotliwym, wysokim śmiechem, który był tak zaraźliwy.

Wiele powiedziała Meredith o stosunkach łączących tych mężczyzn. Byli przyjaciółmi i partnerami we wspinaczce od czasu, kiedy Erik pierwszy raz przyjechał do Stanów z Norwegii. Razem pracowali w lokalnej firmie organizującej wspinaczki wysokogórskie – Summit Expeditions.

– Ufają sobie – mówiła Bridget. – Erik mówi, że muszą sobie ufać, bo od tego często zależy ich życie. Wiesz, tam wysoko naprawdę można zginąć.

Tak, Bridget, wiem o tym.

Przez chwilę przyglądała się mężczyznom. Mówił głównie Chad – jeśli to istotnie był on. Wiele przy tym gestykulował. Erik słuchał. Stał niemal zupełnie nieruchomo, prawie jak skała. Tylko kilka razy kiwnął głową, raz podniósł do ust

szklankę z piwem i oblizał pianę z wąsów. Meredith widziała, jak przelykał napój. Jego głęboko osadzone oczy krył cień.

Tkwiał tu nieruchomo jak jakiś martwy przedmiot, ale i tak wydawał się arogancki. Arogancja była tak integralną częścią jego osoby jak skóra.

Meredith patrzyła na niego i zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić. Chyba najlepiej po prostu podejść do niego i powiedzieć, co o nim myśli. Była to znakomita okazja, a Tony'ego akurat nie było w pobliżu.

Nie poruszyła się jednak. Ten mężczyzna fascynował ją, tak jak zafascynować może coś obcego, nieznanego. Dziwne, ale miała ochotę zbadać przypadek Erika Amundssona, poznać go, uchwycić choćby przelotnie to coś, co sprawiło, że Bridget podążyła za nim ślepo na spotkanie śmierci.

Po chwili do Erika i Chada podeszło kilku innych mężczyzn, wyglądających na młodych alpinistów. Amundsson był ich idolem, wpatrywali się w niego z niekłamanym podziwem. Meredith widziała ich rozanielone uśmiechy i pełne szacunku uściski dłoni. Amundsson miał wielkie dłonie. Z pewnością pomagało mu to lepiej uchwycić się skały albo złapać spadającego w przepaść towarzysza.

W tym momencie spojrzał na nią. Ich oczy spotkały się, tak jak na pogrzebie Bridget, ale tym razem nie odwrócił wzroku.

Zrobić to teraz? Ale i ta chwila minęła, a Meredith poczuła się niezręcznie, stojąc samotnie i gapiąc się na obcego mężczyznę. Miała zamiar odwrócić się i odejść, zatrzymała się jednak na widok młodego mężczyzny, który podszedł do Amundssona.

Mógł mieć najwyżej trzydzieści lat i w pewien mroczny sposób był bardzo przystojny – czarne: włosy, oczy, wąsy i mała bródka. Było w nim coś egzotycznego.

To musiał być książę Kemil.

Pozdrowił Amundssona i wymienił z nim uścisk dłoni, błyskając przy tym bardzo białymi zębami w ujmującym uśmiechu. Mówiono, że miał trzy żony, ale żadna z nich z pewnością nie była obecna na przyjęciu. Zastanowiło ją to, wydawał się na wskroś nowoczesnym młodym człowiekiem, a miał trzy żony. Jak sobie z tym radził?

Amundsson odwrócił się do księcia, zdradzając przy tym coś jakby cień emocji, pierwszy od chwili, kiedy zaczęła go obserwować. Uśmiechnął się lekko, z dystansem, tak jakby ciągle był gdzieś daleko, na jakimś szczycie, ale tym razem łaskawie pozwolił komuś, by mu przez chwilę towarzyszył. Zaczęli rozmawiać, reszta alpinistów słuchała ich w milczeniu. Potem książę odszedł, aby wymienić

uprzejmości z innymi gośćmi.

Amundsson przywodził Meredith na myśl przywódcę stada wilków, samotnego i otaczanego szacunkiem, który ma ogromne doświadczenie i może być niebezpieczny. Tak, był wilkiem, z tymi wąskimi oczami o intensywnym spojrzeniu, silnym, giętkim ciałem, długimi nogami i rękami. I z pewnością może być niebezpieczny. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek kochał Bridget. Wątpiła w to. Kochał zapewne tylko siebie samego i swoje góry.

Przypomniała sobie to, co mówiła Bridget podczas sesji. Amundsson przyjechał do Stanów z Norwegii, będąc jeszcze nastolatkiem, w poszukiwaniu przygód. Przez pewien czas mieszkał w Boulder, gdzie zaznajomił się z alpinistami, których zawsze było tam pełno. Potem przeprowadził się do Aspen, otoczonego pięćdziesięcioma czterema szczytami powyżej czterech tysięcy metrów, gdzie czekało na niego tyle wyzwań.

Powiedział Bridget, że może prześledzić swoje drzewo genealogiczne aż do wikingów z XIX wieku. Recytował nawet dla niej nordycką poezję.

Wtedy Meredith zastanawiała się, czy traktował to jako sposób na oczarowanie kobiety, czy też istotnie był w głębi serca romantykiem.

Teraz słuchał innego młodego człowieka, pochylając lekko głowę w jego stronę. Meredith patrzyła na niego spod oka, usiłując wysnuć ze swoich obserwacji jakieś wnioski, ale wymykał się jej. Był zagadką.

Nie miała zamiaru się okłamywać. W tym człowieku był jakiś pierwotny magnetyzm. Ta arogancja, to silne ciało, ten nieobecny wzrok. Czuła to nawet z tej odległości.

Popijała szampana i obserwowała Amundssona górującego nad swoimi towarzyszami. Znowu na nią spojrział. Zatrzymał na niej dłużej wzrok, jakby chciał dotknąć ją swoim niebieskim spojrzeniem.

Teraz, pomyślała. Teraz, na oczach jego czcicieli. Ale i tym razem się nie poruszyła.

Poczuła ciarki na całym ciele, włoski na karku uniosły się nieco. On znowu na nią patrzył. Nie była przyzwyczajona do tego, by mężczyźni tak jej się przyglądali. Była ładna, ale nie olśniewająca. Miała piękne oczy, jasnozielone, w oprawie ciemnych rzęs i niezłe kości policzkowe. Ale wzrok Amundssona był jak niechciana pieszczota, jak obelga. Cholera, czyżby zauważył ją już na pogrzebie Bridget? Czy wyczytał w jej twarzy zainteresowanie? Może tylko się z nią zabawia?

Gdzie jest Tony? Nagle zatęskniła do poczucia bezpieczeństwa, jakie jej dawał.

Co ona sobie w ogóle wyobraża, gapiąc się na obcego mężczyznę na przyjęciu? Nie powinna zniżać się do jego poziomu. Czuła odrazę do samej siebie, cały pomysł ataku na Amundssona wydał jej się nagle idiotyczny. Meredith Greene w roli anioła zemsty. Co za bzdura.

Postawiła pusty kieliszek na tacy, którą niósł przechodzący obok kelner i odwróciła się, żeby odejść. Poszuka Tony'ego i powie, że chce wracać do domu. Tak, znajdzie go, a potem...

Zatrzymała ją dłoń, która spoczęła nagle na jej ramieniu. Odwróciła się gwałtownie, sądząc, że to Tony i zaczęła coś mówić, ale urwała w pół słowa. Ręka należała do Erika Amundssona – wielka, silna, pozbawiona dwóch palców. Spuściła wzrok, czując, że serce wali jej jak młotem, i spojrzała na jego dłoń, po czym podniosła wzrok i napotkała chłodne błękitne spojrzenie. Te oczy widziały wiele. Patrzyły w głąb jej duszy.

– Chodźmy stąd powiedział.

Spojrzała na niego jeszcze raz, znowu opuściła wzrok na jego dłoń i w końcu zaśmiała się fałszywie.

– Naprawdę, nie sędzę...

– Słuchaj przerwał jej chcesz porozmawiać. A to nie jest odpowiednie miejsce.

– Czego chcę?

Jego dłoń ciągle spoczywała na jej ramieniu, silna i ciepła. Zbyt ciepła.

– Sądziłem, że nie kłamiesz – powiedział.

Jego słowa nie brzmiały jak obelga, tylko jak prosta informacja, ale wytrąciły ją z równowagi. Sądził, że nie kłamie? Przecież w ogóle jej nie znał.

– Masz mi coś do powiedzenia ciągnął – więc chodźmy stąd. Masz płaszcz. – To nie było pytanie.

Już miała mu odmówić, zapytać, czy oszalał, powiedzieć, że nigdzie z nim nie pójdzie. Ale pod wpływem impulsu podjęła inną decyzję. Zgodziła się. Poprowadził ją do wyjścia. Meredith ruszyła z nim w tamtą stronę. Teraz nie było już odwrotu.

Jej płaszcz pojawił się nagle w magiczny sposób, jakby Amundsson dokładnie wiedział, które okrycie należało do niej. Potem Erik przypomniał jej delikatnie, że powinna pożegnać się z mężczyzną, z którym tu przyszła, co wprawiało ją w zakłopotanie, ponieważ sama o tym nie pomyślała. Zaczekał na nią przy drzwiach, kiedy poszła odszukać Tony'ego.

– Meredith, posłuchaj, to jest Bill Thomas, to on właśnie zajmuje się tą dużą inwestycją w Basalt i...

Meredith przywitała się z Billem, kiwnęła głową, uśmiechnęła się i powiedziała, co trzeba. Ramię paliło ją od dotyku Amundssona, drżała z niecierpliwości, chcąc jak najszybciej opuścić przyjęcie.

Poinformowanie Tony'ego o swoich zamiarach zajęło jej kilka minut. Powiedziała, że wróci do miasta z jednym z gości, który także już wychodzi, a tam weźmie swój samochód. I tak będzie go potrzebowała w czasie weekendu.

– Jestem strasznie zmęczona – powiedziała. – Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze?

– Ja też mogę już iść... – zaczął Tony, ale Meredith powiedziała mu, żeby został i zabawił się trochę. Uśmiechnęła się, pocałowała go w policzek i spojrzała na Erika.

Kiedy już włożyła płaszcz i wyszła na zimne nocne powietrze natychmiast zapomniała, jak to się stało, że opuściła przyjęcie i co właściwie powiedziała Tony'emu.

Czekali na zimnym wietrze, aż ktoś z obsługi przyprowadzi należącego do Erika jeepa. Zastanawiała się, co mogłaby powiedzieć, ale nic nie przyszło jej do głowy. Dlaczego nie jest w stanie zadać mu pytań, które od tak dawna ją dręczą? Nie potrafiła ubrać swoich myśli w słowa, jakby nagle odebrano jej umiejętność posługiwania się językiem.

Cały czas wyraźnie czuła jego obecność. Stał obok niej nieruchomy, silny i wysoki. Drżała z chłodu, ale on wydawał się być obojętny na zimno.

Kiedy podjechał samochód, Erik nie otworzył przed nią drzwi. Wsiadła do jeepa sama i ani trochę jej to nie zaskoczyło. Wydawało jej się, że każdy jej ruch został zaplanowany przez coś silniejszego od niej. Od nich obojga.

– Zimno? – spytał.

– Trochę.

– Zaraz będzie cieplej, ale to potrwa kilka minut – mówił z lekkim akcentem, sepleniał nieco, wymawiając niektóre słowa. Jego głos był niski, pewny i ciepły.

W końcu Meredith odważyła się zadać pytanie, które przez cały czas kołatało się w jej głowie.

– Dlaczego sądziłeś, że chcę z tobą porozmawiać?

– Patrzyłaś na mnie w taki sposób – odparł, nie odrywając wzroku od drogi.

– Wiesz, kim jestem?

– Tak – spojrzał na nią z ukosa. – Tak jak ty wiesz, kim ja jestem.

Bridget. Łączyła ich Bridget. Meredith nie wiedziała, dlaczego nie zadała mu teraz swoich pytań. Ale to nie była odpowiednia chwila.

Co ja tu robię? – pomyślała nagle. Ciekawość, to ona mną kieruje.

Kłamstwo. Erik prowadził, patrząc przed siebie. W pewnej chwili na sekundę położył dłoń na jej kolanie. Prawą, tę ze wszystkimi palcami. Meredith spojrzała na rękę, a potem na profil Erika. Przez moment miała ochotę powiedzieć mu, żeby zatrzymał samochód i wypuścił ją. Zamiast tego siedziała sztywno, ze wzrokiem wbitym w drogę i mocno bijącym sercem. Była przerażona sama sobą, ale nie potrafiła się zatrzymać, jakby jej los był już przesądzony.

Rozdział 4

Red Mountain Road wiła się wzdłuż rzeki, by później znów poprowadzić ich do centrum Aspen. Meredith zakładała, że staną gdzieś w okolicy Mili albo Galena czy Hopkins i pójdą do jakiegoś cichego baru, żeby porozmawiać.

Wtedy miałyby okazję zadać mu te wszystkie pytania, w momencie kiedy najmniej by się tego spodziewał. Czuła jednak, że Erik Amundsson zawsze ma się na baczności, wszystko to, co układała sobie w głowie przez ostatnie siedem miesięcy zmieniło się w jakiś straszny galimatias, a w tej chwili nie potrafiła skupić się na niczym poza uczuciem gorąca, jakie na jej ramieniu pozostawił dotyk dłoni Erika.

Amundsson skręcił na zachód w Bleaker Street, jeszcze zanim przejechali Main. Hotel Jerome Bar, pomyślała Meredith. Na pewno. Jechali w tamtą stronę, ale Erik minął hotel i wjechał w willową dzielnicę miasta, gdzie rozłożyste klony rosnące wzdłuż starych ulic rzucały cień na wiktoriańskie rezydencje wybudowane w okresie największej prosperity.

Erik wjechał w Lake Avenue, zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Nie zapytała, dokąd przyjechali.

– Wynajmuję tu apartament – powiedział, wskazując wolno stojący garaż na trzy samochody wybudowany pod kątem czterdziestu pięciu stopni do wdzięcznej wiktoriańskiej willi.

Meredith nie odezwała się. Przyszło jej do głowy, że musi być szalona, ale myśl ta rozplynęła się natychmiast.

Tym razem Erik otworzył przed nią drzwi samochodu i pomógł jej wyjść na chodnik. Meredith miała wrażenie, że jej mózg został oddzielony od ciała. Erik wprowadził ją na stopnie wiodące do drzwi garażu. Do jego domu. Nawet go nie знаła. Zamieniła z nim najwyżej pięć zdań, a pozwoliła przywieźć się do jego domu.

W połowie schodów zatrzymała się nagle, z trudem łapiąc oddech. W jej głowie odezwał się głos rozsądku. Powinna odzyskać kontrolę nad sytuacją i powiedzieć Erikowi, żeby zabrał ją w jakieś publiczne miejsce, gdzie byłaby bezpieczna.

– Boisz się? – zapytał.

– Oczywiście, że nie – odparła i ruszyła dalej, chcąc sprostać wyzwaniu.

Nie wiedziała właściwie, czego się spodziewała, kiedy otwierał drzwi. Z pewnością nie tego, co zobaczyła. Wszędzie, od holu po wnękę w przestronnym salonie, gdzie była kuchnia aż do drzwi, za którymi zapewne znajdowała się

sypialnia, leżały sterty sprzętu wspinaczkowego. Całe góry. Mapy, zwinięte namioty, śpiwory i obozowe kuchenki. Kolorowe kurtki, puchowe kamizelki, rękawiczki, buty i plecaki. Haki, śruby, pomarańczowe nylonowe liny zwinięte jak węże. Narty, kijki, gogle.

– Och – powiedziała tylko.

– Tak odparł narzędzia mojej profesji.

– Och – powtórzyła.

– Mam piwo i czerwone wino.

Wino, proszę.

Przyniosę.

Ale nie poruszył się. Po prostu patrzył na nią, tak długo, aż wydawało jej się, że zaraz straci oddech. Jego oczy były błękitne i przejrzyste, wzrok zimny jak lód, spojrzenie czyste i ostre.

Potem pomógł jej zdjąć płaszcz, stając za nią, kiedy zsuwała go z ramion. Poczowała na karku jego oddech. Nawet nie drgnęła. On także stał bez ruchu. Zniknęło wszystko poza jego zapachem i oddechem muskającym włoski na skórze jej szyi. Poza miarowym ruchem jej piersi i gwałtownym biciem serca.

W końcu Erik poszedł poszukać kieliszków i wina. Meredith skorzystała z okazji i spróbowała wziąć się w garść. Nie bardzo jej się to udało. Przed oczami ciągle miała Erika wspinającego się na w stronę nieba ośnieżonym zboczem góry. Czy ta błękitna kurtka była na Mount Evereście?

Jego zapach był tak specyficzny. Nie, była to raczej kombinacja kilku różnych zapachów. Dymu ogniska, męskiego potu i czegoś egzotycznego, czego nie potrafiła określić. Herbaty? Jaśminowej albo dymnej lapsang souchong.

Co ona tu robi?

Bridget, no tak, przyszła tu, by zadać temu egoistycznemu bogu kilka pytań na temat roli, jaką odegrał w życiu jej pacjentki. Uczepiła się tej myśli desperacko.

Wrócił i podał jej kieliszek wina. Nie zaproponował, by usiadła na zawałonej sprzętem kanapie. Stał bez ruchu i patrzył na nią. Meredith znowu dostała gęsiej skórki. W końcu stuknął lekko w jej kieliszek swoim.

– Twoje zdrowie, Meredith – powiedział, nie spuszczać z niej wzroku, i podniósł swój kieliszek do ust.

Pociągnęła łyk. Oczywiście, teraz było jasne, że cały czas wiedział, kim ona jest i co chce mu powiedzieć.

– Odpowiadając na twoje pytanie – powiedział tak rzeczowo, że aż drgnęła, zaskoczona. – Bridget poślizgnęła się i spadła z osuwiska. Podczas wspinaczki

takie rzeczy się zdarzają. To był wypadek.

Meredith otworzyła usta, zawahała się, przełknęła ślinę i zaczęła jeszcze raz.

– Wypadkom można zapobiegać.

Czasami.

– Ale nie tym razem?

– Nie tym razem – patrzył na nią spokojnie. W jego wzroku nie było żalu ani skruchy.

I to jest wszystko, co masz do powiedzenia na ten temat? Tak.

Nie mogła w to uwierzyć. Te długie miesiące, tygodnie, dni, w czasie których biła się z myślami – i to już wszystko? Bridget poślizgnęła się i zginęła, to był wypadek?

Boże, ten człowiek jest zupełnie jak jej ojciec. Co z nimi obydwoma jest nie tak, że nie potrafią przyjąć odpowiedzialności za swoje czyny?

– Bridget pokazała mi cię w lecie ubiegłego roku. Wiedziałaś o tym?

– Nie, nigdy o tym nie wspomniała.

– Przypuszczam, że cię zaskoczę – ciągnął – ale pragnąłem cię od chwili, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem.

Zrozumienie znaczenia tych słów zabrało jej chwilę. Chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała co.

– Należymy do siebie.

Nawet mnie nie znasz.

Znam cię powiedział, po czym wyciągnął rękę, wyjął z jej dłoni kieliszek i postawił go na półce obok swojego.

Meredith miała pustkę w głowie, jej ciało zaczęło drżeć ze strachu i zaskoczenia, i dzikiej, zwierzęcej żądzy, której nigdy dotąd nie zaznała.

Nagle ogarnęła ją panika. Musi stąd uciec, uwolnić się od tego dziwnego człowieka, który czyta w jej myślach jak w otwartej książce. Odsunęła się trochę, ale on znowu się do niej zbliżył, chwycił ją za ramiona i spojrzał prosto w twarz. Potem zaczął do niej mówić, cicho, powoli, jakby uspokajał spłoszonego konia.

Ty drzysz. Nie bój się. Wiedziałem, że będziemy razem, to była tylko kwestia czasu. Nie skrzywdzę cię, Meredith. Będę cię czcił na kolanach, jeśli mi na to pozwolisz.

I zaczął ją całować.

Odsunęła się znowu, przerażona, patrząc mu prosto w oczy, błagając go spojrzeniem, by tego nie robił. Ale nie przestawał jej całować coraz gwałtowniej, a ona bezwstydnie mu uległa. Fala gorąca objęła całe jej ciało. Czuła, jak potrzeba

kontroli opada z niej niczym stara skóra. Była obnażona, odsłonięta, a ryzyko, jakie się z tym wiązało, dało jej poczucie siły, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła. Otworzyła się jak kwiat.

Żaden mężczyzna nigdy wcześniej całkowicie jej nie rozebrał. A już na pewno nie w jasno oświetlonym salonie. Pozwoliła, by zrobił to Erik. Powoli zdejmował jej ubranie, aż jej sukienka, stanik i majtki opadły u jej stóp. Rozebrał ją i dotykał z... szacunkiem, patrzył na jej nagość, jakby była boginią. Szeptał do niej miękko, kusząco, głosem schrypniętym z pożądania.

Zadrżała znowu. O Boże, usłyszała krzyk gdzieś wewnątrz siebie, co się ze mną dzieje? Co się dzieje? Ale nie powstrzymała Erika.

Położył ją na podłodze, na miękkim posłaniu z kurtek i flanelowych koszul. Mościł je powoli, metodycznie. Meredith nie potrafiła opanować drżenia.

Dotykał jej delikatnie i uważnie, jakby znał jej ciało lepiej niż ona sama. Ukłąkł przy niej, całkowicie ubrany, i zbliżył usta do jej piersi. Jęknęła. Przeraziła ją jej własna reakcja. Chciała go nienawidzić, a pragnęła go tak, jak nigdy dotąd nikogo nie pragnęła.

Nachylił się nad nią i zaczął ją całować. Jego broda drapała. Meredith pomyślała jeszcze o tym, jak bardzo jego dotyk różni się od dotyku Tony'ego, a potem nagle wszystko zniknęło. Erik wsunął palce w jej włosy, nie odrywając wzroku od jej twarzy, nie pozwalając jej uciec czy wycofać się ani na sekundę. Meredith wiedziała, że czują w tej chwili to samo. Przesunął palcami po jej szyi, dotknął ustami zagłębienia u jej nasady. Czuła lekki dotyk jego warg, czuła muśnięcia jego wąsów na swojej skórze. Zdumiewały ją te zupełnie nowe doznania. A więc to tak powinno wyglądać, pomyślała. Nie miałam pojęcia.

Kiedy sądziła, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej, Erik odszukał nowe miejsce na jej ciele i doprowadził ją niemal do szaleństwa, a potem zaprowadził ją na sam szczyt rozkoszy.

Nie dał jej wiele czasu, aby doszła do siebie. Zrzucił ubranie i przyciągnął ją do siebie. Był smukły, silny, ale delikatny, czuły, ale stanowczy. Meredith nigdy dotąd nie przeżyła wielokrotnego orgazmu, zawsze uważała, że nigdy nie pozwoli sobie na to, by do tego stopnia stracić kontrolę nad swoim ciałem. Ale to było kiedyś, zanim spotkała Erika. W innym życiu.

Erik wpijał palce w jej biodra w rytmie krótkich gwałtownych pchnięć. Meredith czuła, jak jej ciało ogarnia powoli fala gorąca, przeradzająca się stopniowo w graniczący z rozkoszą ból. Wtedy Erik znieruchomiał nagle i zaczął całować jej piersi, aż wydało jej się, że oszaleje z pożądania.

Kilkakrotnie doprowadził Meredith niemal na krawędź rozkoszy, by powstrzymać ją w ostatniej chwili, aż w końcu oboje skończyli, krzycząc, na podłodze, wśród namiotów i śpiworów.

W sypialni położył głowę na jej brzuchu i powoli przesunął ją w dół. Meredith gorączkowo zaciskała palce na jego włosach, a kiedy jego usta znalazły to, czego szukały, pozwoliła się ponieść nowej fali rozkoszy. Dyszała ciężko i krzyczała.

Posiadł ją na sposoby, których istnienia nawet nie podejrzewała. Sprawił, że się śmiała, raz doprowadził ją do łez. Wielokrotnie konwulsyjnie przyciskała do siebie jego głowę, pragnąc go coraz bardziej z każdą chwilą. Wstyd stopniał i zniknął w płomieniu namiętności.

– Boże, pragnę cię – powtarzał. – Nigdy nie pozwolę ci odejść. Pocałuj mnie, Meredith, tak pocałuj mnie tam.

Potem leżeli na łóżku tuż obok siebie. Meredith przesunęła dłoń po jego piersi, pozbawionej włosów i zaskakująco gładkiej. Jak satyna. Ujęła jego rękę i zaczęła ją całować. Ucałowała każdy palec i blizny po palcach, których już nie było. Przytulił ją do siebie i pocałował w czubek głowy, a ona pomyślała, że coś tak wspaniałego musi być dobre. Przespała swoje dotychczasowe życie, a on ją obudził. Obudził ją pocałunkiem.

O świcie, słaba i odurzona, weszła, potykając się, pod prysznic. Stojąc w strugach gorącej wody, oparła się o kafelki i zaczęła płakać. Jak mogła zrobić coś takiego? Jak?

Zasłonka uniosła się i pod prysznic wszedł Erik.

– Nie, nie – powiedziała błagalnie, kiedy zasunął za sobą zasłonę. – Proszę, Erik, nie... Ty nie rozumiesz...

– Myślę, że rozumiem – powiedział, wziął ją w ramiona i zaczął głaskać jej mokre włosy. Trwało to całą wieczność. W końcu ją pocałował.

Całował jej brwi, powieki i usta. Całował jej piersi, zlizując z nich gorącą wodę, i brzuch, pieścił jej pośladki. W końcu wyprostował się i uniósł ją, a ona objęła nogami jego biodra. Potem nie było już nic poza rozkoszą.

Rozdział 5

Przeszła kilka przecznic, znalazła samochód zaparkowany koło gabinetu i pojechała do domu, wyczerpana, ale z głową pełną pytań, na które nie знаła odpowiedzi. Dręczyło ją poczucie winy i wstyd, a mimo to przepełniała ją radość. Jak to możliwe? Jak mogła robić takie rzeczy z zupełnie obcym mężczyzną po prostu dlatego, że ją o to poprosił? Nie, dlatego, że jej kazał.

Nie rozumiała samej siebie. Miała wrażenie, że w jej skórze znalazła się jakaś inna kobieta.

Skreśliła w Woody Creek Road, pustą o tej porze dnia, i spojrzała na swoje dłonie trzymające kierownicę, wspominając dotyk rąk Erika na swojej skórze, twardość jego ramion i nóg oraz gładką pierś. Skórę miała zaczerwienioną i otartą od jego brody; całował każdy centymetr jej ciała.

Nagle zdała sobie sprawę, że zjechała ze swojego pasa i szybko na niego wróciła. Mój Boże, pomyślała, naprawdę coś jest ze mną nie tak. Spojrzała we wsteczne lustro, żeby sprawdzić, czy ktoś widział jej wpadkę. Nie, na drodze było pusto, tylko jeden samochód jechał za nią ale był dość daleko. Ktoś jeszcze wracał z nocnej eskapady?

Wróciła do domu, otworzyła drzwi, weszła i stała przez chwilę z kluczami w ręce, patrząc na swój salon, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Schludny. Mnóstwo półek z książkami, sterta gazet na stoliku do kawy. Proste, jasne meble, zielona kanapa kupiona w sklepie z używanymi sprzętami. Dalej była kuchnia. Pomalowane na biało szafki, białe ściany, zielona gliniana misa z owocami na blacie. Kilka górskich widoczków na ścianach, w dobrym guście, ale dziwnie nudnych. I Meredith zaczęła myśleć o kobiecie mieszkającej w tym domu, zbyt czystym i uporządkowanym.

Jedyną barwną plamę na tle bieli stanowiła zielona sofa i leżące na niej cztery ozdobne poduszki, rozmieszczone równo po dwie w każdym jej końcu. Pokój hotelowy, sekretariat jakiejś firmy albo wnętrze domu starców. Ale nie dom.

I, co wydało jej się nagle dziwne, nie było tu żadnego śladu obecności Tony'ego.

Co Erik pomyślałby o jej domu? Tak bardzo się różnił od jego apartamentu, który był sypialnią i magazynem sprzętu do wspinaczki wysokogórskiej. Jego mieszkanie wyglądało jak obóz.

Stała tam i patrzyła na swój dom innymi oczami, i nagle bardzo wyraźnie poczuła zapach Erika, który przyłgnał do jej sukienki, włosów, skóry. Do niej całej.

Próbowała się uspokoić, głęboko oddychając, ale nie na wiele się to zdało. Umysł był pełen wspomnień z ubiegłej nocy. Gorzej, czuła, że nadal pragnie tego mężczyzny. Wiedziała, że gdyby w tej chwili stanął w drzwiach, rzuciłaby się na niego z taką siłą, że ich ciała stopiłyby się w jedno.

Usiadła na jednym z trzech stołków barowych z jasnego drewna przy blacie oddzielającym pokój od kuchni, zrzuciła buty i oparła głowę na dłoni. Czuła się całkowicie wyczerpana po nocy niekończącej się namiętności. I obolała. Boże, więc to tak, każdy nerw i mięsień drżący z wysiłku, tępy ból między nogami, suchość w ustach. Ostatni raz jadła na przyjęciu u Kemila, a było to tylko kilka małych kanapek zdjętych ze srebrnej tacy. A jednak nie czuła głodu. Miała ściśnięty żołądek i była emocjonalnie rozbita. A pod tym wszystkim, pod bólem, zmęczeniem, zdenerwowaniem kryła się radość z powodu tego, czego doświadczyła tej nocy.

Nie miała zamiaru się oszukiwać – w tej chwili cała składała się tylko z żądz. Pragnienia Erika Amundssona.

Pamiętała dokładnie tamten dzień. Bridget siedziała naprzeciw niej w gabinecie. Był trzeci lipca, utkwiło jej to w pamięci, bo na następny dzień zaplanowano paradę i pokaz sztucznych ogni. Poza tym, o dziwo, padał śnieg. Z ciemnego, ołowianego nieba padały wielkie, mokre, zimne płatki. Meredith słuchała Bridget, ale cały czas jakaś część jej umysłu była zaprzątnięta myślą, by wrócić do domu i strzasnąć biały wilgotny śnieg z drzewka jabłoni, które właśnie posadziła. Dziwna była ta lipcowa śnieżna zadymka...

– Bridget, chciałabym, żeby to było jasne. Mówisz, że kochasz Erika, a on kocha ciebie.

– O tak, to prawdziwe uczucie.

– Czy uczucie zakochania oznacza dla ciebie to samo, co kochanie kogoś? Ja, na przykład, kocham moją siostrę, ale nie jestem w niej zakochana. Wiesz, do czego zmierzam?

– Tak. I jestem zakochana. Na sto procent.

– A Erik?

Bridget zawahała się. Meredith wydało się, że jej twarz zachmurzyła się lekko.

– Nigdy mi nie powiedział, że jest we mnie zakochany, ale mówi często, że mnie kocha, zazwyczaj, no wiesz, kiedy jesteśmy w łóżku.

– Rozumiem. A w innych sytuacjach?

– Eee, chyba też... – Bridget oglądała sobie paznokcie. – Chodzi o to, że on jest dość zamknięty w sobie, wiesz, nie mówi wiele o tym, co czuje. To taka

skandynawska cecha, rozumiesz.

– Jasne. Ale dzisiaj zaczęłaś od tego, że w ubiegłym tygodniu podeszła do ciebie jakaś kobieta i powiedziała, że spotyka się z Erikiem. Powiedziałaś, że to cię zdenerwowało.

– Owszem, byłam bardzo zdenerwowana. Ciągłe jestem.

– Opowiedz mi o tym.

– Cóż, Erik mówi, że to bzdura, że ta dziewczyna włóczy się za Chadem Newhouse'em czy jakimś innym himalaistą, wiesz, jedna z tych, co to wszędzie za nimi jeżdżą, ale Erik twierdzi, że to ona się do niego dostawia, a nie on do niej.

– Więc nigdy nie byli ze sobą?

Bridget potrząsnęła głową.

– Wierzę mu.

– Mimo to jesteś zdenerwowana.

– Oczywiście. Chodzi o to, że wiele kobiet próbuje zwrócić na siebie jego uwagę. Wiem, że ma za sobą kilka związków. To naturalne. Ale to były tylko przelotne romanse. Erik żyje na krawędzi, ma gorącą krew.

Ale wiem, naprawdę wiem, że on mnie kocha. To nie złudzenie.

Meredith kiwnęła głową. Ale jak zwykle miała wiele wątpliwości co do wspaniałego Erika Amundssona. Czy istotnie był szczery? I pomyślała, patrząc na padający za oknem śnieg: Czy to miłość, czy tylko czysta fizyczna żądza?

Spojrzała w dół na palce u stóp i podwinęła je pod siebie. Nawet one wydawały się teraz nadwrażliwe. Ale przecież Erik pieścił także jej palce.

Uśmiechnęła się na wspomnienie dotyku jego ust na swojej stopie. Jego broda drapała i łaskotała, Meredith śmiała się, wierciła i błagała go, by przestał; co w końcu zrobił. Wstał i podniósł ją tak, by usiadła, a potem nauczył ją kolejnego sposobu uprawiania miłości.

Uśmiechnęła się szerzej. Była zmęczona, ale czuła się głęboko szczęśliwa i musiała przyznać, że Erik obudził w niej coś. Pozwolił jej po raz pierwszy w życiu doświadczyć całkowitego zapomnienia, uwolnił ją z żelaznego pancerza samokontroli.

Dziwne. Erik Amundsson wydobyl na światło dzienne dziką stronę jej natury. Ten sam człowiek, który zmienił ostatnie osiem miesięcy jej życia w udrękę, był przyczyną jej bezsenności, wątpliwości co do jej kompetencji zawodowych i zrujnował jej związek z Tonym.

Uśmiech zamarł na jej ustach. Tony. Widział, jak wychodziła z Amundssonem z przyjęcia ubiegłego wieczoru. Oczywiście, że widział. Ma prawo być wściekły,

że go tam zostawiła. Że go wystawiła jak nastolatka na balu maturalnym.

Potem przypomniała sobie, jak się czuła w styczniu, kiedy Tony przespał się z inną kobietą. Bolało jak wszyscy diabli, chociaż ona i Tony właściwie nie byli już wtedy parą. Ciągle czuła tamten ból. A teraz zrobiła po prostu to samo, co on wtedy.

Nie musiała długo zadręczać się w samotności, bo rozległ się krótki dzwonek i zanim zdążyła na niego zareagować, Tony pchnął drzwi, które nie były zamknięte na klucz i wszedł do środka.

– Jezu, Meredith wysapał. – Gdzie, do diabła...

Spojrzał na nią. Na jej spuchnięte wargi, wygniecioną sukienkę, buty leżące na środku podłogi. I znowu na jej twarz. Zaciśnął usta.

Meredith nerwowo przełknęła ślinę. Prawda, pomyślała, powiedz mu prawdę.

– No? – powiedział. – Wiesz, że widziałem, jak z nim wychodzisz. Nie próbuj więc...

– Posłuchaj zaczęła, oblizując suche wargi. – Tak, wyszłam z Erikiem.

– Boże miłosierny!

– Ale pojechałam... to znaczy pojechaliśmy do miasta. Rozmawialiśmy.

– Do ósmej rano?

– Nie, oczywiście, że nie... wzięliśmy... to znaczy ja wzięłam potem swój samochód i pojechałam na ranczo.

– Co takiego? Daj spokój Meredith, za kogo ty mnie masz?

Meredith spojrzała mu w oczy, co kosztowało ją wiele wysiłku. Nigdy przedtem nie kłamała – w porządku, małe kłamstewka, to czasem jej się zdarzało – ale to było coś zupełnie innego.

– Rozmawialiśmy o Bridget. – Przynajmniej to było prawdą. – Chyba wytrąciło mnie to z równowagi. Chciałam się trochę przejechać. Oddaliłam się znacznie od domu, zrobiło się bardzo późno, więc pojechałam na ranczo. – W miarę opowiadania wymyślona historia nabierała rumieńców. Brzmiało to niewiarygodnie, ale...

– Spałaś tam? – spytał Tony sceptycznie.

– Tak, w mojej dawnej sypialni. Wiesz, na drugim piętrze.

O Boże, skręcało ją w środku. Czekwała całą wieczność, aż on w końcu zarzuci jej kłamstwo.

Ale Tony się nie odezwał. Mijały długie sekundy, a Meredith czuła, że ze zdenerwowania powoli zaczynają ją ogarniać mdłości.

– No, powiedz coś – rzuciła w końcu.

– Co mam ci powiedzieć? Że wyglądasz tragicznie?

– Dzięki.

– Mówię poważnie. Całą twarz masz opuchniętą.

– Nic dziwnego. Dużo płakałam.

– Z Amundssonem?

– Przestań mnie dręczyć. Powiedziałam ci, co się stało.

– Nie podoba mi się to wszystko. Sporo wiem na temat Amundssona.

Przez pół nocy nie mogłem zasnąć, bo wyobrażałem sobie ciebie z tym aroganckim sukinsynem.

Mogła powiedzieć: „Tak jak ja wyobrażałam sobie ciebie, kiedy sypiałeś z tą małolată”, ale nie przeszło jej to przez gardło.

Tony, nie jesteśmy zaręczeni – powiedziała zamiast tego. Nawet już nie chodzimy ze sobą. Naprawdę nie masz prawa...

Tony machnął ręką.

– Przez ciebie wyszedłem na głupka. Chryste, Meredith, wszyscy widzieli, jak...

– A więc to cię tak naprawdę martwi.

– Wczoraj byłeś tam ze mną.

– Przepraszam – wymruczała. Naprawdę martwiła się tym, że zrobiła mu przykrość, ale w głębi jej duszy odezwał się też inny głos, który mówił: „Wcale nie żałuję. Rozkoszowałam się każdą chwilą tej nocy. Zaczęłam naprawdę żyć. Po raz pierwszy poczułam, że istnieję”.

– Już dobrze, dobrze. Może rzeczywiście trochę przesadziłem.

Nie, nie przesadziłeś, pomyślała. I poczuła się jak dziwka. Gorzej, bo one przynajmniej nie kryją się z tym, co robią.

Spuściła wzrok i zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie nie powiedziała mu prawdy. Nie byłoby to łatwe, owszem, ale z drugiej strony te wszystkie kłamstwa stały jej kością w gardle. Miała wrażenie, że się udusi. Nic dziwnego, że zawsze była taka prawdomówna. Oczywiście na prawdę nigdy nie jest za późno.

Podniosła oczy na Tony'ego.

– Posłuchaj – zaczęła, ale jego twarz rozpogodziła się już. Meredith stchórzyła i właściwy moment minął.

Tony podszedł do niej.

– Jezu, to wszystko jest takie głupie, no nie? Może damy sobie buziaka i zapomnimy o całym zdarzeniu, co ty na to?

Meredith, ku jej zaskoczeniu, przebiegł nagle dreszcz odrazy. Wstała.

– Ja naprawdę muszę...

Ale Tony podszedł do niej i, zanim zdążyła się odsunąć, położył dłonie na jej plecach i zaczął je pieścić, gniotąc materiał sukienki. Meredith ogarnęła panika.

– Tony – powiedziała.

– Co?

– Muszę... Mam... O Boże, no tak, mam hipoterapię za godzinę.

Tony zaklął cicho.

– Masz chyba kilka minut.

– Nie, muszę się wykąpać, spakować rzeczy. Tony... naprawdę.

W końcu niechętnie zabrał ręce. Meredith odsunęła się szybko.

W jakiś sposób zdołała wreszcie się go pozbyć. Udało jej się też przełknąć te wszystkie kłamstwa, wejść do gorącej wody i wziąć drugą tego dnia kąpiel. W pierwszej, co pamiętała przerażająco wyraziście, ktoś jej przeszkodził.

Umyła ponownie włosy i obficie namydliła obolałe ciało. Czowała, co napędzało ją i zachwytem, i strachem, że już nigdy nie pozwoli się dotknąć żadnemu innemu mężczyźnie poza Erikiem Amundssonem.

Skręciła w prowadzący do Greene Ranch podjazd i uświadomiła sobie, że nie wie, jak tam dojechała. Niezliczoną ilość razy przebyła już pięćdziesiąt kilometrów dzielące Aspen od rancza, nigdy dotąd jednak nie śniła na jawie przez całą drogę. Boże, pomyślała, trochę przerażona i zdumiona. Jej umysł przepełniały wspomnienia widoku Erika, dotyku jego rąk, jego ust...

Długi podjazd; znała tu każdą dziurę w drodze, każdy słup w parkanie. Dom stał w cieniu kępy rozłożystych drzew, a za nim kryła się stara stajnia, przed którą jak zwykle w niedzielę przy ładnej pogodzie stało kilka samochodów.

Pacjenci.

W porządku, obiecała sobie, nie będę o nim myśleć. Teraz już nie. Dopiero, jak skończę.

Zatrzymała samochód i wysiadła. Dzień był chłodny, niebo błękitne. Ranczo leżało kilkaset metrów niżej niż Aspen, więc śnieg tutaj już stopniał. W ogóle było tu cieplej, a w lecie czasami wręcz upalnie. Ale w kwietniu ciągle panował tu chłód. Meredith narzuciła na golf tweedowy żakiet.

Wiedziała, że powinna najpierw wstąpić do domu i przywitać się z ojcem, ale nie miała na to ochoty. Cholera, po prostu nie miała na to ochoty i już. Pewnie i tak przyjdzie na padok popatrzeć, jak ona pracuje, wtedy się z nim przywita i powie, że się spóźniła, więc nie miała czasu, żeby zrobić to wcześniej.

Wymówki, cóż, może kiepsko kłamie, ale za to jest mistrzynią wymówek.

Dwoje pacjentów już na nią czekało, Terry i Sean, i ich rodzice, których

Meredith nauczyła chodzić przy koniu, trzymając na wszelki wypadek rękę na nodze dziecka. Drugie z rodziców prowadziło konia, a ona pomagała swoim pacjentom wykonywać ćwiczenia.

– Cześć, Meredith! – powitała ją Terry, słodka dziesięcioletka z porażeniem mózgowym.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała Meredith.

– Nie ma sprawy – odparł ojciec Terry.

– Mogę jeździć na Pasie? – spytał Sean, drobny sześciolatek z lekkim upośledzeniem ruchowym.

– Oczywiście. Zaraz przyprowadzę waszego ulubionego konika i pojeździmy sobie trochę.

Idąc po konia, usiłowała skoncentrować się na pracy. Próbowała obmyślić rodzaj i kolejność ćwiczeń, ale mózg odmawiał jej współpracy. Gorzej, zwrócił się przeciw niej, podsuwając obrazy z ostatniej nocy. Erik, jego jasna skóra, jego silne ramiona i dłonie, jego głos, dotyk jego warg na jej ciele.

Co on teraz robi? Czy planuje kolejną wyprawę? Czy wyszedł na śniadanie? Czy spotkał się z przyjaciółmi?

Nie miała pojęcia. Spotkali się w swoim własnym świecie, całkowicie odizolowanym od rzeczywistości codziennego życia. Nie wiedziała o Eriku nic, poza tym, czego doświadczyła ubiegłej nocy.

Uświadomiła sobie natomiast, że wie dokładnie, co w tej chwili robi Tony. Znała go na wylot. Znała jego upodobania kulinarne, wiedziała, jakie ubrania lubi nosić, jakie książki i filmy mu się podobają, a jakie nie. Potrafiła przewidzieć, jak się zachowa w każdej sytuacji.

Ale Erik... Erik był dla niej zagadką, tajemnicą. Wiedziała tylko, że jest namiętny. W stosunku do niej. Nie miała co do tego wątpliwości, ale zdumiewało ją to. Dlaczego właśnie ona? Dlaczego, mogąc mieć na pęczki pięknych młodych kobiet, Erik Amundsson wybrał właśnie ją?

Weszła na porośnięty zeszłoroczną, zbrązowiałą trawą wybieg dla koni. Nie mogła przestać myśleć o Eriku. Ciągle czuła na swoim ciele jego dłonie, a między nogami znowu zaczęło pulsować znajome ciepło. Nie, powiedziała sobie w duchu, nie teraz. Ale ból krył się tam, czekał na pierwszy moment jej słabości, by ogarnąć gorącą falą całe jej ciało.

Miała wrażenie, że ten graniczący z rozkoszą ból wewnątrz jej ciała wybuchnie jak płomień, jeśli choć na chwilę przestanie się mieć na baczności. Że rozrośnie się i wypełni ją całą, aż to, czego dotknie albo weźmie do ust, stanie się częścią jej

samej. Zmysły wyostrzyły się, jakby była dzieckiem, które patrzy na świat po raz pierwszy, a wszystko wokół niej wydawało się nowe i świeże.

Schwyciła Pace'a, łagodnego wałacha wytrenowanego dla potrzeb hipoterapii. Założyła mu uzdę, podrapała go za uszami i wymruczała ciche powitanie, po czym ruszyła z powrotem w stronę stajni, prowadząc konia za sobą. Cały czas do głowy przychodziły jej dziesiątki pytań. Czy Erik lubi konie? Czy wie o Greene Ranch? Co robi w wolnym czasie? Z jakiej rodziny pochodzi? Czy ma rodzeństwo?

Nic o nim nie wiedziała.

Przeczesała konia szczotką, umocowała na nim specjalne siodło, głębsze i mające więcej uchwytów niż normalne. Terry i Sean już nie mogli się doczekać. Oboje uwielbiali jazdę konną. Przyjeżdżaliby na ranczo każdego dnia, gdyby Meredith im na to pozwoliła. Przez cały tydzień niecierpliwie czekali na sobotę.

Dla dzieci hipoterapia była tylko świetną zabawą. Nie miały pojęcia o postęпах, jakie robiły podczas zajęć, ani o tym, że ruch zwierzęcia naśladuje ruch miednicy człowieka podczas chodzenia. Dzieci po prostu kochały konie.

Po jednej z sesji Sean zrobił swój pierwszy samodzielny krok, a Terry wypowiedziała pierwsze słowa. Praca ta dostarczała Meredith ogromnej radości i satysfakcji. Poza tym uwielbiała dzieci.

Ale tego dnia nie potrafiła się skupić.

Pomagała dzieciom wykonywać ćwiczenia, idąc koło konia z ręką na nodze pacjenta.

– Wyprostuj się, Terry, o tak, dobrze. Ramiona w bok, na dół, a teraz znowu do góry. Skręt w prawo, dobrze, grzeczna dziewczynka, a teraz w drugą stronę. O tak, Pace to dobry konik, prawda? I jeszcze raz. Doskonale, Terry. I znowu w prawo. I w lewo. Ramiona w bok. Świetnie ci idzie.

Pace chodził w kółko po padoku spokojnie, równym krokiem, pozwalając dzieciom poprawić zmysł równowagi, zmuszając je do przekraczania swoich możliwości.

Po sesji Meredith pochwaliła dzieci, uściskała je, porozmawiała z ich rodzicami, zapisała swoich małych pacjentów na przyszłą sobotę, nakarmiła konia i odprowadziła go na wybieg. Ale przez cały czas dręczyły ją pytania. Gdzie teraz jest Erik? Co robi? Czy myśli o niej? Czy pragnie jej tak, jak ona jego? Czy zadzwoni do niej dzisiaj? Czy dzwonił już i zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce? Czy po powrocie do domu zastanie mrugające światelko na swoim telefonie?

Do stajni wszedł ojciec.

– Witaj, Merry.

Zawsze ją tak nazywał. Przez pewien czas, kiedy była młodsza, nie reagowała na to zdrobnienie, później jednak dała za wygraną.

– Cześć, tato.

– Jak wam dzisiaj poszło?

– Eee... świetnie... oczywiście, doskonale.

Byli dla siebie zawsze uprzejmi, ale na dystans. Jakby dzielił ich mur budowała go przez dwadzieścia lat, z oskarżeń i poczucia winy. Mur tak wysoki, że można było tylko próbować go obejść za pomocą zdawkowych grzeczności i mdłego poczucia obowiązku.

– Zostaniesz na obiedzie? spytał Neil.

– Och, nie, nie mogę. Muszę wracać.

– Rozumiem.

– Przykro mi. Może w przyszłym tygodniu, dobrze?

– Właśnie rozmawiałem przez telefon z Ann. Ma zamiar przyjechać tu razem z dziećmi za parę tygodni.

– To świetnie. Daj mi znać, kiedy. Nie widzieliśmy się z nimi od Bożego Narodzenia, prawda?

– Rzeczywiście.

Meredith powiesiła siodło na wieszaku i otrzepała dłonie. Czowała, że jest spięta i spróbowała się rozluźnić.

– Cóż, miło było cię zobaczyć, Merry – powiedział ojciec.

Meredith usłyszała nutę rozczarowania w jego głosie. Czy odczuła też znajomą satysfakcję płynącą z przekonania, że ciągle potrafi go ranić? Jakie to niskie, pomyślała.

Wróciła po południu do Aspen, niespokojna, z mocno bijącym sercem. Tak samo czuła się jako mała dziewczynka rankiem w dniu Bożego Narodzenia, kiedy czekało na nią tyle cudów, radości i prezentów.

Jechała drogą numer 82, mijając El Jebel i Basalt, stare rancza i nowe osiedla. Minęła Snowmass, supermarket i stację benzynową. Ale nie widziała, jak droga miękko powtarza kształt koryta rzeki ani gór wznoszących się po obu jej stronach, nagich, szarobrazowych zboczy na południu i ciągle jeszcze ośnieżonych szczytów na północy.

Nie zauważała niczego, nawet rosnących nad rzeką wierzb, które wypuszczały już pierwsze bladozielone pąki. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy znajdzie się wreszcie w domu i pobiegnie do telefonu stojącego na stoliku przy schodach. Do

mrugającego nadzieją światełka automatycznej sekretarki. Do głosu Erika.

Chciała mu zadać tyle pytań. Zacznie od lekkich: jakie lubi potrawy i programy telewizyjne. Potem zapyta go o wspinaczkę, dokąd pojedzie na następną wyprawę i jaka jest jego rodzina. Tak, zapyta go o rodziców, braci i siostry. Zapyta, skąd dokładnie pochodzi. Musi poznać szczegóły, z jakich składa się ludzkie życie. Położą się razem na łóżku, on będzie głaskał jej nagą skórę albo tylko położy dłoń na jej biodrze czy kolanie, i będą opowiadać o sobie. Meredith chciała o nim wiedzieć wszystko.

A później... w odpowiedniej chwili, zapyta go znowu o Bridget, o to, co się wtedy dokładnie wydarzyło, o inne wyprawy, o Aconcaguę i o to, jak to jest być tak blisko śmierci i jak on może znosić to tak często.

Chciała wiedzieć absolutnie wszystko o Eriku Amundssonie, jakby mogła w ten sposób zamknąć go w swoim umyśle, tak jak zamknęła go w swoim ciele.

Pragnienie posiadania. Dzikie, gwałtowne, namiętne. Ona też opowie mu o sobie, co tylko będzie chciał, obnaży wszystko, dobre i złe. Powie mu o swoim uzależnieniu od czekolady i o tym, że sama śmieje się najgłośniej z własnych dowcipów. Powie mu nawet o śmierci swojej matki, o tym, jak szybko skończyło się jej dzieciństwo, o tym, że właściwie wychowała swoją młodszą siostrę i o stłumionej, uprzejmej pogardzie, jaką odczuwa w stosunku do ojca. Przyzna się do tej najgorszej strony swojej natury, nad którą nie potrafi zapanować. Wtedy Erik posiadzie ją tak, jak ona pragnie osiąść jego, każdą jego cząstkę, każdą komórkę.

Skręciła z autostrady w Woody Creek i pojechała krętą drogą w stronę swojego osiedla.

Pchnęła drzwi i rzuciła się biegiem do telefonu, dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała cały dzień.

Wiedziała, że na sekretarce będzie wiadomość od Erika. Wiedziała. Jak mogłoby jej nie być?

Dotarła do stolika, na którym stała automatyczna sekretarka. Czowała, jak mocno bije jej serce. Zaraz usłyszy głos Erika, trochę zmieniony, ale i tak nie mogłaby go pomylić z żadnym innym. Powie... proponuje, żeby wyszła z nim tego wieczoru. Albo poprosi ją tylko o spotkanie. Spotkanie...

Światełko automatycznej sekretarki nie mrugało. Meredith cofnęła się trochę, zacisnęła powieki i znowu otworzyła oczy. Czerwony guziczek odpowiedział jej zgasłym, tępym spojrzeniem.

Nie, pomyślała, to niemożliwe.

Ale nie miała żadnej wiadomości od Erika i nie wiedziała jeszcze, przez co

będzie musiała przejść.

Rozdział 6

Po siódmej wieczorem Meredith niemal wydeptała ścieżkę w dywanie w swoim saloniku. Kiedy telefon wreszcie zadzwonił, podniosła słuchawkę tak gwałtownie, że upuściła ją na podłogę. A jeśli zepsułam telefon, myślała gorączkowo, a jeśli go zepsułam... To nie był Erik.

Jezu powiedziała Darlene, przyjaciółka ze szkoły średniej. – Mogłam ogłuchnąć. Jesteś tam, Meredith? – Tak, przepraszam, ale... Zresztą nieważne. Co słychać? Była taka rozczarowana!

Nie widziałam cię od tygodni, więc pomyślałam, że zadzwonię. Co porabiasz?

– Och, wiesz, jak to jest, praca i tak dalej.

– Nie wybrałaś się do kina?

– Do kina?

– Wiesz, to taki budynek, gdzie wyświetlają filmy na dużym ekranie.

– Dzisiaj?

– Jasne. W Isis jest seans o dziewiątej. Ale jeśli jesteś zajęta...

Meredith nagle podjęła decyzję.

– Dobrze. Chętnie pójdę do kina. Mam po ciebie podjechać?

– Tak, świetnie, wyjdę przed dom, powiedzmy... za kwadrans dziewiąta. Nie potrzebujemy więcej czasu. Wiesz, ciągle mieszkam na Ósmej.

– Wiem, gdzie mieszkasz. Do zobaczenia.

Kiedy tylko znalazła się za drzwiami, opadły ją wątpliwości. A jeśli właśnie teraz dzwoni? A jeśli zadzwoni, a jej nie będzie w domu? Może nie zadzwoni już nigdy więcej?

Zjadła zbyt dużo popcornu, a później jeszcze cztery czekoladowe batoniki. Kiedy film wreszcie się skończył, była bliska wymiotów.

– Kiepsko wyglądasz – powiedziała Darlene, gdy Meredith wysadziła ją przed domem.

– Wielkie dzięki.

– Mówię poważnie, naprawdę jesteś blada. Dobrze się czujesz?

– Wspaniale – powiedziała Meredith. Kolejne kłamstwo? – Musimy wkrótce znowu wybrać się do kina. Co ty na to? Ostatnio prawie wcale się nie widywałyśmy.

– Bardzo chętnie. Teraz mam mnóstwo czasu. Mogłybyśmy też pojechać gdzieś na parę dni, kiedy się ociepli.

– Jasne, może w połowie czerwca. Doskonały pomysł, naprawdę. Zaplanujemy coś.

Pojechała do domu, walcząc z ogarniającymi ją mdłościami i drżąc ze zdenerwowania. Po prostu wiedziała, że dzwonił. Może i dobrze się złożyło, pomyślała, bo nie chciała, żeby sądził, iż siedziała w domu, czekając na telefon od niego. A może pomyślała tak ta mała niepewna dziewczynka, która tkwiła gdzieś w głębi jej duszy? Skąd właściwie on miałby wiedzieć, co ona czuje?

O Boże, doprowadzało ją to do szału.

Ale nie było wiadomości od Erika. Ani w sobotę, ani w niedzielę, ani w poniedziałek.

Właściwie powinna być zbyt zajęta, by to zauważyć. Sezon zimowy dobiegł końca i wszyscy, którzy nie odlecieli jeszcze w cieplejsze rejony, szykowali się do wyjazdu. Umówienie się do fryzjera czy kosmetyczki graniczyło z cudem. Kalendarz Meredith także był wypełniony. Dla wielu z jej klientów uporządkowanie psychiki po długiej, męczącej zimie było równie istotne jak manicure.

A jednak w poniedziałek każda minuta trwała wieczność.

A Erik ciągle nie dzwonił.

Była gotowa zamknąć gabinet o piątej, kiedy zadzwonił telefon, po raz dziesiąty tego dnia. To on, pomyślała. To musi być Erik.

– Nazywam się John McCord – odezwał się męski głos w słuchawce. – Chciałbym się umówić.

Zapisała go na następny dzień, w porze lunchu, bo był to jedyny dostępny termin. McCord powiedział, że ma depresję, a Meredith wiedziała, że depresja nie może czekać.

We wtorek rano, po kolejnej bezsennej nocy, podczas której przewracała się z boku na bok i ugniatała nerwowo poduszkę, Meredith przyjęła trzech pacjentów. W południe pojawił się John McCord. Usiadł w poczekalni i zajął się wypełnianiem ankiety.

– Zaraz wrócę – powiedziała do niego i uśmiechnęła się, a on w odpowiedzi kiwnął głową.

W gabinecie usiadła za biurkiem, odetchnęła głęboko, wyprostowała plecy i przeczesła włosy palcami. Musi wziąć się w garść. Po tylu praktycznie bezsennych nocach nie była w stanie normalnie funkcjonować, nie mówiąc już o zajmowaniu się pacjentami. To było nie w porządku w stosunku do nich. I nie w porządku w stosunku do niej, do cholery.

Wśród pacjentów Meredith przeważały kobiety i dzieci, ale od czasu do czasu zdarzał się też jakiś mężczyzna. Czuła, że woli pracować z kobietami, z jej doświadczeń wynikało, że mężczyźni nie zawsze potrafią rozmawiać o emocjach. Przypominało jej to obieranie cebuli, warstwa po warstwie aż do jądra. Z kobietami ten proces trwał znacznie krócej.

Teraz weź się w garść i skoncentruj, nakazała sobie, wprowadzając nowego pacjenta do gabinetu i wskazując mu krzesło naprzeciw siebie.

John McCord był wzrostu nieco powyżej średniego i mógł wydawać się dość atrakcyjny. Miał trochę asymetryczne rysy, duży nos noszący ślady złamania i krótkie ciemne włosy sterzące zawadiacko nad czołem. Krótko mówiąc, jego twarz była interesująca. Żaden z fragmentów nie był wybitnie piękny, razem jednak stanowiły przyjemną dla oka, harmonijną całość.

Meredith spojrzała na wypełnioną przez niego ankietę. Trzydzieści osiem lat. I depresja.

– Mogę mówić do pana po imieniu? – zaczęła.

– Jasne – odparł.

– Ja jestem Meredith.

W porządku, Meredith. Uśmiechnęła się.

– Zanim zaczniemy, chciałabym cię zapytać, gdzie znalazłeś mój numer telefonu.

– W książce telefonicznej.

– Dobrze... Meredith zapisała to w notatniku.

Rzadko robiła notatki podczas sesji, bo czasami pacjenci robili się wtedy nerwowi, jakby się bali, że zapisuje „wariat” albo coś w tym stylu. Zazwyczaj notowała wszystko po wyjściu pacjenta. Ale w ciągu dwóch ostatnich dni musiała częściej korzystać ze swoich notatek podczas sesji.

Niedobrze.

Do diabła z Erikiem Amundssonem, pomyślała.

– Możemy porozmawiać o twojej depresji, John? – zaczęła.

– Czemu nie?

– Znasz określenia „depresja kliniczna” i „depresja sytuacyjna”?

Wzruszył ramionami.

Po godzinie doszli do wspólnego wniosku, że cierpi na depresję sytuacyjną związaną z niedawnym rozwodem. Meredith musiała zanotować więcej szczegółów, niż chciała. John siedział naprzeciw niej w luźnych brązowych sztruksach, błękitnej dżinsowej koszuli i granatowym swetrze z dekoltem w serek.

Włożył ręce do kieszeni i obserwował ją, kiedy pisała: *Ur. New Jersey, cztery lata na Georgetown University. Małżeństwo – szesnaście lat, była żona – Renee, syn Jack, lat czternaście. Depresja spowodowana utratą rodziny. W Aspen od lutego. Kieruje firmą poprzez Internet. Samotny? Osobowość samobójcza – nie.*

Ale rozmawiając z Johnem, cały czas spoglądała na automatyczną sekretarkę. Żadnych nowych wiadomości.

Nie potrzebuje Erika Amundssona. Zabawił się z nią, ale teraz ma jej dosyć, może absorbują go już nowe podboje. Pieprzyć to, pomyślała. Powinna dziękować Bogu, że nie zadzwonił. Egoistyczny, arogancki drań.

Chciało jej się płakać.

.. . Jack dobrze sobie teraz radzi mówił jej pacjent. – Kiedy się rozwiedliśmy, był zły, ale teraz jest lepiej.

– John powiedziała Meredith, z trudem odrywając wzrok od telefonu. – Dlaczego się rozwiodłeś?

Później nie mogła pojąć, jak to się stało, że jego odpowiedź umknęła jej uwadze, wtedy jednak widziała tylko światelko automatycznej sekretarki, które nagle zaczęło do niej mrugać.

– Bo przestałem pić powiedział John.

Kiedy minęła godzina, sięgnął pod sweter i wyjął z kieszeni koszuli książeczkę czekową.

– Siedemdziesiąt pięć, dobrze pamiętam?

– Tak, oczywiście.

Zaraz potem już go nie było. Drzwi zamknęły się za nim z cichym szcękaniem i Meredith mogła w końcu rzucić się do telefonu i wcisnąć odpowiedni guzik.

– Mówi Maddy Lane – odezwał się głos z taśmy. – Chciałabym zmienić termin naszego spotkania, jeśli to możliwe. Proszę się ze mną skontaktować. Mój numer to 555 4025.

Ogarnęło ją uczucie pełnego goryczy rozczarowania. Przez chwilę miała wrażenie, że zwymiotuje, ale mdłości minęły i teraz czuła się już tylko wyczerpana.

Wróciła do domu po południu, niezadowolona z siebie. Sama potrzebuje terapii. Nie może sobie ufać. To przerażające. Potem, nagle, przestraszyła się tego, co będzie, jeśli Erik jednak zadzwoni. Bała się, że znowu wpadnie w to wszystko po uszy.

Kiedy dotarła do domu, przyszło jej do głowy, że powinna coś zjeść. Otworzyła lodówkę i przejrzała jej zawartość, ale nie znalazła niczego, na co miałaby ochotę. Traciła na wadze, cierpiała na bezsenność, nie była w stanie podolać obowiązkom

zawodowym i potrafiła myśleć tylko o Eriku. Czy wyjechał z miasta na kolejną wyprawę? Może jest teraz w Ameryce Południowej albo w Himalajach. Gdzie teraz trwa sezon? Może nawet powiedział jej, że ma takie plany, a ona była po prostu zbyt zaabsorbowana swoimi pragnieniami, zbyt skupiona na jego dotyku, by zwrócić uwagę na cokolwiek innego.

Zatrzasnęła ze złością drzwiczki lodówki. Cholera. Tak głupio się łudziła. Dostał od niej to, czego chciał. Seks. Egoistyczny, zachwycony sobą drań. A ona tylko siebie może obwiniać za całą tę żalną sprawę. Nagle przyszło jej do głowy, że Erik należy do tego samego gatunku mężczyzn co jej ojciec. Jak mogła być tak ślepa?

Boże, to bolało.

Włączyła pralkę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Tony. Zobaczył jej samochód przed domem, wiedział, że wróciła i przyszedł porozmawiać.

Tony... Uczucie, jakie żywiła do niego, wydawało jej się teraz odległą przeszłością, jakby wszystko zdarzyło się w innym życiu. Musi mu powiedzieć, że to już koniec, absolutnie i nieodwołalnie. Nie będzie już żadnych randek ani pocałunków, ani zazdrości. Mogą zostać przyjaciółmi to wszystko, na co może liczyć i to będzie musiało mu wystarczyć.

Jeśli nawet ona nigdy więcej nie zobaczy Erika Amundssona, wszystko między nią a Tonym jest już skończone. Otworzyła drzwi.

W pierwszej chwili nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Uwiązł jej w gardle, a cała krew odpłynęła z twarzy. Sądziła, że śni.

Kiedy wreszcie odzyskała mowę, jej własne słowa były dla niej całkowitym zaskoczeniem.

– Jak śmiesz przychodzić tutaj w taki sposób... Ty draniu!

Erik wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi nogą i podszedł do niej.

– Nie zbliżaj się do mnie... zdążyła jeszcze powiedzieć, zanim przyparł ją do ściany i przycisnął wargi do jej ust. Napierał na nią całym ciałem, całując tak namiętnie, że w końcu uległa i zarzuciła mu ręce na szyję. – Kochali się gwałtownie, dziko. Erik podniósł ją lekko, a ona oplotła go nogami. Krzyknęła raz i jej własny głos wydał jej się obcy. Miała wrażenie, że stoi obok i przygląda się sobie samej, myśląc: To nie mogę być ja.

Miała orgazm sekundę po nim. Zdawał się trwać całą wieczność, ogarniał ją wielkimi falami, następującymi jedna po drugiej jak podczas sztormu.

– O Boże – wydyszała.

– Tak – powiedział Erik.

To było wszystko: tak.

Wypuścił ją z objęć i Meredith stanęła obok na drżących nogach.

– Pragnąłem cię – powiedział. Nachylił się nad nią i pocałował ją w czoło, a potem objął dłońmi w talii.

– Nie zadzwoniłeś – powiedziała w końcu.

– Nie.

Przytuliła się do niego, wpijając palce w jego ramiona i chowając twarz na jego piersi.

– Musiałem wyjechać. Sprawa osobista – wyjaśnił.

– Dokąd? Dokąd pojechałeś?

Nie mogła się powstrzymać. To nie była jej sprawa, ale musiała go o to zapytać.

– Ciekawa?

– Tak, jestem ciekawa. Czuję się jak... jak jakaś dziwka, dziewczyna na jedną noc.

Delikatnie uniósł jej twarz.

– Nie jesteś dziwką. Jesteś moją Meredith.

– Tak? A co to znaczy?

– Tyle pytań. Przecież nie musisz o to pytać. Wiesz, czym jesteśmy dla siebie nawzajem. Twoje ciało to wie.

– Gdzie byłeś? – Musiała to wiedzieć.

– W Boulder.

– Och.

– Tęskniłem za tobą.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? Nie mów, że w Boulder nie ma telefonów.

– Nie wiesz, co mówią o nas, Skandynawach?

– Co?

– Nie rozmawiamy, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

Wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie miał zamiaru jej przeprosić.

Objęła go za szyję.

– Nie mogę tak, nie jestem do tego przyzwyczajona. Czuję się, jak... jak...

– Jak się czujesz?

– Sama nie wiem. Jakbym nie należała do siebie, nie panowała nad sobą. Jakby rządziła mną jakaś obsesja.

– To chyba dokładny opis. Czy to źle?

– Nie wiem.

Stali tam, w salonie, półnaczy, wśród rozrzuconych na podłodze części garderoby. Meredith powinna czuć się zawstydzona, skrępowana i zła, ale tak nie było. On był przy niej, czuła jego dotyk, czuła jego dłonie na swoim ciele. Nic innego się nie liczyło.

– Ty draniu – powiedziała, ale bez złości.

Erik uśmiechnął się, co nieczęsto mu się zdarzało, podniósł ją i dotknął ustami sutka wystającego spod zadartego swetra.

– Zjedzmy coś – powiedział. – Umieram z głodu.

Usiedli przy kuchennym blacie na barowych stołkach. Meredith miała tylko krakersy, ser i butelkę wina, którą znalazła w lodówce. Ale ten prosty posiłek smakował jak ambrozja. Krojenie sera, żucie, przelknięcie – wszystko to było przepojone radosną zmysłowością. Zapachy i smaki nigdy nie były tak intensywne. Wino, cierpkie i słodkie jednocześnie, chłodną stróżką spływało w gardło.

Jedli, a Erik cały czas trzymał ją za rękę, bawił się jej palcami, raz stał okruszki z kącika jej ust. Tysiące pytań, które miała na końcu języka, nagle przestały być ważne.

Zmusiła się jeszcze do zadania tego jednego.

– Po co pojechałeś do Boulder?

– W sprawie osobistej. To nie ma z tobą nic wspólnego. Zresztą to nie było nic ważnego.

Nie była to właściwie odpowiedź na jej pytanie, ale Meredith przyjęła ją.

Kiedy zapadł zmrok, włączyła światło. Erik patrzył na nią, śledził każdy jej krok. Czuła się pod tym spojrzeniem piękna, seksowna i pełna wdzięku. Miała wrażenie, że jest dzika i gotowa na wszystko. Odrzucenie wszelkich zahamowań dało jej odwagę, jakiej dotąd nie знаła. Zasuwała żaluzje we frontowym oknie, sprawdziła, czy drzwi są zamknięte, stanęła na środku salonu i zdjęła ubranie. Jej skóra lśniła. Meredith aż kręciło się w głowie z pożądania – Chodź tu – powiedział Erik, a ona podeszła do niego.

Pocałował ją powoli, a potem podniósł głowę i powiedział tylko:

– Na górze.

U szczytu schodów wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Nie szukał właściwych drzwi, wiedział wszystko, co powinien o niej wiedzieć – nawet to, gdzie w jej domu znajduje się sypialnia.

Robił z nią rzeczy, jakich nikt nigdy z nią nie robił. Wolność, jakiej doświadczyła, była rodzajem oświecenia. Chwilami czuła ból, ale były to krótkie chwile, a ból prowadził nieodmiennie do kolejnej nieznannej dotąd rozkoszy.

Czuła na nim swój zapach – na jego ustach, kiedy ją całował – a jego zapach przylgnął do niej. Staliśmy się jedną istotą, pomyślała w pewnej chwili.

Później leżeli w ciemności, w wygniecionej pościeli i oddychali równo, spokojnie, trzymając się za ręce.

– Czy nigdy cię to nie męczy?

– W porównaniu ze wspinaczką – powiedział – to jest łatwe.

– Łatwe.

Odwróciła się do niego i przesunęła dłonią po skórze, szukając blizny na ramieniu, którą wyczuła wcześniej.

– Co to?

Zaśmiał się cicho.

– Pamiątka po wypadku w górach.

– Co się stało?

– Do diabła, nie pamiętam.

– Powiedz mi.

Nie pamiętam. To było wiele lat temu. Chyba odpadłem i uderzyłem w coś ostrego.

– Jesteś ostrożny?

– Zawsze.

A to? Meredith dotknęła palcem blizny na wewnętrznej stronie jego nadgarstka.

– Był złamany.

– Gdzie? Jak?

– Spadłem.

– Erik...

– Cóż, tak było. Chyba na Flaitrons niedaleko Boulder.

Meredith przesunęła palcami wzdłuż blizny, a potem ujęła jego lewą dłoń w swoje ręce.

– A to? – zapytała.

– Już wiesz.

– Wiem?

– Bridget musiała ci powiedzieć.

Bridget. Kubeł zimnej wody w samym środku ciepłej aromatycznej kąpieli. Jak on może mówić o Bridget tak lekko?

– Opowiedz mi – powiedziała. Nie Bridget, ale mnie.

– Odmroziłem sobie palce na Aconcagui. Dwa trzeba było amputować.

– Bolało?

– Jak cholera.

Przeszkadza ci, wiesz, że ich nie masz?

– A czy tobie to przeszkadza, Meredith?

– Nie, nie, tylko...

– Tylko co?

– Nic.

Objęła go ramionami i przełożyła nogę przez jego udo. Kiedyś zapyta go o jego związek z Bridget. Kiedyś, ale nie teraz. To nie jest odpowiedni moment. Ta noc należy tylko do nich, do niej i do niego. Prędzej czy później dowie się wszystkiego, co będzie chciała wiedzieć o Eriku Amundssonie. Będzie to prawdziwa odyseja i Meredith już cieszyła się na myśl o tych odkryciach.

– A to? – spytała, dotykając kolejnej blizny na udzie Erika.

– Meredith...

– Powiedz mi.

– Zatrzymałem kogoś, kto spadał i oberwałem kolcami.

– Uratowałeś temu komuś życie?

– Może. Prawdopodobnie.

Meredith oddychała jego zapachem, gładząc dłonią wypukły rysunek blizny.

– Ilu ludzi uratowałeś?

Kilku. Każdy, kto wspina się dostatecznie długo, uratował komuś życie.

– Jesteś bardzo skromny powiedziała sucho.

Erik zaśmiał się tym lekkim, beztróskim śmiechem. Nie odpowiedział, tylko przycisnął usta do jej warg i okaleczoną dłonią pogłaskał ją po policzku.

Rozdział 7

Grubo żłobione, zimowe opony jeepa miażdżyły z chrzęstem zlodowaciały śnieg w miejscach, gdzie droga była ocieniona. Meredith spojrzała spod oka na Erika i jej serce drgnęło gwałtownie, jak zawsze, kiedy na niego patrzyła.

Było coś zdumiewającego w pewności, z jaką jego ręce spoczywały na kierownicy, jakaś odwieczna siła w jego profilu odcinającym się na tle ciemniejszego nieba. Meredith miała wrażenie, że patrzy na posąg, który czuwa nad ziemią. Tak, posąg, w tym przypadku wykuty z marmuru i stojący na szczycie smaganego wiatrem klifu gdzieś nad Morzem Północnym, ze wzrokiem wbitym w horyzont.

– Gdzie dokładnie mieszka siostra Chada? – spytała, chcąc przerwać jego milczenie.

– Za zjazdem w Little Annie's Road.

– Droga dzielnica.

Erik wzruszył ramionami.

– Były mąż Kathy przejął konto bankowe, a ona dom i hipotekę.

– Och. Mówiłeś, że ona pracuje dla księcia, dla Kemila?

– Tak.

– Tak właśnie ty i Chad poznaliście księcia? Przez Kathy?

– Tyle pytań.

– O tak, mam mnóstwo pytań. Chcę cię poznać. – Meredith uśmiechnęła się w ciemności. – Nie tak jak w łóżku.

Erik zaśmiał się. Jego śmiech był dla niej jak najpiękniejsza muzyka.

– Erik, pytam serio, czy tak poznałeś Kemila?

– Naprawdę poznaliśmy się wiele lat temu na jednej z wypraw. Był tam z inną ekipą. – Potrząsnął głową. – Wtedy nie wiedział jeszcze, że mógł lepiej trafić.

– Więc namówiłeś go, żeby zmienił przewodnika?

– Tak. Kemil chciał tego, co najlepsze.

– A jak Kathy go poznała?

– Potrzebowała pracy.

– A Kemil potrzebował sekretarki?

– Kathy jest czymś znacznie więcej niż sekretarką. Jest doskonale zorganizowana, zajmuje się księgowością. Ich współpraca bardzo dobrze się układa.

Meredith poczuła ukłucie zazdrości. Sposób, w jaki mówił o Kathy...

– Dlaczego nagle potrzebowała pracy?

– Rozwiodła się, a potem jej córka zachorowała na białaczkę. Dla niej to był bardzo zły czas.

– To straszne. A jej córka... To znaczy, jest już zdrowa?

– Tak, ma remisję.

– Dzięki Bogu.

– Kathy to bardzo silna kobieta, bardzo zdeterminowana. Zrobiła to, co musiała. Mówił o niej z szacunkiem, z troską. Co ich właściwie łączyło?

– Bardzo ją lubisz.

Odwrócił głowę w jej stronę i uśmiechnął się lekko.

– Tak, lubię Kathy. To moja dobra przyjaciółka. – Teraz znowu patrzył na drogę. – Myślę, że przypadniecie sobie do gustu.

– Bo ja też jestem dobrze zorganizowana i zdeterminowana?

– Tak.

To było wszystko, co powiedział.

Meredith zastanawiała się, co jeszcze o niej myśli. Czy uważa, że jest ładna, inteligentna? Czy wie, jak bardzo się przed nim otworzyła? Czy chodzi mu tylko o seks? Nie była pewna, czy kiedykolwiek zdoła dotrzeć do jądra tajemnicy, jaką dla niej był.

Wiedziała, że bez niego praktycznie nie jest w stanie funkcjonować. Kiedy się śmiał, przepełniała ją radość. Kiedy wycofywał się w głąb siebie, ogarniał ją smutek. Pojawił się w jej życiu znikąd, nagle i dał jej poczucie pełni, jakby przedtem stanowiła tylko połowę istoty ludzkiej. Nauczył ją kochać. Nie tylko kochać się, uprawiać seks, ale oddać się całkowicie. Przy Eriku nie czuła wstydu, nie miała zahamowań. A jednak ciągle nic o nim nie wiedziała. Byli ze sobą co dnia, no dobrze, co noc, od trzech tygodni, a on ciągle stanowił dla niej taką samą zagadkę, jak w czasie ich pierwszego spotkania.

– Słuchaj – powiedziała, kiedy mijali Little Annie's Road – nie wiem nawet, czy jeździsz na nartach. Jeździsz na nartach, Erik? Czy tylko się wspinasz?

– Lepiej się wspinam.

– Hm. Ja jeżdżę na nartach. Zbieram nawet różne nagrody w lokalnych zawodach. Jestem w tym całkiem niezła.

– Urodziłaś się tu – powiedział. – Założyłem, że jeździsz na nartach.

– Co jeszcze zakładałeś?

– Wszędzie zabierasz ze sobą kozetkę.

– Co takiego?

- Kozetkę. Ciągłe analizujesz ludzi.
- Tylko ciebie – odrzekła łagodnie. – Jesteś zagadką.
- Ani trochę odparł. Niczego nie ukrywam. Dostajesz to, co widzisz.

W odległości mniej więcej dziesięciu kilometrów od Aspen dolina zaczęła się zwężać. Po obu stronach Castle Creek stromo wznosiły się górskie zbocza porośnięte wysokimi sosnami. Niebo nabrało już barwy atramentu, a gwiazdy świeciły tak jasno, że rzucały światło na drogę.

Meredith spojrzała w okno.

- Góry nigdy mnie nie nudzą, wiesz?
- Tak, to o tobie wiem.
- Hm. A wiesz też, że nigdy nie będę się wspinać? Chodzić, o tak, uwielbiam chodzić po górach. Ale nigdy tam, gdzie jest naprawdę stromo.

Erik milczał.

– No? – Meredith znowu przyszła na myśl Bridget. – To też o mnie wiedziałeś?

Wzruszył ramionami.

– Nawet nie próbuj mnie do tego nakłaniać – powiedziała wyzywająco.

Zaśmiał się, ale bez wesołości.

– Nie martw się, Meredith, nawet gdybyś chciała się wspinać, nigdy bym ci na to nie pozwolił – powiedział i znowu zapadła kamienna cisza.

Meredith rozmyślała o tych słowach całą drogę, jaka im jeszcze pozostała do domu Kathy Fry. Nigdy nie pozwoliłby jej się wspinać. Z powodu Bridget? Czy w ten sposób przyznał, że jest odpowiedzialny za śmierć tej dziewczyny?

Ale nie chciała tego dociekać. Jeszcze nie teraz, pomyślała. Pewnego dnia prawda o tym wypadku i tak wyjdzie na jaw. Ale nie teraz, kiedy to, co ich łączy, jest takie nowe, świeże i delikatne. I takie cudowne.

Dom Kathy stał wśród drzew na drugim brzegu Castle Creek. By się tam dostać, musieli przejechać przez drewniany most, gdzie droga rozwidlała się i zagłębiała w las. Niewątpliwie było tam więcej rezydencji.

Ładnie tu – powiedziała, kiedy Erik zatrzymał jeepa przy furgonetce Chada Newhouse'a.

– Owszem.

– A gdzie mieszka Chad?

Właściwie tutaj powiedział Erik, wysiadając z samochodu. Wynajmuje domek dla gości – wskazał głową w stronę chaty stojącej za domem.

Bardzo dogodnie.

Dla nich obojga. Chad pomaga w pracach przy domu i płaci czynsz, Kathy ma

dodatkowy dochód, a Brit i Timmy wujka na co dzień.

– Brit i... ?

– Dzieci Kathy. Poznasz je dzisiaj.

Kathy była jedną z niewielu osób, o których Erik wspominał w ciągu ostatnich trzech tygodni. Oczywiście mówił też o jej bracie, który był niemal jego cieniem. Meredith widziała się z nim kilka razy. Właściwie przyzwyczała się już do telefonów Chada. Przeszkadzały im często i o każdej porze, czasami przerywając miłosne uniesienia, czy to w domu Meredith, czy w mieszkaniu Erika. Ale po raz pierwszy Meredith została zaproszona do Kathy na kolację i zastanawiała się, ile, jeśli w ogóle, Erik powiedział siostrze Chada o niej. Czy sprostą oczekiwaniom tej chodzącej legendy? Czy w ogóle obchodzi ją, co pomyśli o niej Kathy?

Tak, odpowiedziała sobie w duchu na ostatnie pytanie, kiedy szli w stronę domu. Obchodzi ją to, bo Erik ma wysokie mniemanie o Kathy. Potem znowu zaczęła się zastanawiać, ile tak naprawdę go z nią łączy.

Meredith pracowała czasami z pacjentami, którzy mieli problemy w sytuacjach towarzyskich, знаła więc towarzyszące temu symptomy, chociaż sama nigdy nie denerwowała się w obecności obcych ludzi. Ale na myśl o spotkaniu z Kathy żołądek podchodził jej do gardła. Zdawała sobie sprawę, że to śmieszne. Wiedziała też, dlaczego czuje się taka spięta. Miała wrażenie, że zyskując aprobatę Kathy, zyska też w oczach Erika. Nie podobało jej się to, ale była świadoma znaczenia tego uczucia.

Kathy była zupełnie inna, niż wyobrażała to sobie Meredith. Podobna do brata, owszem, ale nie sprawiała wrażenia krytycznej ani nerwowej. Przywitała ich, stojąc w drzwiach w spranych dżinsach i czerwonym bawełnianym golfie, który najlepsze czasy miał już dawno za sobą, a zaraz potem palnęła się dłonią w czoło.

Cholera, zapiekanka! – i pobiegła do kuchni, ciągnąc Meredith za sobą. – Jestem do niczego w kuchni – mruzczała, otwierając piekarnik i próbując rozwiać kłęby dymu zniszczoną kuchenną rękawicą. – Wiem, że nic już z tego nie będzie. A chciałam zrobić na was dobre wrażenie.

Otworzyła okno, nie przestając machać rękawicą.

– Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku – powiedziała Meredith, zastanawiając się w duchu, czy opisując Kathy jako osobę zorganizowaną, Erik aby na pewno wiedział, co mówi. Żałowała też, że tak się wystroiła. Miała na sobie spódnicę i elegancki blezer. Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale do kuchni wpadły dwie nastoletnie dziewczyny.

O Boże, mam, znowu przypaliłaś kolację? – zachichotała jedna z nich.

– Cicho, Brit. Przedstaw się pani Greene. I twoją przyjaciółkę Leslie też – powiedziała Kathy, obwąchując zapiekanekę.

W tym momencie w drzwiach kuchni ukazała się głowa Chada.

– Cześć, Meredith – powiedział. Powinienem być cię uprzedzić, czego możesz się spodziewać w tym domostwie. Brit, poznałaś już przyjaciółkę Erika? A gdzie jest Timmy?

Kathy potrząsnęła głową.

– Mama Andy'ego miała podrzucić go do domu po meczu. Boże, już czuję, że te wakacje będą straszne. A jeszcze się nawet nie zaczęły. Potrzebowałam komputera, żeby ogarnąć to wszystko, co robią dzieci.

Masz dzieci, Meredith?

– Nie.

– Cóż, i lepiej ich nie miej. Spytaj Brit.

– Och, mam – powiedziała Brit. – Pleciesz czasami.

Kathy westchnęła.

– Czyżby? Pokaż Meredith dom, a ja spróbuję uratować naszą kolację.

Meredith, w lodówce jest piwo, a tu woda sodowa. A jeśli masz ochotę na prawdziwego drinka, Brit pokaże ci, gdzie są alkohole. Ja zaraz się pozbieram i wszyscy usiadzimy w salonie, żeby pogadać, dobrze?

– Świetnie – odparła Meredith. – Ale może mogłabym ci pomóc?

– Och, nie martw się, po kolacji zagonię cię do zmywania.

– Umowa stoi.

Erik i Chad usiedli w salonie, a Brit i jej szkolna koleżanka Leslie oprowadziły Meredith po domu. Był piękny, miał dziesięć pokoi, a zbudowano go z drewnianych bali, kamienia i szkła. W środku, co było dość zaskakujące, znajdował się wyłożony kamieniem basen, oddzielający salon od reszty domu, który trzeba było obejść, by dostać się do sypialni i łazienek. Wokół basenu w ciepłym, wilgotnym powietrzu bujnie krzewiła się roślinność. Rany – powiedziała Meredith.
– To niezwykle miejsce.

– Tata wybudował ten dom – odparła Brit. – Ma firmę budowlaną.

– Mieszka w Aspen?

– Nie. Wyjechał stąd z długami i teraz mieszka w Idaho. Właściwie się z nim nie widzimy. Nawet wtedy, kiedy byłam chora, przysłał mi tylko kartkę.

– To takie ohydne – wtrąciła się Leslie.

Nie, cicho... To znaczy, no tak, to było naprawdę wredne – skorygowała Brit.

Potem dziewczynki pokazały Meredith resztę domu. Brit opowiedziała jej o

swojej chorobie i leczeniu, które przeszła. Meredith z przyjemnością słuchała dziewczynek. Rozmowa z tak szczerymi i otwartymi osobami zawsze działała na nią odświeżająco. Ale z jej doświadczeń wynikało, że dzieciom znacznie łatwiej wyrażać emocje niż dorosłym.

– Wujek Chad naprawdę bardzo pomógł wtedy mamie. Kiedy okazało się, że mam białaczkę, taty nie było z nami już od roku i to wujek Chad robił tu wszystko. Zrezygnował nawet z wyjazdu na tę superwyprawę i załatwił mamie pracę u księcia.

Dziewczynki zachichotały i przewróciły oczami, powtarzając „książę”.

Meredith miała ochotę zapytać, czy Erik także im pomagał, ale była pewna, że te dwie bystre trzynastolatki natychmiast by ją przejrzały. Zamiast tego spytała:

– A ile lat ma twój brat? Timmy, prawda?

– Timmy to mój brat bliźniak – odparła Brit. – Jesteśmy bliźniętami dwujajowymi, dzięki Bogu.

– Dlaczego „dzięki Bogu”?

– On jest taki nieznośny – wtrąciła się Leslie.

Meredith roześmiała się, ale jej myśli krążyły wokół Brit i Timmy'ego. Bliźnięta? Erik nie powiedział jej tego. Jeszcze jeden brakujący szczegół wśród wielu innych. Głupie. Ale skoro jest tak blisko z tą rodziną, powinien być chyba o tym wspomnieć? I gdzie był podczas choroby Brit, kiedy Chad zrezygnował z tej „superwyprawy”? Czy także został w Aspen? Czy jeździł z Chadem do szpitala w odwiedziny do chorej dziewczynki? Przywoził jej zabawki?

Kolację zjedli przy stoliku do kawy w salonie. Wszyscy siedzieli z talerzami na kolanach i było bardzo głośno. Panowała swobodna rodzinna atmosfera. Meredith zauważyła, że mówią głównie ona i Kathy. Erik i Chad przysłuchiwali się tylko, od czasu do czasu wtrącając „aha” i „hm”. Ożywili się dopiero, kiedy Timmy, który pojawił się w końcu koło ósmej, zapytał ich o kolejną wyprawę. Ale i wtedy większości informacji udzielił bardziej otwarty i bezpośredni Chad.

Meredith odkryła, że mimo jego małomówności, obecności Erika nie można było pominąć. Był milczący, nawet trochę wyniosły, ale czuła, że mógłby siedzieć w pokoju pełnym ludzi i nie odezwać się ani słowem, a i tak to do niego zwracaliby się wszyscy obecni.

Po kolacji Meredith, Kathy i dziewczynki szybko uwinęły się z myciem naczyń. Meredith liczyła, że potrwa to dłużej, bo chciała porozmawiać o Eriku. Była pewna, że Kathy to zrozumie. Ale wydawało się, że nie uda jej się zostać z siostrą Chada sam na sam.

– No, załatwione powiedziała Kathy, wycierając ręce w ściereczkę do naczyń. – Kawy? Mam bezkofeinową i normalną, jeśli o tej porze jeszcze pijesz kawę.

– Dla mnie bezkofeinowa odparła Meredith. – Ale pozwól, że ja zrobię kawę. Na razie w niczym ci nie pomogłam.

– Och, nie przejmuj się. – Kathy wsunęła ciemne, długie do ramion włosy za uszy i uśmiechnęła się do niej. – W lecie będzie mnóstwo pracy w kuchni.

– Och?

– Jasne. W czerwcu chłopcy zaczną przygotowania do następnej wyprawy.

– Obawiam się, że...

– Och, no tak. Chciałam powiedzieć, że będą tu ciągle razem, przygotowując się do lipcowej wyprawy na McKinley. Głównie zamierzają siedzieć u Kemila, ale tu też będzie ich ciągle pełno. Będziesz miała tego powyżej uszu. – Kathy przekrzywiła głowę. – Ty się nie wspinasz, prawda? To znaczy, Erik nic na ten temat nie wspominał. Chociaż to o niczym nie świadczy. On jest taki skryty.

Meredith dostrzegła swoją szansę i postanowiła z niej skorzystać.

– Boże, nie. Chodzę po górach, owszem. Ale się nie wspinam. Chociaż w pewnym sensie poznałam Erika dzięki wspinaczce. Przez jedną z moich pacjentek. Może ją pamiętasz... Bridget Lawrence?

Kathy mlasnęła i pokiwała głową.

– Cóż, tak się właśnie poznaliśmy. Z powodu tej tragedii.

– Tak, to prawdziwa tragedia. Taka młoda dziewczyna. Szlag by to trafił. Pamiętam, że wpadła tu któregoś wieczoru, chyba w lipcu czy sierpniu ubiegłego roku. Była taka podekscytowana. Mówiła, że wybiera się na South Maroon na jesieni... Cholera, powinnam spróbować ją zniechęcić do tego pomysłu. Wszyscy powinniśmy byli odwieść ją od tego. Tylko że ona nie była pierwsza, a nigdy przedtem nic złego się nie stało. – Kathy urwała nagle i zakryła usta dłonią. – Mam taki długi język. Tak mi przykro, Meredith, to, co powiedziałam było bardzo głupie.

– Wszystko w porządku, naprawdę.

– Nie, to nie w porządku. Jestem taka bezmyślna. Słuchaj, powinnaś to wiedzieć, a wątpię, by on ci to kiedykolwiek powiedział... te kobiety... to były tylko przelotne romanse. Nie Bridget, nie, bo Erik spotykał się z nią przez prawie trzy miesiące. Tak, coś koło tego. Ale wszystkie inne... dziewczyny na jeden weekend. Z tobą jest inaczej. Naprawdę.

Meredith nie wiedziała, co powiedzieć. Nie mogła powiedzieć Kathy, że jej to nie obchodzi. Natychmiast zorientowałyby się, że to kłamstwo. Nie mogła też jej

powiedzieć prawdy, że ma taką samą obsesję na punkcie Erika jak Bridget. Może nawet większą.

– Zdenerwowałam cię – zatroskała się Kathy.

– Nie, naprawdę. Rozumiem, że Erik ma przeszłość. Jak wszyscy. Poza tym spotykam się z nim dopiero od miesiąca. Kto wie, co nas czeka?

Meredith postanowiła zmienić nastrój i dodała lekko: Jedno tylko jest pewne. Nie jest nam pisana wspólna wyprawa.

Rany, dobrze, że to powiedziałaś. – Kathy położyła jej dłoń na ramieniu.

– No dobra. – Meredith uśmiechnęła się szeroko. To gdzie jest kawa?

Zaatakowała Erika, zanim jeszcze wyjechali spod domu Kathy.

– Szkoda, że nie powiedziałeś mi, iż Timmy i Brit to bliźnięta. I na pewno powinienesz być mi powiedzieć, że to takie nieformalne spotkanie.

Chodzi o to, że Kathy i wy wszyscy byliście ubrani tak swobodnie, a ja w tej spódnicy...

Ku jej zaskoczeniu Erik zatrzymał nagle samochód na poboczu Castle Creek Road i odwrócił się do niej.

– Temu można jeszcze zaradzić.

– Czemu?

– Temu.

Po chwili spódnica została rzucona na tylne siedzenie, a Erik zaczął zsuwać blezer z ramion Meredith. Czuła na ciele dotyk jego ciepłych, szorstkich dłoni.

– Boże, Erik, nie, nie tutaj – zaprotestowała.

Erik podciągnął jej stanik do góry i zaczął całować jej piersi, wsuwając drugą rękę w jej majtki.

– Oszalałeś? A jeśli ktoś się zatrzyma i... – Ale dalsze słowa uwięzły jej w gardle, kiedy jego palce znalazły to, czego szukały. Meredith krzyknęła i gorączkowo przycisnęła głowę Erika do piersi, czując, jak broda kłuje jej delikatne ciało.

Nie pozwolił jej włożyć spódnicy. Nic nie mówiąc, zarzucił jej tylko wyciągniętą z bagażnika kurtkę na ramiona i wyjechał z powrotem na drogę. Szybko pojechali do miasta – bo jego mieszkanie znajdowało się znacznie bliżej niż dom Meredith.

Na palcach, jak złodzieje, wbiegli na schodki wiodące do jego garażu. Erik ze stoickim spokojem, Meredith chichocząc ze wstydu i zachwytu.

Położył ją na podłodze dokładnie tam, gdzie kochali się po raz pierwszy i zdjął z niej ubranie. Wiedziała, że jest w swojej najlepszej formie. Domyślała się, że

chce, by się opierała i mruzczała „nie, nie, nie”, bez końca. Oboje wiedzieli, że to tylko gra.

– Nie, Erik, nie – szeptała, kiedy obwiodł jej pępek językiem, a później: – Nie, nie rób tego. – Krótki krzyk protestu, kiedy zsunął głowę niżej.

Gwałtownie przyciągnęła go do siebie, ale teraz walczyła tylko o ekstazę spełnienia.

Rozdział 8

Książę Kemil al Assad przybył do Aspen ze swojego londyńskiego apartamentu dziesiątego czerwca i rozpoczęły się przygotowania do wyprawy na McKinley.

Jeszcze miesiąc wcześniej Meredith byłaby znudzona do bólu, wysłuchując tylu informacji na temat wspinaczki wysokogórskiej. Ale teraz, ponieważ było to życie Erika, zaczęła się tym interesować, a nawet odkryła, że to w pewien sposób fascynujące.

Summit Expeditions, firma zatrudniająca Erika i Chada, należała do niewielu organizacji, które miały koncesję na wyprawy na McKinley, najwyższą górę Ameryki Północnej. Meredith dowiedziała się, że góra ta ma też inną nazwę – Denali – i że niektórym bardziej przypadła ona do gustu, ale w Summit Expeditions używano starszej nazwy, McKinley, pochodzącej od nazwiska dwudziestego piątego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Właściciel firmy, Randy Meyer, organizował wyprawy na całym świecie i w zależności od sezonu wysyłał swoich przewodników tam, gdzie byli potrzebni.

W lecie był sezon na McKinley. Statystyki dostarczały suchych faktów – w tym roku będzie próbowało wejść na McKinley mniej więcej tysiąc dwieście osób. Pięćdziesiąt procent dotrze na szczyt. Jeden na dwustu zginie.

Ze wszystkich gór świata McKinley leży najdalej na północy i ma największą wysokość od podstawy do szczytu, liczącą ponad pięć i pół tysiąca metrów. Dla porównania Mount Everest mierzony w ten sposób ma tylko trzy tysiące sześćset sześćdziesiąt metrów.

Jest to góra tak potężna, że panuje na niej swoisty mikroklimat, a pogoda jest w zasadzie nieprzewidywalna. Burzom na McKinley towarzyszy niższa temperatura i większe opady niż gdziekolwiek indziej. Trwają też one o wiele dłużej.

Meredith przyswajała sobie wszystkie te informacje niemal instynktownie. Erik dostarczył jej paru danych statystycznych i odpowiedział na kilka pytań, przede wszystkim jednak Meredith słyszała tyle rozmów na temat wspinaczki wysokogórskiej, że wchłaniała wiedzę bez żadnego wysiłku.

Zapoznała się też bliżej ze sprzętem wykorzystywanym do wspinaczki wysokogórskiej. Erik pokazał jej wszystko, wymieniając nazwy poszczególnych narzędzi i pokazując, jak należy ich używać. Haki, śruby do lodu, liny, uprząże. Dotykał tych przedmiotów niemal z czcią, pieszczotliwie. Każdy z nich mógł kiedyś uratować mu życie.

Meredith miała często wrażenie, że Erik dotyka narzędzi swojej pracy równie

delikatnie i ostrożnie, jak bierze ją w objęcia i zastanawiała się, co uznałby za droższe swemu sercu, gdyby musiał wybierać.

W ciągu dnia przyjmowała pacjentów, a potem był już tylko Erik i jego towarzysze.

Poza Kemilem w wyprawie miało wziąć udział dwóch mężczyzn i jedna kobieta, wszyscy pochodzący z Aspen. Posiadali dość duże doświadczenie, a w lecie ubiegłego roku zaliczyli obowiązkową pięciodniową wspinaczkę na Washington State's Mount Rainier, co pozwoliło im zakwalifikować się do wyprawy na McKinley.

W połowie czerwca przygotowania do wyprawy ruszyły pełną parą. Kiedy nie mogli spotkać się u Kathy, Kemil zapraszał wszystkich do siebie.

– Jesteś pewny, że powinnam tam z tobą jechać? – spytała Meredith, kiedy jechali Red Mountain Road w letnim zmierzchu.

– Jestem pewny.

– Ale ja nie jestem uczestnikiem wyprawy. W ogóle się nie wspinam.

Będę wam przeszkadzać.

– Meredith.

Wymawiał jej imię w taki sposób, że słowa więzły jej w gardle, a całe ciało ogarniało drżenie.

– Ale...

– Jesteś ze mną.

– Kathy jeszcze tam będzie?

Oczywiście, że nie. Kończy pracę o czwartej i jedzie do domu. Erik wjechał na podjazd przed domem księcia i zatrzymał samochód przy kilku innych.

– Chyba wszyscy już są powiedziała Meredith trochę nerwowo.

– Ci, którzy się wspinają, muszą być punktualni.

Kemil, przystojny, ciemnowłosa mężczyzna, którego widziała kilkanaście tygodni temu na przyjęciu, powitał ich w progu. Mówił z brytyjskim akcentem, błyskając śnieżnobiałymi zębami, które kontrastowały z czarną bródką i wąsami.

– Ty jesteś Meredith – stwierdził. – Oczywiście. Kathy wiele mi o tobie opowiadała. Witaj. – Ujął jej rękę w obie dłonie. Witaj w moim domu.

– Bardzo mi miło – odparła.

Poczuła się trochę rozczarowana. Więc to nie Erik opowiedział o niej Kemilowi, zrobiła to Kathy.

Wejście, proszę Kemil szerokim gestem zaprosił ich do salonu, który pamiętała z poprzedniej wizyty, a potem sprowadził ich po schodach na dół, do

wielkiej sali z rzędami siedzeń, znajdującymi się na różnych poziomach. Było to prywatne kino.

Tego dnia jednak wypełniał je sprzęt do wspinaczki wysokogórskiej, stopy kolorowego nylonu, namioty, kurtki, śpiwory, zwoje lin i polary. Lśniące metalowe haki i wkręty, wypchane worki, obozowe kuchenki, plastikowe pojemniki na żywność, sterty map.

Chad już tam był. A także kobieta i dwóch mężczyzn, pozostali członkowie wyprawy. Wszyscy liczyli coś, pakowali, przekładali z miejsca na miejsce. Podnieśli głowy, by przywitać się z Erikiem.

– Cześć, stary.

– Cześć, Erik.

– Nareszcie jesteś.

Byli szczerze uradowani tym, że go widzą. Powitali go jak starego towarzysza broni, brata w wierze.

– To jest Meredith – powiedział Kemil.

– Cześć, Meredith – przywitał się Chad trochę ironicznie. Meredith uświadomiła sobie, że przyjaciel Erika zawsze zachowuje się tak, jakby był z jej powodu trochę zazdrosny.

Inni także wymienili z nią pozdrowienia, a Meredith odpowiedziała im z uśmiechem, starając się zwalczyć uczucie, że jest tu zbędna.

Jednak fakt, że nie należy do ekipy, pozwolił jej zachować obiektywizm i obserwować innych z pewnego dystansu. Siedząc cicho z boku, przyglądała im się chłodnym okiem profesjonalisty.

Erik, on był osią tego towarzystwa. Krążyli wokół niego jak planety wokół słońca. Zwracali się do niego. Potrzebowali jego aprobaty. Okazał się urodzonym przywódcą, nieformalnym, lecz niekwestionowanym. Ogarnęła ją duma. Był najsilniejszy, najmądrzejszy, najodważniejszy, i wybrał właśnie ją.

Chad prawa ręka Erika. Skupiony, energiczny i na swój sposób uroczy, ale grał tu wyraźnie drugoplanową rolę.

Daniel Froberg, o chłopcym wyglądzie, mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Jasnowłosy, silny, pełen entuzjazmu. Erik powiedział jej, że w Aspen był górskim ratownikiem.

Najlepszy przyjaciel Dana, Kevin Moore, mocno zbudowany, żyłasty mężczyzna o orlim nosie. Poważny, dokładny, przykładający wielką wagę do szczegółów, podczas gdy Dan wydawał się bardziej swobodny i roztrzepany.

Jessie Robertson, narzeczona Dana, wysoka dziewczyna, niezbyt urodziwa, ale

wyglądająca niezwykle zdrowo, jak ktoś przebywający często na świeżym powietrzu. Przypominała wiele innych wysportowanych kobiet mieszkających w Aspen. Płaska pierś, płaski brzuch, wąskie biodra, długie włosy ciemny blond zebrane w kucyk.

Meredith często nie rozumiała, o czym rozmawiają uczestnicy wyprawy. Używali nieznanymi jej terminów. Słuchała, patrzyła i zaczynała pojmować, co łączy tych ludzi. Wspólne przeżycia, wiedza, pasja.

Rozmawiali o błękitnym lodzie, rodzajach skał, osuwiskach. O atakach szczytowych, lodowcach, świeżym śniegu i zejściach lawin. A także o bardziej przyziemnych sprawach: o furgonetce, która przyjedzie po nich do Anchorage, żywności, samolocie, bazie na lodowcu Kahiltna, krótkofalówkach, bateriach. I o ryzyku, wyczerpaniu, chorobie wysokościowej, braku tlenu, wyziębieniu organizmu i przypadkach odpadnięcia od ściany.

Mówili o tym lekko, przytaczając anegdoty i czasem dość koszmarnie dowcipy. Wspinali się już razem – mężczyźni w Ameryce Południowej z Chadem i Erikiem, Jessie na Mount Rainier w lecie ubiegłego roku. A potem wszyscy razem weszli na kilka czterotysięczników, w Kolorado.

– Nie, zaczekaj – powiedział Dan – mam coś lepszego. Pamiętacie, jak utknęliśmy w czasie burzy na Cotopaxi? Tkwiliśmy tam, przyklejeni do ściany, a Kevin doszedł do wniosku, że musi się wysikać – przewrócił oczami i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Kevin szturchnął go pięścią w ramię i po chwili obaj udawali walkę bokserską, podskakując jak dwa koguty.

– Dajcie spokój, chłopcy – przerwała im Jessie i dodała: – Erik, mówię poważnie. Czy nie jesteśmy lepiej zaaklimatyzowani niż ludzie z nizin? Chodzi mi o to, że mieszkamy na dużej wysokości.

– Owszem – odparł Erik – to pomaga, ale czasem nie ma większego znaczenia.

– Musi mieć jakieś znaczenie.

– Przy idealnych warunkach nie ma problemu. Jeśli tylko pogoda sprzyja. Ale na tak dużych wysokościach zdarzają się dziwne rzeczy. Czasem najlepiej zaaklimatyzowana osoba załamuje się na wysokości czterech czy pięciu tysięcy metrów. Nigdy nic nie wiadomo.

– Pamiętasz tego faceta, z którym wchodziliśmy na Everest w dziewięćdziesiątym ósmym, Erik? Tego, który tak się przechwalał?

Pamiętam.

Wspinał się jak szalony przez kilka dni, a potem nagle, w czwartej bazie, musiał zrezygnować. Płuca nie wytrzymały. W ostatniej chwili zwieźli go na dół. Kemil

potrząsnął głową. Każdy ma jakieś granice wytrzymałości.

Meredith słuchała i próbowała wyobrazić sobie, jak jest na takich wysokościach. Zimno, rozrzedzone powietrze. Świadomość, że każdy krok może być ostatnim. Pamiętała dobrze tragedię, która wydarzyła się na Everescie wiosną dziewięćdziesiątego szóstego, kiedy tak wiele osób zginęło podczas nagłej burzy. Życie straciło wówczas dwóch najlepszych, najbardziej doświadczonych przewodników, a jeden, Nowozelandczyk nadawał to stacje na całym świecie – umierając, rozmawiał przez radio ze swoją ciężarną żoną. Nie był w stanie zejść.

To może spotkać także Erika. Jeśli nie podczas tej wyprawy, to podczas następnej, albo jeszcze następnej. Jak on to znosi? Jak ona to zniesie? Spojrzała na niego i poczuła w sercu obezwładniający strach.

Kemil wyświetlił na wielkim ekranie topograficzną mapę McKinley, by można było prześledzić planowaną trasę.

Chad przygasił światła i wszyscy usiedli w wygodnych fotelach z oczami utkwionymi w wielką czarno-białą mapę.

– Kto będzie mówił? – zapytał Kemil.

– Ja – zaproponował Chad.

Erik siedział w milczeniu przy Meredith, nieruchomo jak skała.

– Cóż, jak wszyscy wiecie, na szczyt McKinley wiedzie wiele tras.

Ale wyprawy turystyczne zawsze wybierają jedną. Nie jest najkrótsza, ale najłatwiejsza technicznie. Nazywa się West Buttress Route. Oto ona – wskazał trzonkiem czekanu punkt u dołu mapy. – Na początku lodowiec Kahiltna, obóz u podnóża góry, na wysokości dwóch tysięcy dwustu metrów. Spróbują tam przetransportować nas wszystkich samolotem jednego dnia, ale nigdy nie wiadomo, kiedy rozpęta się burza, więc może niektórzy z nas będą musieli zaczekać w Talkeetna.

– Czy można dostać się do tego obozu w inny sposób? – spytał jakiś głos.

– Nie – odparł Chad. Jest tylko jedna droga. Więc jesteśmy tutaj. To zawsze jest prawdziwy dom wariatów, jedni wchodzą, inni schodzą, jeszcze inni czekają na samolot. Myślę, że spędzimy tam tylko jedną noc, chyba że zepsuje się pogoda. – Znowu wskazał na mapę. – Dziewięć kilometrów w górę lodowca leży obóz Ski Hill. Po drodze jest mnóstwo szczelin, trzeba tam zachować dużą ostrożność. Potem pójdziemy dalej w górę do obozu znajdującego się na wysokości trzech tysięcy trzystu pięćdziesięciu metrów. Tam wieje jak diabli, istnieje duże zagrożenie lawinami. Potem znowu około sześciu kilometrów w górę do Fourteen Medical. To coś w rodzaju małej wioski, kilka namiotów. Park ma tam namiot z

wyposażeniem medycznym, z którego można skorzystać w nagłych wypadkach. Chad odchrząknął. – W tym miejscu zaczyna się robić stromo. Będziemy się wspinać na linach po ścianie. Na górze jest obóz Camp Rodge. Bardzo odsłonięte miejsce. Stamtąd, nieco ponad kilometr do obozu High Camp. Wspaniały widok, ale trzeba uważać na każdy krok.

– Ile czasu zajmie nam dojście do High Camp? – spytał Dan.

– Jakies dwa, trzy tygodnie, w zależności od pogody i tego, jak szybko wszyscy się zaaklimatyzujemy.

Dobrze.

– Plus jeden dzień ataku szczytowego i następny na powrót do High Camp – osiem kilometrów. Zaczniemy bardzo wcześnie rano. Na szczęście jest tam jasno, bo może nam to zająć cały dzień.

– Bułka z masłem – powiedział Dan, kiedy zapaliły się światła.

– Zgadza się – odparł Chad ze śmiechem.

– To bardzo trudna trasa – odezwał się wreszcie Erik. – Nie zapominajcie o tym.

Przez chwilę wszyscy milczeli, jakby dotarło do nich nagle, jak niebezpieczną wspinaczkę planują. I to Erik im o tym przypomniał.

Później Kemil zaprosił wszystkich do salonu, gdzie przygotowano dla nich jedzenie, ciepłe placki pita z mięsem i warzywami, sos z bakłazanów i tacę bakławy na deser. Nigdzie jednak nie było widać kucharza ani służby.

Meredith zastanawiała się, kto przygotował tę ucztę i nakrył do stołu. Żony księcia, te trzy niewidzialne kobiety? Czy mają zasłonięte twarze? Czy zazdroszczą kobietom Zachodu, czy nimi pogardzają?

Czy Kemil kocha je wszystkie jednakowo?

Zasiedli do stołu. Teraz zachowywali się ciszej, spokojniej niż przedtem. Czy to słowa Erika tak ich uciszyły, czy ten zdumiewający posiłek?

Meredith chciała wyjść stamtąd, chciała być sam na sam z Erikiem, dotykać go, kochać się z nim i zapytać go o ludzi, których zabiera na Alaskę. Dopiero wtedy będzie mogła ich ocenić.

Wyszli z domu Kemila w chłodną, gwiazdzistą noc. W dole lśniły światła Aspen. Kiedy drzwi samochodu zamknęły się za nimi, Meredith oparła głowę na ramieniu Erika i położyła dłoń na jego udzie.

– To było interesujące powiedziała. – Aleja, tak naprawdę, tam nie przynależę.

– Przynależysz do mnie.

– Toleruję mnie tylko ze względu na ciebie, Erik.

– Być może.

– Opowiedz mi o nich. Czy rzeczywiście mogą się wspinać na McKinley? Ufasz im?

Tak, wszyscy są dobrzy, bardzo dobrzy. Młodzi i twardzi. Daniel to prawdziwy byk, ma doskonałe warunki, Kevin jest zdeterminowany. Jessie, cóż, ona ma pasję. Jest bardzo silna. Ale to ona jest słabym ogniwiem, jeśli w ogóle jest jakieś słabe ogniwo. Sądzę jednak, że wszyscy dotrą na szczyt, w przeciwnym razie nie zabrałbym ich.

– Hm. – Meredith chciała zaufać jego osądowi. Chciała wierzyć, że zawsze ma rację, kiedy w grę wchodzi wspinaczka. Był w końcu bogiem gór. Wiedział wszystko. Ale kilka osób zginęło na Aconcagui... Śmierć Bridget... Wypadki, coś, na co Erik nie miał wpływu. Chociaż ze wszystkich ludzi na świecie, którzy uprawiają wspinaczkę wysokogórską, on z pewnością wiedział, co robi. Wiedziała, że tak jest.

Wyjechali na Red Mountain Road i Erik skręcił w stronę jej domu. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy się tam znajdą, czuła ciepło rozlewające się w podbrzuszu na myśl o tym, co będą robić. Była kochanką Erika, tylko w jego ramionach czuła, że żyje. Kiedy go nie było, stawała się tylko bladym cieniem ludzkiej istoty. Nie miała znaczenia, prawie nie istniała.

Uświadomiła sobie, że doszła do punktu, w którym zdanie kochanka stało się dla niej równoznaczne z prawdą absolutną. Że zgadzała się z nim we wszystkich kwestiach dotyczących życia, ludzi, samej siebie. To on tworzył i odbijał jej tożsamość; bez niego jej lustro było ciemne i puste. Rozsądek podpowiadał jej, że tak być nie powinno. Była przecież dojrzałą, w pełni ukształtowaną kobietą, zanim poznała tego człowieka, i pozostała tą samą osobą, czyż nie?

A jednak teraz żyła w jego cieniu, a głos zdrowego rozsądku coraz rzadziej do niej docierał.

Wiedziała, że już nigdy nie zapyta go o wypadek Bridget. Byłoby to w najlepszym wypadku niebezpieczne. Zresztą wyjaśnił jej to już. „Co jeszcze mógłbym ci powiedzieć?” – odpowiedziałby na jej pytania i zamknąłby jej usta pocałunkami.

Wszedł z nią do domu. Wbiegając na schody, zaczęli zrzucać z siebie ubrania, nie zadając sobie nawet trudu, by zapalić światło. Reagowała na jego dotyk z radosną rozkoszą, jakby była maszyną, którą można włączyć za naciśnięciem guzika. Jednak mimo bliskości, jaka łączyła ją z Erikiem, i jego otwartości w stosunku do wszystkiego, co miało jakiś związek z górami, pozostał dla niej

zagadką. Właściwie ciągle nie wiedziała nic o jego norweskiej rodzinie. Nie wiedziała nic o jego najgłębszych pragnieniach i lękach, nie wiedziała, czy kiedykolwiek czuł się choć trochę winny śmierci Bridget.

Dwa dni wcześniej zatrzymali się na targu, gdzie podeszła do niego śliczna brunetka i pocałowała go w usta. Dotknął jej ramienia, jakby dobrze ją znał, a dziewczyna poszła dalej, wkładając jarzyny do koszyka.

– Kto to był? zapytała Meredith.

– Stara przyjaciółka odparł, wzruszając ramionami.

Potrafił w sposób doskonały oddzielać przeszłość od terażniejszości, co było dla Meredith bardzo frustrujące. Wydawało się też, że jej przeszłość zupełnie go nie interesuje. Nie interesował go jej zawód. Nie pytał o hipoterapię ani o siostrę w Denver, ani napięte stosunki łączące Meredith z ojcem. Kiedy poruszyła bolesny temat śmierci swojej matki, zbył ją krótko.

Meredith chciała, by interesował się jej wnętrzem, by był dumny z jej sukcesów w pracy z dorosłymi pacjentami i dziećmi przychodzącymi na hipoterapię. Chciała dzielić się całym swoim życiem z człowiekiem, który wyzwolił jej ciało. Dlaczego nie mogą dzielić swoich myśli, swoich dusz?

Ona była na to gotowa. Zrobiłaby to dla niego. Ale Erik... On żył tylko chwilą obecną.

Potem, w miarę jak zbliżał się termin wyjazdu na Alaskę, zaczęła zauważać pewne zmiany w sposobie, w jaki się z nią kochał. Być może z powodu napięcia ścisnął ją mocniej, czasem tak mocno, że rano miała siniaki na biodrach. Próbował nawet wejść w nią od tyłu, ale tu Meredith była stanowcza. Rozzłościło go to.

Odsunął się od niej. Oczywiście po kilku minutach przyciągnął ją znowu do siebie.

– Kiedyś nauczę cię czerpać z tego radość – powiedział i zaczął się z nią kochać bardziej konwencjonalnie.

Tej nocy jeszcze na schodach znowu próbował wejść w nią od tyłu, ale Meredith uciekła mu, słysząc swoje własne słowa:

– Nie, Erik, proszę.

Nie mogła uwierzyć, że prosi go, żeby tego nie robił. Co się stało z jej wolną wolą, jej własnym zdaniem?

Później, w łóżku, leżała, trzymając go w sobie gorączkowo, z całych sił. Wiedziała, że wkrótce wyjedzie. Zawsze będzie gdzieś wyjeżdżał albo skądś wracał. Nigdy nie będzie należał do niej w pełni, podczas gdy ona należała do niego całkowicie, bez zastrzeżeń.

Zasnął w końcu, ale ona leżała obok, przytulona do niego. Pot na ich ciałach lśnił w świetle księżyca. Penis Erika leżał miękko na jej udzie. Meredith położyła dłoń na jego piersi, chcąc czuć bicie jego serca, jego oddech. W tej chwili wiedziała, kim jest, ale kiedy Erik wstanie rano i odejdzie kim ona wtedy będzie?

Pod koniec czerwca przygotowania do wyprawy niemal dobiegły końca. Wszystko zostało zaplanowane, żywność zamówiona, sprzęt spakowany, transport zorganizowany. Księżę Kemil zaoferował swój prywatny odrzutowiec, którym cała grupa miała polecieć do Anchorage. Erik i Chad wyjechali na kilka wspinaczek – do Grand Teton w Wyoming, na Mount Rainier, na trzy krótkie wspinaczki na miejscowe szczyty. Meredith za każdym razem czekała niecierpliwie na powrót Erika. Nie była w stanie skoncentrować się na niczym. On śmiał się z jej obaw. Śmiał się, a potem brał ją w ramiona i szedł z nią do łóżka.

Było jeszcze kilka wieczorów u Kemila i kilka u Kathy, ale czasem Meredith udawało się od tego wykręcić. Nie chciała należeć do orszaku jego wielbicielek. Ale trudno było mu odmawiać. Wydawało się, że chce ją mieć przy sobie przez cały czas.

– Nie Erik, nie dzisiaj. Mam coś do zrobienia – powiedziała mu pewnego wieczoru.

– Więc zrób to kiedy indziej.

– Nie potrzebujesz mnie tam. Nie rozumiem nawet waszych żartów.

– Potrzebuje cię. Nie wierzysz mi?

– Nie, ale...

– Jedź ze mną, Meredith.

– Nie, naprawdę. Jedź sam.

Boże, to było takie trudne, ale gdzieś w głębi duszy czuła, że czasem powinna spędzić trochę czasu bez niego.

W końcu pewnego dnia, kiedy Erik był u Kathy, zadzwoniła do swojej siostry Ann.

– Meredith?

– Cześć, Annie.

– No, no, od dawna nie dawałaś znaku życia.

– Byłam bardzo zajęta.

Od tygodni. Zapomniałaś o urodzinach Amandy i nie odpowiedziałaś na żadną z wiadomości, jakie ci zostawiłam.

– Tak mi przykro. Biedna Amanda. Powiedz jej, że zaraz jej coś wyślę.

– No, co u ciebie?

– Poznałam kogoś.

– O mój Boże! – Ann wzięła głęboki oddech. Kto to? Opowiedz mi o nim. Och, Meredith!

– Nazywa się Erik Amundsson, to słynny himalaista. Jest niesamowity.

– Naprawdę? Zakochałaś się?

– Chyba tak. Meredith urwała i dodała po chwili: Tak.

– A Tony?

– Już dawno z nim skończyłam.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nawet mówisz jakoś inaczej.

– Jestem kimś innym.

– Jest przystojny?

– Niesamowicie.

– Przywieź go do Denver. Czy ojciec już go poznał?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Do diabła, Meredith, kiedy masz zamiar wybaczyć własnemu ojcu?

– Zapewne nigdy – powiedziała Meredith lekko.

– Ale my możemy go poznać?

– Jasne, kiedyś. On zawsze jest na jakiejś wyprawie. W lipcu jedzie na McKinley i nie będzie go wiele tygodni.

– Biedactwo.

– On jest cudowny, Ann.

– Na pewno. W przeciwnym wypadku nie zakochałabyś się w nim.

Dla Ann wszystko jest takie proste i łatwe, pomyślała Meredith, odkładając słuchawkę. Ale siostrze zawsze było łatwiej, Meredith się o to postarała.

Zgodziła się pójść na kolację do Kemila, ostatnią przed wyprawą. Erik zapewnił ją, że będzie to towarzyskie spotkanie.

Wieczór zaczął się bardzo miło. Jessie Robertson zamieniła z nią nawet kilka przyjaznych słów. Pytała o Greene Ranch, powiedziała, że zna jednego z jej małych pacjentów i że hipoterapia to wspaniały program.

Meredith pojaśniała z dumy. Miała nadzieję, że słyszał to Erik, ale kiedy odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, zobaczyła nieprzyjemną scenę.

Erik, Chad i Kemil stali razem przy podwójnych drzwiach do salonu i sprawiali wrażenie, jakby się o coś kłócili.

Jessie wzruszyła ramionami i wróciła do rozmowy z Danem, ale Meredith obserwowała trzech mężczyzn za drzwiami. Chad i Kemil stali naprzeciw siebie książę w postawie defensywnej, ze skrzyżowanymi na piersi rękami, Chad gestykulując agresywnie. Meredith udało się usłyszeć kilka słów.

– ... na pewno można z tym poczekać do czasu, aż wrócimy z wyprawy – mówił Chad.

– Nie sądzę, że zmienię zdanie odparł Kemil.

W końcu odezwał się też Erik, tonem rozjemcy:

– Dobrze już, dobrze, wszystko ustalone. To ważna wyprawa. Na razie dajcie sobie spokój z tymi bzdurami.

Kłótnia została zażegnana i zdawało się, że nikt nie zwrócił na to, co się wydarzyło, większej uwagi. Meredith złożyła ten incydent na karb napięcia związanego z wyprawą, która miała się rozpocząć już za tydzień. Czowała, że ona sama z dnia na dzień jest coraz bardziej nerwowa.

Zjedli kolację. Dan, swobodny jak zawsze, sypał dowcipami jak z rękawa, Jessie potrząsała pobłaźliwie głową, Kevin rozprawiał o sprzęcie, burzach śnieżnych i transporcie, a Chad uspokajał go, twierdząc, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Erik milczał. A Kemil zabawiał Meredith opisami stajni rozplodowych niedaleko Riyadh, należących do jego saudyjskiej rodziny.

Kiedy kolacja dobiegła końca, wszyscy się pożegnali i ruszyli do swoich samochodów. Erik, nadal milczący, otworzył przed Meredith drzwiczki samochodu i zamknął je, kiedy wsiadła. Usiadł za kierownicą, pochylił się do przodu, przekręcił kluczyk w stacyjce i czekał chwilę, aż silnik zacznie równo pracować. Meredith nie wspomniała nic o sytuacji, którą zaobserwowała, ani o jego udziale w kłótni, ale cały czas o tym rozmyślała. Jak zwykle miała w głowie tysiące pytań, jednak tylko nieliczne miała odwagę mu zadać. Erik stawał się bardzo zniecierpliwiony, kiedy na coś nalegała.

Wrzucił bieg i wyjechał z podjazdu. Światła jeepa rozproszyły gęstniejący mrok letniego zmierzchu, oświetlając ściany domu, drzewa i ciemnego suwa, zaparkowanego przy drodze.

Erik mruknął pod nosem coś, co brzmiało jak norweskie przekleństwo, błysnął długimi światłami, oświetlając obcy samochód i pokazał mu środkowy palec ręki.

Meredith była zaskoczona, nigdy dotąd nie okazywał takich emocji, zawsze nad sobą panował. Może rozmowa z Chadem i Kemilem zdenerwowała go bardziej, niż chciał to przyznać.

– O co chodzi? – zapytała.

– O nic. To nic. Nikt.

– Daj spokój, Erik, to musiał być ktoś. Wiesz, czyj to samochód?

Erik patrzył prosto przed siebie na drogę.

– Nikt. Jakiś kretyn. Ci cholerni bogacze i ich polityka.

– Mówisz o Kemilu? Jaka polityka? Chcesz powiedzieć, że...

– Meredith.

Umilkła.

Meredith, to nie jest twój problem ani mój. Nic mnie nie obchodzi polityka.

– Jaka polityka? – zaczęła znowu.

– Żadna. Przestań mnie wypytywać. Nie odrywając oczu od drogi, wyciągnął rękę i dotknął jej piersi, a potem zsunął palce niżej. Jego dotyk był jak płomień, Meredith wstrzymała oddech. Tak lepiej powiedział.

Spróbowała jeszcze raz później, po tym, jak się kochali na podłodze w jej salonie, bo tym razem nie dotarli nawet do schodów. Zmusiła się do tego, żeby zadać mu to pytanie, usiłując przywołać kobietę, którą kiedyś była. Jej ciekawość, jej niezależność.

– Erik – powiedziała, leżąc z głową opartą o jego ramię. Ich splecione dłonie spoczywały na jego biodrze, na tej ostrej kości, którą nazywała żartobliwie jego tajną bronią.

– Tak?

– Erik... – To było takie trudne. – Nigdy nie odpowiadasz na moje pytania. Wiem, że to cię irytuje, ale jak... Jak możemy stworzyć udany związek, jeśli nie chcesz mi zaufać?

– Meredith – westchnął tylko.

– Nie, nie. – Uniosła się na łokciu i spojrzała mu w oczy, ukryte teraz w głębokim cieniu. – Mówię poważnie. Nigdy nic mi nie mówisz. Tak mało o tobie wiem. To, co się dzisiaj stało, ten samochód przed domem Kemila. Ty wiesz, kto to był, wiem o tym, ale nie chcesz...

Położył jej palec na ustach.

– Słowa, słowa. Nie lubię mówić. Jestem w tym beznadziejny. Nie jestem psychologiem, Meredith. Nie analizuję wszystkiego tak jak ty.

– Nie mówię, że masz analizować. Ale czasami... sama nie wiem...

Mam wrażenie, że jesteś kimś zupełnie mi obcym.

– Znasz mnie na wylot. Należymy do siebie.

– Proszę. – Nienawidziła tego robić. – Spróbuj mnie zrozumieć. Muszę coś o

tobie wiedzieć.

– Więc pytaj.

– Och, nie, nie teraz. Nie tak.

Erik podniósł głowę i pocałował ją delikatnie.

– Przepraszam. Wiem, że jestem w tym kiepski. Nie jesteś pierwszą osobą, która mi to mówi. Postaram się bardziej, obiecuję. – Potem zmusił ją, by położyła się na nim, objął ją w talii i przycisnął do siebie. – Wiesz, że cię kocham? zapytał.

– Tak odparła bez tchu.

– To wszystko. To wystarczy.

Chciała zaprzeczyć, powiedzieć mu, że musi go znać. Ale on przekręcił się nagle i położył na niej, opierając się na łokciach. Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować jej usta, ssać, lizać i drażnić językiem, aż odchyliła głowę do tyłu i wtedy wszedł w nią, a ona znowu zaczęła wspinać się na ten szczyt, coraz wyżej, zlana potem, drżąc z wysiłku...

Obudziła się o świcie, dygocząc z zimna. Ciągle leżeli na podłodze, nakryci tylko koszulą Erika. Zdała sobie sprawę, że nie odpowiedział na żadne z jej pytań. Znowu wymknął się jej. Zamknął jej usta pocałunkami, dłońmi, całym swoim perfekcyjnie nastrojonym ciałem.

Rozdział 9

Zauważyła pusty stolik w rogu małego bistro w czytelnicy Explore Booksellers i usiadła przy nim z naręczem książek, magazynów i kanapkami. Miała jeszcze całą godzinę, zanim zjawi się u niej kolejny pacjent.

Położyła kanapki na stoliku, otworzyła pierwszą książkę i poszukała indeksu nazwisk. Był tam, Erik Amundsson – strona sto czterdziesta. Zauważyła, że książka została wydana po raz pierwszy w roku 1985, na kilka lat przed tym, jak Erik zdobył międzynarodową sławę. Otworzyła książkę na wskazanej stronie i przebiegła wzrokiem kilka akapitów, w których pojawiała się nazwisko Erika. Była tam nawet fotografia. Erik, bez brody, w stroju do wspinaczki, na tle porażająco błękitnego nieba i oślepiającej bieli śniegu. Wyglądał na tym zdjęciu tak młodo.

Wzięła kolejną książkę. W tej nie pojawiała się jego nazwisko, ale i tak wydała jej się interesująca. Była o Sierpach, Katmandu i Himalajach. O egzotycznych miejscach, w których był Erik, a których ona zapewne nigdy nie zobaczy.

Chciała wiedzieć wszystko o jego świecie, był to jakiś wewnętrzny przymus. Podejrzała, że to jej potrzeba kontroli manifestowała się w ten sposób. Z drugiej strony zastanawiała się chwilami, czy nie szuka w ten sposób odpowiedzi na pytania, na które on nie chciał jej odpowiedzieć.

Jakiegolwiek były motywy jej postępowania, kupowała mnóstwo książek o wspinaczce wysokogórskiej albo siedziała godzinami w czytelnicy, zgłębiając nowy temat.

Wiedziała, że Erik żyje w świecie, którego ona nigdy w pełni nie zrozumie. Nie będzie w stanie kontrolować tego aspektu jego życia bardziej, niż on mógłby kontrolować jej potrzebę pracy z pacjentami czy dziećmi na ranchu. Nie, żeby Erik chciał wejść w tę sferę jej życia. Pod tym względem zupełnie się od siebie różnili. Jak jin i jang. Ale czyż uzupełniające się osobowości nie powinny stworzyć związku pełnego równowagi?

Zastanawiała się nad tym, kiedy jakiś głos wyrwał ją z zamyślenia. – Meredith Greene?

Drgnęła i podniosła głowę.

– To ty – stwierdził mężczyzna. – Co za zbieg okoliczności.

Meredith rozpoznała go, choć zabrało jej to kilka sekund.

– John McCord przypomniał jej się. – Byłem u ciebie w gabinecie jakiś czas temu.

– John, oczywiście. – Ujęła jego wyciągniętą dłoń. – Miło znowu cię widzieć.

Trzymał w ręce kanapkę i kubek kawy, który postawił na stole. Odsunął krzesło, zawahał się i zapytał:

– Mogę się przysiąść?

– Cóż... Dlaczego nie?

Wyciągnął szyję i spojrzał na jej książki.

– *Samotne wspinaczki, Aconcagua – przewodnik, Szczyty Alaski*. Ciężka literatura. Wspinasz się, Meredith?

Roześmiała się i wskazała palcem na siebie.

– Ja? Mój Boże, nie.

– Hm – John upił łyk kawy, przełknął i postawił kubek na stole. – To fascynujący temat. Przypuszczam, że masz kilku alpinistów wśród swoich pacjentów, prawda?

Meredith przekrzywiła lekko głowę.

– Właściwie nie. Chociaż jeśli mieszka się w tym mieście dość długo, prędzej czy później pozna się kogoś, kto się wspina.

– Zdaje się, że kilku miejscowych omal nie zginęło na Everescie kilka lat temu. Wielu ludzi straciło tam wtedy życie.

– Tak, zbyt wielu. Masz rację, w tamtej wyprawie wzięły udział trzy osoby z Aspen. Wszystkim udało się zejść. Ale i tak...

– Do tego trzeba więcej odwagi, niż mnie się dostało – powiedział John.

Meredith zauważyła, że był swobodny i otwarty, a jego błękitne oczy błyszczały szczerym zainteresowaniem.

Tak jak przy pierwszym spotkaniu dostrzegła, że jest przystojnym mężczyzną. Mocnej budowy, pewny siebie, o niezbyt regularnych, ale pociągających rysach twarzy. Wydał jej się czarujący i pomyślała, iż jest zupełnie inny niż Erik, taki otwarty... i miły. Przebywanie w towarzystwie kogoś o mniej dominującej osobowości było bardzo odświeżające.

Dziwne, że w gabinecie właściwie nie dostrzegła jego irlandzkiego wdzięku. Ale zaraz przypomniała sobie dlaczego. Czekwała wtedy na telefon od Erika. Czekala i cierpiała.

– Znasz kogoś, kto wybiera się na wyprawę w góry? John wytarł usta serwetką, zmiął ją i rzucił na pusty talerzyk.

– Och, no wiesz odparła wymijająco, zastanawiając się, dlaczego nie chce powiedzieć mu prawdy. – Zawsze jest ktoś, kto akurat wybiera się w góry.

– Moim zdaniem trzeba być świrem, żeby tak ryzykować własne życie. Oczywiście „świr” nie jest określeniem, którego często używasz. – Uśmiechnął się

kącikiem ust.

Meredith odpowiedziała mu uśmiechem. Odkryła nagle, że ta swobodna rozmowa, to porozumienie z drugim człowiekiem, sprawiają jej przyjemność.

– Cóż, prawdę mówiąc, ciągle używam takich określeń.

– Ale to chyba nie całkiem poprawne zawodowo.

– Nie zawsze.

– Więc co do jednego jesteśmy zgodni powiedział z uśmiechem. – Ludzie, którzy się wspinają, to świry.

Meredith parsknęła śmiechem i zdała sobie sprawę, że od bardzo dawna nie czuła się tak beztroska.

Odchyliła się na oparcie krzesła i przez chwilę obserwowała Johna, który przeglądał jeden z magazynów. Mimo całego wdzięku i swobody w jego niebieskich oczach coś się kryło, jakaś czujność. Przez ułamek sekundy Meredith poczuła się niepewnie.

– Przepraszam – powiedziała po chwili – ale nie mogę sobie przypomnieć, co właściwie robisz w Aspen?

Podniósł wzrok.

– Zajmuję się sprzedażą. Teraz, przy komputerach i Internecie, można mieszkać gdzie się chce.

Aha – mruknęła Meredith i zerknęła na zegarek. – No, czas na mnie.

– Już?

– Obowiązki wzywają.

– Cóż, miło było cię znowu spotkać.

Meredith wstała, obciągnęła granatową lnianą bluzkę i zebrała książki, by odłożyć je na odpowiednie półki.

– John... – Nagle doszła do wniosku, że musi to wiedzieć. – Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne, pytaj.

– Większość moich pacjentów wraca po pierwszej wizycie chociaż jeden raz.

Byłam ciekawa...

– Dlaczego ja już się nie pokazałem?

– Tak.

– Może mnie uleczyłaś.

– Wątpię.

KO Uśmiechnął się szeroko.

– Więc dlaczego właściwie przyszedłeś wtedy do gabinetu?

– Może chciałem cię poznać? – odparł kokieteryjnie.

Meredith podniosła ze stolika stertę książek i przewróciła oczami.

– Chyba bajerujesz – powiedziała i odwróciła się, by odejść.

– A może... – usłyszała jego głos. – Może poszlibyśmy któregoś wieczoru na kolację? Albo do kina?

– Dziękuję, ale nie – powiedziała, odwracając się ponownie.

– Więc ciągle widzisz się z Amundssonem – powiedział John.

– Co?

– Z tym himalaistą – wskazał głową książki, które trzymała pod pachą. – Erikiem Amundssonem.

– Skąd...

– Daj spokój – przerwał jej. – Jestem tu nowy, ale Aspen to małe miasto.

– Och. – Nic więcej nie przyszło jej do głowy.

W końcu dotarła do odpowiedniego działu księgarni, cały czas czując na plecach wzrok Johna.

Szła Main Street, uśmiechając się do siebie na wspomnienie tego miłego spotkania, które trochę jej pochlebilo. Nagle coś przyszło jej do głowy. Był Tony, który ciągle dzwonił od czasu do czasu. Był, oczywiście, Erik, który zapanował nad jej życiem. A teraz pojawił się John McCord, który właśnie chciał się z nią umówić i którego po prostu nie mogła nie lubić. Czy to możliwe, że jej życie, zanim poznała Erika, było tak puste i nudne? Może obudziło się w niej coś, jakaś seksualna świadomość? Najwyraźniej dostrzegł to Tony. A teraz John. Ale przebudzenie zawdzięczała Erikowi.

Otworzyła drzwi gabinetu, położyła torebkę na biurku i uśmiechnęła się do siebie.

Erik i Chad wyjechali z miasta następnego ranka na trzy dni, by wspinać się w Rocky Mountain National Park. Byli przewodnikami grupy z Denver, którą mieli spotkać u podnóża Longs Peak.

Meredith wyszła z domu. Otwierając drzwi samochodu, zobaczyła, że Tony zamyka właśnie za sobą drzwi swojego domu.

Tony.

Mimo że mieszkali tak blisko siebie, nie widziała go od tygodni. Czowała się z tego powodu winna. Wsiadając do samochodu, uświadomiła sobie, że z powodu Erika zaniedbała wszystkich wspólnych znajomych swoich i Tony'ego, sporą część swojej przeszłości. Czy powinna zadzwonić do Tony'ego z pracy? Pogadać z nim chwilę? Byli przyjaciółmi, nie, kochankami, przez długi czas. Nigdy tak naprawdę

nie zerwała tego związku.

W połowie drogi do Aspen odrzuciła ten pomysł. Może nie zerwała z nim jak należy, ale to już skończone. Lepiej nie budzić licha. Ale dojeżdżając do gabinetu, znowu zmieniła zdanie. Nie bądź tchórzem, myślała, Tony był twoim przyjacielem przez długi czas. Czowała, że musi uporać się z tym poczuciem winy.

Jako profesjonalistka wiedziała, że poczucie winy pojawia się często po śmierci bliskiej osoby, po rozwodzie, oddaniu rodzica do domu opieki i wtedy, kiedy nie poświęciło się dość czasu swoim dzieciom. Może towarzyszyć zawieraniu transakcji, przyjaźni, związkom seksualnym, a nawet wynikać z faktu, że użyło się słowa „nie”.

Do niej także odnosiło się to wszystko. Dręczyło ją poczucie winy z powodu śmierci matki. Czy powinna postawić się ojcu, kiedy matka nie chciała jechać do Denver? Czowała się też winna, bo uważała, że jej młodsza siostra zasługiwała na lepszą opiekunkę niż ona. Teraz poczucie winy będzie ją dopadać, ilekroć natknie się na Tony'ego.

Tak. Zadzwoń do niego.

Wykręciła numer i zostawiła wiadomość jego sekretarce. Zadzwoił mniej więcej po godzinie.

– Meredith, mój Boże, już myślałem, że zniknęłaś z powierzchni ziemi.

– Nic z tego – odparła wesoło.

– Co słyhać?

– Pomyślałam, że może wpadłbyś dzisiaj do mnie na kolację.

– Słucham?

– Pomyślałam tylko, że...

– A gdzie się podziewa twój kochaś?

– Tony.

– Co się z nim stało? Chryste, co wieczór widzę jego jeepa pod twoim domem.

Meredith czuła, że zaciska palce na słuchawce aż do bólu. Może to jednak nie był dobry pomysł.

– Wyjechał na kilka dni.

– I już czujesz się samotna? O to chodzi?

– Na litość boską, Tony, chciałam tylko pogadać z tobą, zjeść pizzę i tyle – rzuciła lekko – Przepraszam. Cholera, zachowuję się jak kretyn.

– Jeśli nie masz ochoty, to...

– Jasne, że mam ochotę. Jesteśmy kumplami, pamiętasz? W każdym razie tak mówiłaś.

- Owszem, jesteśmy.
- W porządku. Koło siódmej?
- Doskonale. Cieszę się, że cię zobaczę, Tony. Naprawdę.
- Tylko nie próbuj mnie analizować – odparł. – Dobrze?

Umowa stoi.

Wracając do domu, Meredith kupiła mrożoną pizzę ze wszystkimi dodatkami, taką, jak lubił Tony. Rozpakowując ją i wkładając do piekarnika, uświadomiła sobie, że nie wie, jaką pizzę lubi Erik. Wydawało się, że jedzenie nie ma dla niego znaczenia. Było tylko rodzajem paliwa.

Tony przyszedł kwadrans po siódmej, prosto z pracy. Przyniósł butelkę drogiego caberneta. Miał na sobie sportową marynarkę z szarego lnu, a pod nią jedwabną kremową koszulę z krótkim rękawem. Meredith przypomniała sobie, jak atrakcyjny wydawał jej się, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy.

– Cześć powiedział, pocałował ją w policzek i wręczył butelkę wina. – Przepraszam, że tak głupio się zachowałem, wtedy, przez telefon.

Było tak jak kiedyś, kiedy często jedli razem pizzę, chińszczyznę na wynos czy żeberka. U niej albo u niego. I czuli się w swoim towarzystwie tak dobrze, tak swobodnie.

Ale teraz, kiedy Meredith doświadczyła tego, co dał jej Erik, jej związek z Tonym wydawał się nędzną namiastką miłości.

– Wiesz, nie mam pojęcia, jak mam się przy tobie zachowywać – powiedział Tony, siadając na stołku barowym przy kuchennym blacie, tam gdzie zawsze kiedyś siadał.

To trochę niezręczna sytuacja, prawda?

– Cóż, ja jestem taki sam jak dawniej, ale ty nie, Meredith.

On ma rację, pomyślała, ale odparła z uśmiechem:

– To ciągle ja.

Tony przekrzywił głowę i przyglądał jej się przez chwilę. Czują, jak przesuwają wzrokiem po jej ciele.

– Niezupelnie powiedział w końcu.

Meredith poczuła, że się rumieni. Odwróciła się szybko plecami do niego i zajęła przyrządzaniem sałatki.

Zjedli przy blacie w kuchni. Tony dolewał wina do jej kieliszka, ilekroć upiła choćby łyk. Sam wypił trzy kieliszki, zanim ona skończyła pierwszy.

– Dobra pizza – powiedział. – Dziękuję.

– Dobre wino.

– To też.

Meredith wstała, żeby włożyć talerze do zlewu, ale Tony położył jej dłoń na ramieniu.

O czym chciałaś ze mną porozmawiać? spytał. W jego oczach pojawił się jakiś błysk.

– O niczym konkretnym. Co robisz, jak praca, takie tam.

– Więc nie chciałaś rozmawiać o Eriku Wspaniałym?

Meredith zeszywniała.

– Raczej nie.

– Nieźle ci zawrócił w głowie.

– Tony, naprawdę nie zaprosiłam cię tu, żeby rozmawiać o Eriku. – Meredith odsunęła się i zaczęła wkładać naczynia do zlewozmywaka.

– Może jednak wcale nie jesteśmy przyjaciółmi, Meredith. Co o tym sądzisz? Chodzi mi o twoją opinię jako profesjonalistki.

– Nie będę o tym rozmawiać. Chcesz zmienić temat?

– Chyba nie.

Tony wstał ze stołka i stanął tuż za nią. Zdecydowanie za blisko.

– Tony, proszę.

– O co?

– Teraz naprawdę zachowujesz się jak kretyn.

Czuła jego oddech na swojej szyi, ciepły i pachnący alkoholem.

– Przestań natychmiast rzuciła krótko.

Cofnął się, a Meredith odwróciła się szybko, żeby spojrzeć mu w twarz. Sytuacja zrobiła się nieprzyjemna. Nie powinna była go zapraszać. Głupia.

– Dokąd tym razem wybrał się nasz bohater? spytał Tony.

– Jest przewodnikiem grupy na Longs Peak, razem z Chadem.

– Hm... Nie przypuszczam... – Tony uśmiechnął się szeroko. – Nie przypuszczam, żebyś miała ochotę... no wiesz, przez wzgląd na stare dobre czasy?

W pierwszej chwili Meredith nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

– Co powiedziałaś?

Słyszałaś.

– O Boże – powiedziała ze złością. – Chyba nie mówisz poważnie.

– Dlaczego nie?

– Bo... bo chyba nie sądzisz, że... że ja... Nie możesz...

– Och, daj spokój, Meredith rzucił Tony ironicznie. – Skoro pozwalasz Amundssonowi, zakładam, że pozwolisz każdemu.

– O czym ty, do cholery, mówisz? Teraz Meredith z trudem hamowała wściekłość.

– Dobrze wiesz, o czym mówię.

– Nie, niewierni – Jesteś tylko kolejną zdobyczą Amundssona. Nie różnisz się niczym od innych... szczytów, na które ma ochotę wejść. I powiem ci jeszcze coś. Kiedy Amundsson już wejdzie na szczyt, długo tam nie siedzi. O nie, schodzi na dół i rozgląda się za następnym wyzwaniem.

– Nie wiesz, o czym mówisz! – zaczęła Meredith, ale Tony odwrócił się do niej plecami, machnął lekceważąco ręką i ruszył do drzwi.

Niedowierzenie i wściekłość na moment odebrały jej mowę, ale zaraz potem ruszyła szybko za nim.

– Dobranoc, Meredith – powiedział Tony sarkastycznie.

– Zadzwoni, jak będziesz gotowy mnie przeprosić – odpaliła, ale on nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, tylko otworzył drzwi i wyszedł.

Sukinsyn, cholerny sukinsyn, myślała, stojąc w drzwiach, kiedy kątem oka dostrzegła ciemnego suwa, o przyciemnionych szybach, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, na światłach i z włączonym silnikiem. Wyglądał jak samochód, który stał pod domem Kemila.

Opanowała się. To śmieszne. W okolicy są pewnie setki takich samochodów – może nawet tysiące. To z pewnością nie może być to samo auto.

Samochód ruszył i wkrótce zniknął wśród innych na Woody Creek Road, ulicy, która w końcu przekraczała rzekę.

Śmieszne, pomyślała znowu Meredith, dlaczego ktoś miałby ją obserwować?

Potrząsnęła głową i weszła z powrotem do domu. Najpierw obsesja na punkcie mężczyzny, a teraz jeszcze paranoja, pomyślała i zamknęła za sobą drzwi. Znowu wróciły do niej słowa Tony'ego. Doszła do wniosku, że był w błędzie. To tylko zazdrosny dupek.

W sobotę Meredith załadowała swój jeździecki ekwipunek do samochodu, zatrzasnęła bagażnik i odwróciła się, by spojrzeć w stronę domu Tony'ego.

Ciągle była na niego wściekła. Pół nocy nie mogła zasnąć.

Ale kiedy tego popołudnia skończyła zajęcia z dziećmi, ogarnął ją wreszcie błogi spokój. W tej terapii, w kontakcie z dziećmi i końmi, było coś podnoszącego na duchu. Zapach stajni, kurz padoku, szerokie pola, których wysoka trawa muskała jej dżinsy, białe chmury na szafirowym niebie – to wszystko było zachwycające. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby jej ojciec kiedykolwiek chciał sprzedać ranczo. Pewnie musiałyby szybko zarobić mnóstwo pieniędzy i kupić

sobie własne.

Odprowadziła konia na wybieg i pomachała odjeżdżającym dzieciom i ich rodzicom.

Dzisiejsza sesja była wyjątkowo udana. Jodie Smith zrobiła pierwszy samodzielny krok, kiedy Meredith pomogła jej zejść z konia. Nikt się nie odezwał. Przez chwilę potrafili tylko patrzeć w milczącym zdumieniu. W końcu ktoś westchnął „Jasny gwint!” i wtedy wszyscy zaczęli się cieszyć jak szaleni.

Meredith zostawiła konia na pastwisku wraz z innymi zwierzętami i ruszyła w stronę bramy, uśmiechając się do siebie. Wczorajsza noc była ciężka, owszem, ale jaki wspaniały dzień mamy dzisiaj!

Zmieniła obuwie, otrzepała zeschnięte błoto z butów do konnej jazdy i wrzuciła je do bagażnika. W tym momencie zobaczyła ojca, który szedł w jej stronę.

– Merry! – zawołał Zaczekaj chwilę.

Na czystym horyzoncie pojawiła się chmura. Czego on chce? Podeszedł do niej wielkimi krokami, otrzepując ręce o sprane dzinsy.

– Jak dziś poszło dzieciakom?

– Świetnie. Jodie zrobiła pierwszy krok, nieduży, ale utrzymała równowagę i...

– To dobrze, to bardzo dobrze. – Ojciec wydawał się roztargniony, jakby myślał o czymś innym.

– Coś jeszcze? – Meredith spojrzała na niego ostro.

– Och, no tak, chciałem... Chciałem się z tobą przywitać.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Witaj więc.

– Eee... – mruknął Neil i ruszył w stronę, z której przyszedł, ale zatrzymał się nagle i wrócił do niej. – Byłem ciekaw...

Meredith czekała.

– Cóż, Soren... wiesz który, znasz Sorena, to ten, co kupił farmę starego McPhersona.

– Uhm.

– No więc, powiedział mi, że ponoć widzisz się z tym Amundssonem i pomyślałem... chciałem...

– No, o co chodzi? – spytała Meredith niecierpliwie.

Neil westchnął.

– A, do diabła, Merry. Chciałem cię zapytać, czy to ten sam Amundsson, który poszedł z dziewczyną w góry i ona zginęła?

Meredith skamieniała.

– Chodzi mi o to, że... Czy chcesz być z kimś, kto spowodował tyle cierpienia? Równie dobrze mógł ją uderzyć w twarz. Cofnęła się i zmrużyła oczy.

– Cóż, kto jak kto, ale ty, tato, wiesz chyba, jak to jest być odpowiedzialnym za czyjąś śmierć. Prawda?

Neil wyglądał tak, jakby dostał pięścią między oczy.

– Merry, Meredith zaczął. Ja nie chciałem...

– Och, jasne, jasne, nie chciałeś – wycodziła, chwyciła za klamkę, wsiadła do samochodu i odjechała.

Mój Boże, myślała, drżąc z gniewu. Najpierw Tony, teraz jej ojciec, a Erika akurat nie ma. A nawet gdyby był, czy udzieliłby jej jakiegokolwiek wsparcia? Czy słuchałby ojej problemach?

Nie, odpowiedziała sobie. Nie.

Rozdział 10

Wieczorem, ciągle zdenerwowana, zadzwoniła do Sandry Cohen. Sandra, przyjaciółka i koleżanka po fachu, była psychoterapeutką. W nagłym przebiegu rozsądku Meredith pojęła, że musi pomówić z kimś, kto byłby i obiektywny, i życzliwy jednocześnie. Nie знаła nikogo innego, nikogo bezstronnego, z kim mogłaby rozmawiać o wewnętrznej walce, jaką bezustannie ze sobą toczyła. Z pewnością nie mogła o tym rozmawiać z ojcem ani siostrą, ani żadnym ze swoich dawnych przyjaciół, o których od wielu miesięcy nie pamiętała. Uświadomiła sobie, jak bardzo jest wyalienowana i przeraziło ją to. Sandra, starsza od Meredith, miała koło czterdziestki i przedwcześnie posiwiałe włosy. Kiedy Meredith zaczynała własną praktykę, Sandra była jej przewodniczką i mentorem, Meredith zawsze odnosiła się do niej z najwyższym szacunkiem.

W poniedziałek po południu pojechała do domu Sandry przy drodze wiodącej na Independence Pass, w którym mieścił się także jej gabinet. Był wspaniały letni dzień, ciepły i suchy. Niebo, bladobłękitne w zenicie, bliżej horyzontu przybierało barwę ciemniejszego szafiru. Przed nią wznosiła się Independence Pass, mieniąca się różnymi odcieniami leśnej zieleni, nad nią wisały skłębione białe chmury. Widok jak z pocztówki. Ale tego dnia to zapierające dech w piersiach piękno nie zrobiło na niej takiego wrażenia jak zwykle. Była roztargniona i niespokojna. Sandra uścisnęła ją na powitanie.

– Nazwijmy to profesjonalną poradą – powiedziała. – Wysłucham cię, a potem wspólnie poszukamy rozwiązania, dobrze?

– Dziękuję, Sandro. Naprawdę.

Usiadła naprzeciw przyjaciółki w znajomym gabinecie. Przychodziła do niej ubiegłej zimy, kiedy nie potrafiła zdecydować, co właściwie czuje do Tony'ego i czy rzeczywiście chce się z nim zaręczyć. Sandra pomogła jej wówczas; Meredith modliła się w duchu, by i tym razem potrafiła jej pomóc.

– Poznałam mężczyznę – zaczęła. – Wydaje mi się, że go kocham...

Nie, wiem, że go kocham i sądzę, że on też mnie kocha.

Boże, pomyślała, mówię zupełnie jak Bridget Lawrence podczas pierwszej wizyty. Wzięła głęboki oddech.

– Ale czuję się... sama nie wiem, on jest zupełnie inny niż mężczyźni, których dotąd znałam. To słynny himalaista. Jest taki silny, nie w sensie fizycznym, to znaczy w tym sensie także, ale przede wszystkim jest bardzo silny psychicznie, emocjonalnie. Kiedy jestem z nim, wydaje mi się, że nie mam własnego umysłu.

– Trudno mi w to uwierzyć, Meredith. Ty również masz bardzo silną osobowość.

– Wiem, wiem, ale... Sandro, zaczynam się bać. On ma nade mną przewagę, kontrolę. To coś, czego nie pojmuję.

– To kontrola seksualna, emocjonalna czy fizyczna?

Meredith spojrzała na swoje dłonie, zaciśnięte w pięści i leżące na kolanach. Miała wrażenie, że w środku cała wibruje, jak kamerton.

– Kontroluje mnie pod każdym względem. Seks, cóż, zawsze byłam trochę pruderyjna, ale z nim... reaguję, wiesz? Zatracam się.

– To nie musi być czymś złym.

– Nie, pewnie nie. Sandro, wiesz, że zawsze muszę mieć wszystko pod kontrolą. To mój problem. No więc w tym związku nie mam żadnej kontroli.

– Czujesz, że ten brak kontroli jest destrukcyjny? O to właśnie chodzi, prawda?

– Nie jestem pewna. Nie wiem, czy czuję się bardziej wyzwolona, czy wręcz przeciwnie. – Podniosła wzrok. Nie znam go. Jesteśmy razem od prawie trzech miesięcy, właściwie każdej nocy. Jesteśmy sobie bliscy.

Kocham go, ale go nie znam. Nie odpowiada na pytania, zbywa mnie śmiechem – wzięła głęboki oddech. – A ostatnio uświadomiłam sobie, że on właściwie o nic mnie nie pyta, nie obchodzi go moja przeszłość, co robię, ani moja rodzina... Ważne jest tylko to, co dzieje się tu i teraz, seks i to, jak się czujemy razem.

– Myślisz, że to się zmieni, kiedy minie pierwsze oczarowanie?

– Nie wiem. Meredith pochylila się do przodu. – Chcę go o coś zapytać. Pamiętasz, jak opowiadałam ci o Bridget Lawrence i o tym, jak zginęła? To jest właśnie człowiek, z którym wtedy była. Próbowałam dowiedzieć się, co się wtedy stało, ale on nie chce o tym rozmawiać. Mówi, że to był wypadek i tyle. Nawet nie wiem, jak czuł się z tym, że Bridget zginęła. No i były też inne wyprawy, na których ginęli ludzie, ale nie będę cię zanudzać szczegółami. To typ przywódcy, bohatera, uratował też niejedno życie, był przewodnikiem na całym świecie, ale...

– Ale... ?

Na tych wyprawach ginęli ludzie – wyszeptała w końcu. Meredith, wspinaczka jest bardzo niebezpieczna. Wiele osób ginie w górach.

Tak, ale... – Meredith wierciła się niespokojnie w swoim fotelu, założyła nogę na nogę, zdjęła ją i skrzyżowała ręce na piersiach. – Tak bardzo się boję. Czy tylko ja to widzę? Czy to beztraska, czy głupota? Czy on naraża życie innych ludzi? Czy jest... – urwała i z trudem przełknęła ślinę. – Czy on jest... jak mój ojciec?

– Och – mruknęła Sandra.

– Tak – powiedziała Meredith bez tchu. Jestem przerażona. Mówią, że kobiety podświadomie szukają mężczyzny podobnego do ojca. Czy tak jest ze mną?

– Twój ojciec nie jest alpinistą. Jego zawód nie jest niebezpieczny.

Wydaje mi się, że to nie jest słuszna teza.

– Ale obaj – powiedziała Meredith drżącym głosem – obaj nie chcą przyjąć odpowiedzialności za swoje czyny. Jakby... jakby nic ich nie obchodziło to, co się stało.

– Ludzie, zwłaszcza mężczyźni, mają bardzo silne mechanizmy obronne.

Może mylisz mechanizm obronny z brakiem poczucia odpowiedzialności?

– Nie wiem.

Czuję, że kochasz tego mężczyznę, ale... cóż, nie jesteś pewna, czy mu ufasz. Mam rację?

– Tak – mruknęła Meredith.

– Trudna sytuacja. Kochasz go, ale mu nie ufasz. On jest zamknięty w sobie, więc masz wrażenie, że nie ma między wami porozumienia.

– O Boże Meredith poczuła pod powiekami piekące łzy. – To brzmi tak okropnie, tak idiotycznie.

– A jednak jesteś pewna, że on cię kocha.

– Tak.

– Ale ty nie wierzysz sobie samej, swojej zdolności postrzegania? Dobrze myślę?

– Tak, nie ufam już samej sobie. Czuję się tak... jakbym wisiała nad przepaścią. Jeśli się puszcze, nikt mnie nie złapie.

– Nie jesteś pewna, czy ten mężczyzna by cię złapał?

Erik – powiedziała Meredith. Równie dobrze możesz wiedzieć, jak się nazywa. Erik Amundsson.

Tak, domyślałam się, kto to jest. – Sandra spojrzała na nią uważnie. – Więc nie jesteś pewna, czy...

– Nie, chyba nie. Kiedy jesteśmy razem, wszystko jest cudowne. Czuję się szczęśliwa, absolutnie szczęśliwa. Ale kiedy jestem sama, patrzę wstecz i zaczynam dostrzegać, że on zawładnął całym moim życiem.

– To może się zmienić, kiedy będziecie ze sobą dłuższy czas.

Meredith potrząsnęła głową.

– Obawiam się, że nie.

Może powinnaś spędzić trochę czasu z dala od niego, zobaczyć, jak się wtedy czujesz?

On wkrótce wyjeżdża na kolejną wyprawę. Na McKinley. Nie będzie go cały miesiąc.

– To może okazać się bardzo korzystne.

– Umieram ze strachu, że coś mu się stanie... że zginie. Albo że zginie ktoś, kto będzie się z nim wspinał. Gdyby coś się stało...

– Tak, to trudne...

– On kocha góry. Nigdy nie przestanie się wspinać, wiem o tym. A ja będę musiała na niego czekać i konać ze strachu.

– Jestem pewna, że także i to z czasem się zmieni. Usiłujesz przewidzieć przyszłość, Meredith. Wiesz, że taka intensywność emocji nie może trwać długo.

– Wiem, ale co mi z tego. – Meredith ciągle była wewnętrznie rozdygotana. – Co ja mam robić, Sandro? Powinam się z nim rozstać? – Ukryła twarz w dłoniach.

– Ale nie mogę, nie potrafię. Kocham go. Bez niego jestem niczym.

– Meredith, spójrz na mnie – powiedziała Sandra. Tak, tak lepiej.

Cóż, wiesz, że nie mogę ci powiedzieć, co masz robić. Nikt ci tego nie powie. A nawet gdybym ci powiedziała – Sandra uśmiechnęła się lekko – i tak byś tego nie zrobiła. No dobrzeją widzę to tak: Utraciłaś to, co było dla ciebie najcenniejsze, kontrolę. Źle się z tym czujesz. Nie ufasz Erikowi do końca, ale może problem tkwi w tobie, a nie w nim. On wkrótce wyjeżdża – będziesz miała czas pomyśleć, żeby powiedzieć sobie, że się nie zgubiłaś. Ciągłe masz siebie. Swoje uczucia, swój umysł. Nikt nie może ci tego odebrać. Powtarzaj to sobie kilka razy dziennie. „Jestem sobą, jestem tą samą osobą, co kiedyś. Nikt nie może mną zawładnąć”.

– Zachowanie kognitywne westchnęła Meredith.

– To działa.

– Czy ja jestem szalona? spytała Meredith z rozpaczą.

Szalona z miłości.

– Tylko o to chodzi?

– Nie, nie tylko, zmagasz się też z innymi kłopotami. Ten mężczyzna, Erik, on może mieć własne problemy. W końcu wyjdą na jaw. Rozmawiaj z nim, zadawaj te pytania, na które nie chce odpowiedzieć. Ale nie naciskaj go zbyt mocno. Próbuje, jak nie z tej strony, to z innej. Sama zobaczysz, jak się sprawy potoczą.

– A jeśli on... ? Jeśli... kiedyś... On mnie czasem przeraża.

– Czy kiedykolwiek doszło z jego strony do przemocy fizycznej? – spytała Sandra ostro.

– Nie... to znaczy... Nie, właściwie nie. – Meredith poruszyła się niespokojnie w swoim fotelu. Czy powiedziała Sandrze całą prawdę? Czy Erik nie zostawił jej

kilka razy siniaków na ramionach?

Sandra pochyliła się ku niej.

– Dla mnie przemoc fizyczna stanowi nieprzekraczalną granicę. Dla ciebie też powinna. Ze związku, w którym występuje przemoc, nic dobrego nie wyniknie.

– Oczywiście, wiem o tym. Nie, nigdy nie doszło do przemocy, mój Boże, nie mogłabym... nie byłabym...

– W takim razie wszystko w porządku.

– Mogę zadzwonić, jeśli będę miała problemy? Jestem taka zdezorientowana, sama sobie nie ufam.

– Możesz, oczywiście. A gdybyś chciała przyjść jeszcze w tym tygodniu...

– Nie jestem pewna. Zobaczę. Muszę sobie jeszcze przemyśleć kilka spraw.

– Zawsze możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję, Sandro, naprawdę bardzo ci dziękuję.

Meredith wróciła do własnego gabinetu na spotkanie z ostatnią zapisaną na ten dzień pacjentką. Z trudem weszła w rolę terapeutki, wiedziała jednak, że musi się przestawić. Ciągle uczyła się zostawiać własne problemy za drzwiami gabinetu, by całkowicie skupić się na pacjentach. Była im winna całą swoją uwagę.

Nancy Randall potrzebowała pomocy; przychodziła do Meredith od lat i w końcu zaczęła radzić sobie z alkoholizmem męża. W połowie spotkania westchnęła i wydmuchwała nos w chusteczkę higieniczną.

– Sama nie wiem. Pokazałam Frankowi papiery separacyjne, a on powiedział, że to już koniec, poszuka pomocy, skończy z tym. Przysięgał, że tym razem naprawdę przestanie pić. Boże, w końcu zaczął płakać. Nie wiem, co mam myśleć, co robić. Ja... ja go kocham. Zawsze będę kochała człowieka, za którego wyszłam. Jeszcze jakiś czas po narodzinach dzieci właściwie się kontrolował. Ale później... Nancy wyjęła kolejną chusteczkę z pudełka stojącego na stoliku przy jej fotelu.

Meredith czekała.

– Sama nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że przychodzę na terapię od trzech lat. Bardzo chciałam wziąć się w garść i zrobić to, co powinnam.

Teraz, kiedy Lisa jest w szkole średniej, nie chodzi już o dzieci. Tylko o Franka i o mnie. A Lisa i Pete popierają mnie. A jednak... jeśli tym razem Frank naprawdę przestanie pić? Jeśli fakt, że poszłam do prawnika, naprawdę na niego podziałał?

– Co chcesz zrobić, Nancy? Chcesz dać Frankowi jeszcze jedną szansę?

– Ja... sama nie wiem. Chyba w głębi serca wiem, że i tym razem mu się nie uda. Ale może się mylę?

Meredith słuchała w milczeniu, wiedząc, że Nancy tak naprawdę nie czeka na

odpowieź.

– Boję się, że jeśli dam mu kolejną szansę, znowu wejdę w rolę tego, kto umożliwia mu picie. Wiem o tym, ale... Przepraszam, zużyłam całe pudełko chusteczek.

– Mam ich więcej – uśmiechnęła się Meredith.

– W każdym razie okropna prawda jest taka, że mam pięćdziesiąt trzy lata i nie chcę reszty życia spędzić w samotności. Teraz przynajmniej kogoś mam. Frank doprowadza mnie do szaleństwa, nie mogę go znieść, kiedy pije, ale...

– Dlaczego uważasz, że musisz być sama, Nancy?

Nancy otworzyła szeroko oczy i zaśmiała się gorzko.

– Chyba żartujesz? W tym mieście? Gdzie każdy ma najwyżej trzydzieści parę lat i jest piękny jak z obrazka?

– Wcale nie żartuję. Jesteś inteligentną atrakcyjną kobietą. Nie każdy mężczyzna szuka modelki. Nie ustawiaj się od razu na straconej pozycji. Meredith urwała. – Ale porozmawiajmy przez chwilę o tym, że jeśli dasz Frankowi kolejną szansę, może będziesz mu nadal umożliwiać picie.

– Więc uważasz, że nie powinnam go wyrzucać?

– Tego nie powiedziałam. Powiedz mi, czy uważasz, że w ten sposób umożliwisz mu dalsze picie?

Nancy zadumała się nad tym pytaniem, a Meredith pomyślała: Czy jestem taka jak ona? Czy tkwię w związku, o którym wiem, że nie jest dla mnie dobry, bo boję się samotności?

– Posłuchaj powiedziała w końcu do swojej pacjentki. – Nie musisz podejmować tej decyzji sama. Zapytaj rodzinę. Jeśli nie chcesz rozmawiać o tym z dziećmi, porozmawiaj z siostrą. Mówiłaś, że masz siostrę, prawda?

– Dobrze. Nancy pociągnęła nosem.

– Albo z przyjaciółmi. Rozmawiaj o tym. I przemyśl jedno. Być może pokazując Frankowi, co może utracić, dajesz mu największą szansę na to, by w końcu wytrzeźwiał.

Nancy spuściła oczy.

– To takie trudne. O Boże, mam nadzieję, że przez to przejdę. Może powinnam przyjść do ciebie jeszcze raz w tym tygodniu?

– Zobaczymy, co ci da dzisiejsza wizyta. Jeśli będziesz chciała przyjść jeszcze raz, wiesz, że zawsze znajdę dla ciebie czas.

Meredith zamknęła drzwi za Nancy i odetchnęła głęboko.

Zawsze dokładnie wiedziała, co powinni zrobić jej pacjenci, potrafiła ich do

tego zachęcać, współodczuwać z nimi, pokazywać im różne opcje, demaskować mechanizmy wyparcia. Ale tam, gdzie w grę wchodziły jej własne problemy, była bezradna. Słaba i głupia.

Nie, pomyślała, to ja. Jestem tą samą osobą co kiedyś. Nikt nie może mną zawładnąć.

Tak, tak lepiej.

Erik wróci dziś wieczorem. Poczwała, jak ogarniają podniecenie, tęsknota i pragnienie, by znaleźć się w jego ramionach, być blisko niego, czuć jego zapach i jego dłonie na swoim ciele. Był w Rocky Mountain National Park i miał wrócić koło siódmej czy ósmej.

Meredith postanowiła, że wróci do domu, umyje włosy, ogoli nogi i skropi się perfumami, które on tak lubi. Będzie gotowa, kiedy on nareszcie wróci, spocony, zmęczony i radosny po udanej wspinaczce.

Najpierw jednak wstąpiła do biblioteki, żeby zwrócić kilka książek o wspinaczce wysokogórskiej, których nie było w księgarni. Zostawiła je w recepcji, przywitała się z bibliotekarką, którą знаła, a potem poszła w stronę sekcji poświęconej górom. Zdażyła ją już dobrze poznać, przeczytała tuziny książek. *We mgle*, o wyprawie na Mount Everest w 1996 roku. *Annapurna kobiety*, o wspinaczce, w której wzięły udział tylko kobiety w roku 1978. Dwie z nich nie wróciły do domów.

Książki noszące tytuły w stylu *Najwyżej: Mount Everest i inne najwyższe góry świata*, *Tajemnicza góra Tybetu – triumf Sepu Kangri*. Poznała nazwiska słynnych himalaistów, tych, którzy przeszli do historii i współczesnych. Chris Bonington, Dougal Haston i John Harlin, który tak młodo zginął na północnej ścianie Eiger; Mallory, Irving i sir Edmund Hillary. David Breashears i szaleniec z Aspen, Fritz Stammberger, który wyruszył samotnie na Tirich Mir w Hindukuszu i zniknął. Od tamtej pory nikt go nie widział ani o nim nie słyszał. Herman Buhl, który chodził z kulkami śniegu w rękach, żeby przygotować się do wspinaczki. Harvey Carter, założyciel magazynu „Wspinaczka”.

Royal Robbins i Reinhold Messner, prawdopodobnie najślawniejszy współczesny himalaista. Rob Hall i Scott Fischer, który zginął na Evereście w 1996. Anatolij Boukrew, Rosjanin, bohater albo szaleniec, w zależności od punktu widzenia, który zginął na Annapurnie w wieku trzydziestu dziewięciu lat.

Meredith myślała tylko o tym, że zginęło tylu młodych ludzi.

W jednym ze starych magazynów znalazła też artykuł o wyprawie na Aconcaguę, podczas której Erik stracił palce. Zrobiła kopię z mikrofilmu, żeby

przeczytać go w domu. Źle się czuła, robiąc to za jego plecami, ale nie mogła go zapytać. Śmiałyby się tylko, nie odpowiedziałyby, stwierdziłyby, że to już bez znaczenia. A dla niej to miało znaczenie.

Wzięła kąpiel, włożyła miękkie dresowe spodnie i zielony podkoszulek, który podkreślał barwę jej oczu. „Twoje oczy są jak szmaragdy”, powiedział kiedyś Erik, „jak piękne i rzadkie klejnoty”. Zjadła resztki lasagne kupionej kilka dni temu w supermarkecie, a potem zwinęła się w kłębek na swojej zielonej kanapie przy stercie książek ułożonej na stoliku do kawy i wyciągnęła spomiędzy nich artykuł o wyprawie na Aconcaguę.

Artykuł nosił datę sprzed dziesięciu lat. Został napisany miesiąc po tym, jak troje ludzi zginęło w trakcie tej tragicznej wspinaczki. Przebiegła oczami informacje, które nie były już dla niej nowe. Aconcagua znajduje się w zachodniej części Argentyny, blisko granicy z Chile i jest widoczna ze stolicy tego kraju – Santiago.

To przewrotna góra, niektóre z prowadzących na szczyt tras to niemal spacer, i właśnie dlatego ma ona jeden z najwyższych wskaźników śmiertelności na świecie. Ze względu na to, że wspinaczka jest tam technicznie łatwa, wielu ludzi lekceważyło warunki pogodowe i wysokość.

Meredith wiedziała to już z poprzednich lektur. Wiedziała też, co Erik sądził o tej górze. „Nie można jej ufać”, powiedział. „Jest jak niewierna kobieta”. To wszystko. Ale autor artykułu Meredith rzuciła okiem na jego nazwisko, nazywał się Glen Darnauer; nigdy wcześniej się z nim nie spotkała – miał na ten temat więcej do powiedzenia.

Na Aconcagui panują najgorsze warunki, skały i lód. Znużenie ogarnia w końcu każdego, kto ruszy w drogę na szczyt, mącąc umysł i stopniowo odbierając mu siły i zdolność realnego osądu. Sunąc dzień za dniem po kruszącej się skale, nad morenami i lodowcem pełnym szczelin, ludzie zaczynają odczuwać wyniszczające działanie tej góry. Na szczycie czeka ich śnieg po pas i lodowaty wiatr, wierzchołek często ginie w śnieżnych zadymkach.

Tak właśnie wyglądało tło wyprawy zorganizowanej w 1990 roku. Erik Amundsson i Chad Newhouse to doświadczeni przewodnicy z Aspen. Ale pozostałe osiem osób to byli neofici. Młodzi, bogaci, żądni przygód, wyruszyli w styczniu, a więc w czasie, kiedy w Ameryce Południowej trwa lato, by zdobyć ten niesławny szczyt.

Fakty mówią same za siebie. Kiedy znajdowali się na wysokości pięciu tysięcy ośmiuset metrów, rozpętała się burza. Grupa została odcięta od obozu. Po dwóch

dniach dotarli do nich ratownicy. Trzy osoby zmarły w wyniku wychłodzenia i choroby wysokościowej, pięciu innych i dwaj przewodnicy przeżyli, choć cierpieli z powodu bardzo poważnych odmrożeń. Erik Amundsson został uznany za bohatera. Uratował pięciu ludzi, oddając im własny śpiwór i kurtkę. Wykopał jamę w śniegu i zdołał rozpalić ogień. Dosłownie na plecach wyniósł ze szczeliny Josepha Frankela, który zasłabł. Potem wrócił, by odszukać zdezorientowanego Toma Blandera i pozostałą trójkę, tym samym ratując im życie.

Bohater, powiedzieliby niektórzy. A jednak ta historia ma drugie dno, o którym ludzie zawodowo zajmujący się wspinaczką nie chcą pamiętać. Trzeba jednak zadać te pytania. Czy Summit Expeditions wystarczająco dobrze znało swoich klientów? Czy sprawdzili się oni na łatwiejszych szczytach? Czy Amundsson słuchał prognoz pogody? Inne grupy wspinające się na Aconcaguę tego dnia zostały w obozach. Czy Amundsson i Newhouse posuwali się zbyt szybko, wymagali od swoich klientów zbyt wiele i w konsekwencji osłabili ich tak bardzo, że nie byli w stanie przetrzymać burzy? Czy wszystko to miało służyć tylko zdobyciu tego szczytu za wszelką cenę, bez względu na konsekwencje?

I jeszcze jedno. Czy było warte takiego ryzyka?

O mój Boże, pomyślała Meredith. Przebiegł ją zimny dreszcz. Czy ten człowiek może mieć rację? Nie, oczywiście, że nie. Nawet on musiał przyznać, że Erik jest bohaterem. Chciał tylko, by jego artykuł był bardziej interesujący. Łatwo krytykować po fakcie, siedząc w ciepłym wygodnym fotelu.

Meredith usłyszała szcęk otwieranych drzwi i znajome kroki. Wstała, przecesała włosy palcami, rzuciła artykuł na kanapę i poszła powitać Erika.

– Jak było? zapytała.

– Dobrze. Było dobrze. Wszyscy świetnie się spisali. Erik objął ją ramieniem i oparł podbródek na czubku jej głowy. Na szczycie pomyślałem o tobie. Pomyślałem, że spodobałby ci się ten widok.

Meredith oparła się o niego.

– Na pewno bardzo by mi się podobał – uniosła twarz. – Wynajmę helikopter, żeby go zobaczyć.

Erik nie odpowiedział, tylko pochylił się i pocałował ją namiętnie w usta.

– Zmęczony? – zapytała go w końcu.

– Trochę.

– Głodny?

– Nie, w drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Leadville i zjedliśmy coś w meksykańskiej knajpie.

– Możesz dzisiaj zostać?

– Tak, mogę.

Wypuścił ją z objęć, podszedł do kanapy i usiadł. Z roztargnieniem podniósł fotokopię artykułu.

– Och Meredith wyciągnęła rękę po artykuł. Coś jej mówiło, że nie powinien go zobaczyć.

– Co to jest, do cholery? – spytał, sztywniejąc, niskim, niebezpiecznym głosem.

– Nic takiego. Artykuł. Czytam teraz dużo o wspinaczce, wiesz o tym.

Ja...

Erik wstał i podszedł do niej z twarzą pobladłą z gniewu.

– Czytałaś te bzdury? Tego drania Darnauera, tego kłamcy?

– To tylko...

Erik chwycił kartki papieru w swoje wielkie dłonie i rozdarł je z wściekłością, a strzępy wyrzucił w powietrze. Spadły na podłogę jak zestrzelone ptaki.

– Ta pieprzona historia! – ryknął.

W pierwszej chwili Meredith przeraził ten wybuch gniewu. Później jednak ją także ogarnęła złość. Jego reakcja była taka niesprawiedliwa, nieadekwatna. Zebrała się w sobie i to, co powiedziała zaskoczyło ją samą.

– Czytałam ten cholerny artykuł! Dlaczego tak cię to zdenerwowało?

Może dlatego, że ten facet, ten Darnauer, ma rację? Dlatego?

Erik patrzył na nią przez chwilę lodowatym wzrokiem.

– Nie, Meredith – rzucił w końcu. – On nie ma racji. Nie było go tam.

On nawet nie jest alpinistą. Jest nikim.

– Mogę czytać, co zechcę, Erik. Jestem już dużą dziewczynką. Mam własny rozum, na litość boską.

– Za mało wiesz, żeby czytać takie bzdury. Wskazał ze złością strzępy artykułu leżące na podłodze.

Meredith zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Czowała, że ze złości serce bije jej mocno i bardzo szybko. Erik był taki niesprawiedliwy.

– Jak mam ci ufać? Jak? Ilekroć cię o coś zapytam, unikasz odpowiedzi. Nigdy mi nic nie mówisz. Jestem dorosła, do diabła, i zasługuję na odrobiną szacunku. Jezu, jesteś zupełnie jak mój ojciec. Nie chcesz rozmawiać, nie chcesz przyjąć odpowiedzialności za swoje czyny, wypierasz się...

– Meredith – powiedział Erik. Użył zmysłowego tonu, który tak na nią działał.

– Nie, Erik, daj spokój! – machnęła ręką.

– Chodź tutaj.

– Nie... Nie... – zatrzymała się i spojrzała na niego. – Nie próbuj mnie teraz ugłaskać. Sam to zacząłeś. Co się stało podczas tej wspinaczki? Coś cię wkurzyło i teraz odreagowujesz to na mnie? Pokłóciłeś się z Chadem? Chodzi o Kemila? Powiedz mi, Erik. Porozmawiaj ze mną. No, co się stało z twoją słynną odwagą?

Erik podszedł do niej, ale ona nie cofnęła się ani o krok i z palącą wściekłością patrzyła mu prosto w oczy. Stali przez chwilą pierś w pierś.

– No? – ponagliła go.

Erik objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

– Mmm, jaka zła. Moja walkiria.

Meredith zadrzała, ale postanowiła nad sobą zapanować.

– Nie – powiedziała.

– O tak.

– Erik...

Zaczął ją całować, głaskać po plecach, potem musnął jej pośladki i w końcu napał na nią całym ciałem.

– Tak – wyszeptał z ustami przy jej ustach.

– Nie. – Meredith broniła się coraz słabiej.

Podciągnął jej koszulkę i wsunął ręce w spodnie. Czują, jak jego broda kłuje lekko jej twarz, szyję, czułe miejsce za uchem.

– Taaak...

O Boże... – poddała się zupełnie, bezwstydnie. Gniew roztopił się w płomieniu namiętności.

Później, w łóżku, u boku śpiącego Erika, Meredith wtuliła twarz w poduszkę i zaczęła płakać. Nie miała już dość sił, jej ręce słabły, ciało wydawało się coraz cięższe... W końcu musiała się puścić i nie było nikogo, kto mógłby ją złapać, więc wiedziała, że spada – spada w przepaść...

Rozdział 11

O szóstej rano czwartego lipca dwa wybuchy dynamitu wyrwały Aspen ze snu.

Psy zaczęły ujadać, turyści wyskakiwali z hotelowych łóżek, dezorientowani i przerażeni, a zastępca szeryfa przewrócił oczami, nasadził kapelusz na głowę i wypadł z biura. W tym roku w końcu dorwie tych drani.

Eksplozja zbudziła Meredith, ale Erik już nie spał. Kończył się pakować, sprawdzał sprzęt. Spędzili noc w jego apartamencie nad garażem, który teraz, kiedy wszystko zostało zapakowane, był czysty i pusty.

– Która godzina? – wymruczała Meredith.

– Jeszcze wcześniej – odparł.

– Ten hałas... – odwróciła się i potarła oczy.

– Te świry znowu odpaliły dynamit. – Erik podszedł do niej i usiadł na brzegu łóżka. Miał na sobie tylko biały podkoszulek i bokserki.

– Mm – mruknęła, kiedy dotknął dłonią jej szyi.

Podniósł kołdrę i wślizgnął się do łóżka. Jego ciało było ciepłe, mimo że chodził po mieszkaniu w bieliźnie. Zawsze był ciepły. Prawdopodobnie nawet na najwyższych szczytach świata, w szalejących zadymkach.

Dotyk jego dłoni, znajomy i wprawny, rozbudził ją zupełnie, a jej ciało zareagowało na niego jak zawsze. Kiedy w nią wchodził, przypomniała sobie nagle – później pomyślała jakie to dziwne – że tego ranka wyjedzie, że już wkrótce go tu nie będzie. Odpowiadała na jego pieszczoty jeszcze namiętniej, krzyczała z głową odrzuconą do tyłu, obejmując go spazmatycznie, dysząc i jęcząc, z mozołem wspinając się na swój własny szczyt. A kiedy już tam dotarła, dała się ponieść falam tych niezwykłych doznań. Później powoli dochodziła do siebie, leżąc na Eriku bez tchu, drżąca i spocona z wysiłku.

– Muszę częściej wyjeżdżać na wyprawy – powiedział, muskając jej plecy palcami.

– Nie – wydyszała.

– Ale to sprawia, że jest jeszcze lepiej, prawda?

– Co sprawia, że jest lepiej?

– Wyjazdy, rozstania, to, że nie wiemy, kiedy się znowu spotkamy.

– Nie – odparła, ale przyszło jej do głowy, że może kłamać.

Zawiozła go na lotnisko Pitkim County, gdzie o dziewiątej miał się spotkać z pozostałymi pięcioma uczestnikami wyprawy. Odrzutowiec Kemila miał wystartować z Aspen Fixed Base Operations, terminalu dla prywatnych samolotów,

który znajdował się blisko głównego gmachu lotniska. Był to niewielki budynek ze szkła i stali.

Erik miał ze sobą tylko jeden marynarski worek, wszystkie większe przedmioty zostały wcześniej spakowane i załadowane do samolotu. Chada przywiozła Kathy, która także została, by pożegnać odlatujących.

Panowała szczególna atmosfera. Przejawiała się w tym, w jaki sposób uczestnicy wyprawy pozdrawiali się nawzajem i jak rozmawiali z tymi, którzy nie wyjeżdżali z nimi na McKinley. Towarzyszyło im wyczuwalne napięcie i skupienie. Niewiele mówili. Nawet rozmowny zazwyczaj Dan prawie sienie odzywał. Ale ich oczy błyszczały podnieceniem, ciała zdawały się wibrować energią. Czekali ich przygody. Ryzyko i wyzwania wzbogaciły ich życie. Należeli do wybranych, stali wyżej od zwykłych śmiertelników.

Meredith próbowała się uśmiechać, ale już czuła się wyrzucona poza nawias, samotna, choć Erik stał zaledwie kilka metrów dalej. Zaczęła drżeć. Usłyszała jak Kemil mówi coś o alpiniście, który zaginął na McKinley, o burzy... Na ile wypraw pojedzie jeszcze Erik, zanim on także zaginie gdzieś wśród śniegu?

Stała tam, w tym przytulnym, gustownie zaprojektowanym terminalu I patrzyła na niego, na kochanka, na człowieka, który stał jej się bliższy niż ktokolwiek inny w całym jej życiu, i czuła, że mimo tego on nadal jest jej obcy.

Miała w głowie tysiące pytań, ale żadnego nie mogła mu zadać. Nie chciał na nie odpowiedzieć, a może po prostu nie potrafił. Może należał do tych, których nie można poznać.

Boże, to bolało.

Kathy pożegnała się w końcu i odjechała, ale Meredith nie mogła się ruszyć. A Erik, skoncentrowany teraz na swoich towarzyszach, nie zwracał na nią uwagi.

W końcu jednak podszedł do niej i ujął jej dłoń.

– Chodź – powiedział. Chcę z tobą porozmawiać.

Serce podskoczyło jej z radości. Wystarczyło jedno słowo, jedno marne słowo, by znowu rozkwitła.

Poprowadził ją na bok, do okna oddzielającego ich od prywatnych odrzutowców stojących na zewnątrz.

– Wyglądasz na smutną – powiedział.

– Jestem smutna.

Nie bądź.

Dobrze, skoro tego chcesz.

Kochałem cię tego ranka, a ty kochałaś mnie. Nie zapomnimy tego.

– Nie.

Uśmiechnął się, musnął jej usta wargami, a potem sięgnął do kieszeni dzinsów, unosząc jedno ramię, żeby wsunąć rękę głębiej, i wyciągnął małe obite aksamitem pudełeczko. Włożył je Meredith do ręki.

– Co to jest? – spytała głupio.

– Otwórz.

Podniosła wieczko w środku był złoty pierścionek. Prosty, piękny, złoty krążek z jednym lśniącym brylantem. Podniosła oczy na Erika, szeroko otwarte, pytające.

– Wyjdź za mnie powiedział.

Była oszołomiona, podłoga zaczęła uciekać jej spod stóp, nagle zakręciło jej się w głowie. Patrzyła na Erika z otwartymi ustami. Wiedziała, że na zawsze zapamięta tę chwilę, tę salę, gorące światło słońca wlewające się przez okna, ludzkie głosy, warkot silnika samolotu. I Erika, w kraciastej flanelowej koszuli, jego wpatrzone w nią błękitne oczy, połyskujące srebrzyście w słońcu siwe włoski w jego brodzie. Jego dłoń, tę bez dwóch palców, ściskającą jej rękę.

– Dlaczego chcesz się ze mną ożenić?

– Ponieważ cię kocham. Ponieważ wiesz, czego chcesz i jesteś taka wspaniała. Ponieważ jesteś moją Meredith.

– Mam za ciebie wyjść? – powtórzyła bez tchu.

Zaśmiał się.

– Wydajesz się taka zaskoczona.

– Bo... bo jestem.

Ciągle trzymała otwarte pudełeczko w wyciągniętej ręce, bojąc się wyjąć z niego pierścionek czy choćby go dotknąć. Wiedziała, że gdyby to zrobiła, stałoby się coś nieodwracalnego.

– No?

Musiała coś powiedzieć, on czekał na jej odpowiedź.

– Tak nagle... zbyt nagle, zbyt szybko. Nie powinniśmy tego przemyśleć?

– Ja jestem pewny, Meredith.

– Ale... ale... To znaczy, to takie zaskoczenie. Ja...

– Co ty?

– Ja... My... Może powinniśmy jeszcze poczekać...

– Kochasz mnie?

– Tak.

– Więc na co czekać?

Kątem oka dostrzegła, że pilot Kemila zabiera grupę do samolotu. Jakże to

nagle, jakie zdumiewające Erik się jej oświadczył. Zastanawiała się, czy celowo wybrał ten moment, chcąc ją zaskoczyć, tak, żeby nie mogła zacząć go bombardować niekończącymi się pytaniami.

– Muszę już iść – powiedział.

Meredith zdjęła srebrny łańcuszek i drżącymi palcami zawiesiła na nim pierścionek, a potem znowu włożyła łańcuszek na szyję.

– Będę go nosić tutaj – powiedziała, kładąc dłoń na pierścionku. – Do twojego powrotu.

– Do zobaczenia więc, ukochana.

Uśmiechnęła się, smutnym słabym uśmiechem.

– Tylko nie zrób czegoś głupiego na tej swojej górze. Nie... nie zgiń na niej.

Erik nie odpowiedział, tylko wziął ją w ramiona i pocałował. Potem wypuścił ją, pozbawioną tchu, z objęć, zarzucił worek na ramię i wyszedł przez rozsuwane oszklone drzwi w ciepłe lipcowe słońce.

Wiedziała, że zawsze będzie pamiętać jego proste, silne plecy, ciężki worek, który niósł bez cienia wysiłku, szybki, równy krok, jakim przebył dystans dzielący go od smukłego, połyskującego odrzutowca. Będzie pamiętać, że ani razu się nie odwrócił.

Meredith na ogół nie jeździła do Aspen czwartego lipca – zniechęcał ją do tego duży ruch, obecność zbyt wielu ludzi i iście karnawałowa atmosfera, która tam panowała – ale tym razem, mimo że wysprzątała dom, wyprała wszystko, co było do wyprania i uporządkowała zaniedbane skrzynki z kwiatami, była nadal za bardzo spięta, by siedzieć w domu.

Zadzwoiła do przyjaciółki.

– Darlene? Mówi Meredith – powiedziała do automatycznej sekretarki. – Pewnie to głupie, ale masz czas dziś wieczorem? Może popatrzymy razem na sztuczne ognie? Zadzwoń do mnie.

Darlene oddzwoniła godzinę później – Jasne, że mam czas. Jestem wolna jak ptak. Miałam zamiar oglądać fajerwerki z balkonu. Tylko ja i butelka merlota.

– Brzmi świetnie.

– Tak, cóż innego może robić samotna dziewczyna.

Spotkały się o ósmej w Ajax Tavern na tarasie, przy ostrygach i winie. Darlene udało się w końcu wyciągnąć od Meredith, że od wiosny praktycznie żyje z Erikiem Amundssonem. Oczywiście teraz, uświadomiła sobie Meredith, wszyscy w mieście o tym wiedzieli. Nie wspomniała jednak o oświadczeniach, zachowała to dla siebie. Pierścionek wisiał spokojnie na łańcuszku, ukryty między jej piersiami.

Poplotkowały trochę, ponarzekały na najazd turystów, których wszędzie było pełno, i wypily butelkę wina, czekając na rozpoczęcie pokazu.

Meredith miała nadzieję, że radosna atmosfera i towarzystwo przyjaciółki pozwolą jej zapomnieć o nieobecności Erika. I właściwie dobrze się bawiła. Ale ilekroć Darlene odwracała głowę, Meredith nie mogła się powstrzymać od myślenia o Eriku. Czuła na skórze pierścionek, który od niego dostała. Zastanawiała się, czy bezpiecznie dotarł do Anchorage. Czy jest już w Talkeetna? Powinnam była zostać w domu, myślała, powinnam wejść na www.tallpeaks.com, stronę, na której Dan będzie zamieszczał informacje z wyprawy. Czy wszedł już do Internetu? Czy wysłał swój pierwszy raport? Może zdążył już zamieścić tam zdjęcia uczestników wyprawy w Talkeetna, zdjęcia Erika?

– Hej, Greene, zaraz się zacznie – Darlene wskazała koniec drogi u podnóża Little Nell.

Rozległ się huk, a po nim nastąpiła seria eksplozji, a zgromadzone w mieście tłumy zaczęły wiwatować i gwizdać.

Meredith i Darlene wstały i oparły się o drewnianą poręcz tarasu, podnosząc głowy. W granatowe niebo wzbijały się snopy wielobarwnych iskier. Niektóre nie gasły, ale spadały na dachy, a nawet na taras restauracji, tysiącami migotliwych drobin. Ludzie krzyczeli radośnie.

Zapagnęła nagle całym sercem, by Erik mógł teraz dzielić z nią ten widok. Dlaczego wyjechał na jakąś górę, oddaloną o setki tysięcy kilometrów i zostawił ją samą?

– Boże, to jest wspaniałe, prawda, Greene?

– Tak, piękne – odparła Meredith.

Po pokazie sztucznych ogni miasto ogarnął szal, bary i dyskoteki były pełne, tłumy turystów wyległy na ulice i place. Meredith i Darlene spacerowały po mieście przez jakiś czas.

– Jest jak w Disneylandzie, prawda? – Darlene potrząsnęła głową.

Meredith otuliła się swetrem, który miała ze sobą.

– Owszem, niezłe zoo.

Zatrzymały się, żeby posłuchać gitarzysty, a później skrzypka, patrzyły też przez chwilę na klauna nadmuchującego balony dla zmęczonych dzieciaków. Mim, przebrany za grecki posąg, przybierał różne pozy dla zachwyconych widzów.

Miejscowe talenty – mruknęła Darlene.

Wtedy właśnie Meredith dostrzegła w tłumie Johna McCorda. Stał w towarzystwie innego mężczyzny i także przyglądał się mimowi. W pierwszej

chwili Meredith miała ochotę podejść do niego, przywitać się, może nawet przedstawić mu Darlene, ale zrezygnowała z tego. Nie chciała go zachęcać do zacieśnienia znajomości.

W końcu i on ją zauważył. Pomachał do niej swobodnie. Kiwnęła głową. Potem mężczyźni odeszli.

Meredith i Darlene także ruszyły dalej. Spotkały dwóch szkolnych kolegów. Jeden z nich był miły i trochę nieśmiały, drugi – instruktor narciarski, latem grał w golfa – zawsze był bogatym, aroganckim dupkiem.

– No – powiedział Buddy, arogancki dupek. – Słyszałem, że Amundsson wyjechał na Alaskę, prawda, Meredith?

Boże, pomyślała, naprawdę wszyscy już wiedzą. I zdała sobie sprawę, że myślała tak samo jak Tony, że stała się kolejną zdobyczą Amundssona.

Niewiele brakowało, a pokazałaby mu pierścionek. Widzisz? Jestem tą jedyną. Ale oczywiście nie zrobiła tego. Poza tym, jak wytłumaczyłaby fakt, że nie nosi go na palcu?

Dlaczego nie powiedziała „tak”?

– Nadal jesteś półgłówkiem, wiesz o tym, Buddy? – powiedziała Darlene.

– W porządku – przerwała jej Meredith. – Tak, Erik wyjechał dzisiaj rano.

– A ty już szalejesz na mieście – zauważył Buddy.

– Wysłałam popatrzeć na fajerwerki. – Meredith wzruszyła ramionami.

Nie pozwoli, żeby zalał jej za skórę.

Potem poszła z Darlene do Wagner Park, skąd odjeżdżały autobusy.

– Na pewno nie chcesz się jeszcze trochę przespacerować? Jest dopiero wpół do jedenastej – powiedziała Darlene.

– Na pewno. Dan, Daniel Froberg, wiesz, który to jest?

– Tak?

– No więc on jest jednym z uczestników tej wyprawy. Ma świra na punkcie komputerów. Zamieszcza informacje o wyprawie w sieci, więc pomyślałam, że...

– Rozumiem – przerwała jej Darlene. – Nie możesz się doczekać chwili, kiedy wrócisz do domu i sprawdzisz, czy już coś napisał.

– Tak, chyba mi już całkiem odbiło.

– Daj spokój, gdybym była na twoim miejscu, zrobiłabym to samo.

Amundsson – powiedziała w zamyśleniu. – To świetna partia, Meredith.

Jestem z ciebie dumna.

– Świetna partia – powtórzyła Meredith. – Przemyślę to sobie.

Wróciła do domu tuż przed jedenastą. Natychmiast popędziła na górę do

nieużywanej sypialni, gdzie stał komputer. Włączyła go i wpisała www.tallpeaks.com.

Czekając, aż strona się załaduje, Meredith włożyła pizamę i usiadła w swoim starym, skrzypiącym fotelu. Odruchowo sięgnęła do wiszącego KB na jej szyi pierścionka, by poczuć pod palcami jego chłodną gładkość. Kiedy Erik go kupił? Kiedy postanowił, że poprosi ją o rękę?

Strona ładowała się powoli, potem Meredith musiała jeszcze znaleźć ikonkę wspinaczki na McKinley i znowu zaczekać. Żałowała, że nie ma DSL – było to rozwiązanie kosztowne, ale szybkie jak błyskawica w porównaniu z używaną przez nią lokalną siecią internetową.

Kiedy Erik postanowił poprosić ją, by została jego żoną?

Próbowała przypomnieć sobie wszystkie chwile, które spędzili razem. A może podjął tę decyzję w ubiegłym tygodniu, podczas wyprawy? Powinna była go o to zapytać.

Pani Amundsson. Meredith Amundsson. Mój Boże.

Była śmiertelnie przerażona. Była zachwycona. Z mocno bijącym sercem patrzyła na pojawiające się na ekranie komputera zdjęcia. Sposób, w jaki Erik zarabiał na życie, napawał ją przerażeniem. Od samego początku. Czy to właśnie dlatego nie powiedziała „tak”? Dlatego, że wiedziała, iż pewnego dnia on może do niej nie powrócić?

A może chodziło o to, że pod pewnymi względami Erik przypominał jej tatę? Bała się, że jest taki sam jak człowiek, który zmusił jej matkę do tej tragicznej podróży do Denver? Był podobny do jej ojca – skryty, niezdolny stawić czoła rzeczywistości, może nawet niegodny zaufania.

Czy dlatego się wahała?

A może nie kocha go dostatecznie. Może to tylko pożądanie? W końcu Erik słynął ze swoich podbojów... czy i ona stała się jego kolejną zdobyczą?

Nie. Nie. Poprosił ją, żeby za niego wyszła. Właśnie ją. Więc musi ją kochać.

Zamrugła oczami i zobaczyła na ekranie raport Dana.

Dziś wczesnym popołudniem wylądowaliśmy w Anchorage. Pokaz sztucznych ogni został tu zaplanowany na noc, między pierwszą a trzecią rano. Mieliśmy wielką ochotę go zobaczyć, ale nasza wspaniała furgonetka czekała już, by zabrać nas do Talkeetna. Piszę „wspaniała”, ale tak naprawdę wyglądała na zdezelowaną. Jednak Erik i Chad zapewniali, że bezpiecznie dowiezie nas na miejsce. I tak się stało.

Spędzimy w Talkeetna kilka dni, a potem polecimy na lodowiec Kahiltna.

Księżę Kemil al Assad, dla przyjaciół Kemil, oraz nasi przewodnicy - Chad Newhouse i Erik Amundsson z Summit Expeditions – zdobyli już kiedyś McKinley, ale ja i moi towarzysze nigdy wcześniej nie byliśmy na Alasce. Wątpię, czy uda nam się dzisiaj zmrzyć oko. W chwili kiedy piszę te słowa, słońce wisi tuż nad horyzontem. Co za widok! Bezchmurne niebo jarzy się w promieniach słońca, a jest jedenasta wieczorem. Dziwne, egzotyczne wrażenie.

Widać stąd odległy szczyt McKinley. Góruje nad otoczeniem jak wielka, lśniąca biała piramida. Wkrótce tam będziemy (my i samolot z Talkeetna), jeśli Bóg da.

Indianie nazywają ten szczyt Denali, co znaczy „wielki”. Powiadają, że w tej indiańskiej nazwie kryje się magia.

Talkeetna to mała wioska żyjąca z turystów i tych, którzy przyjeżdżają tu, by się wspinać. Mieszkamy w jednym z niewielkich hotelików wraz z mnóstwem innych alpinistów, Trzymajcie kciuki, by pogoda się utrzymała.

Dan Froberg Meredith uśmiechnęła się do siebie. Denali. Miała nadzieję, że w tej nazwie kryje się dobra magia.

Zaczęła oglądać fotografie. Pierwsze dwie ukazywały Talkeetna, małą wioskę o rustykalnej, drewnianej zabudowie. Zauważyła dom handlowy, restaurację i sklep, przed którym stały butle z gazem. Jak to na Alasce.

Ile razy Erik już tam był? Czy znał miejscowych po imieniu, Indian, a może też strażników parku narodowego? Pewnie tak. W końcu jego znali wszyscy. Był sławny na całym świecie. I poprosił ją, by została jego żoną.

Powinna była powiedzieć „tak”. Tak, kocha go i chce za niego wyjść. Powinni byli ustalić datę ślubu. Żadnej pompy. Tylko ich dwoje. Tylko ona i jej wybranek, i kosmos. Erikowi na pewno by się to spodobało.

Drżącą ręką przesunęła zdjęcia na ekranie. Widok z wioski na park. Ośnieżony szczyt McKinley. Zdjęcie, na którym byli wszyscy poza Danem, bo to on je robił swoim cyfrowym aparatem.

Był tam Kemil, szczerzący w uśmiechu białe, ostre zęby, jak drapieżny lis. I Chad, sprawiający wrażenie wkurzonego. I Jessie z Kevinem, uśmiechnięci, podekscytowani.

Ale Meredith patrzyła tylko na Erika. Stał trochę z boku, górując nad innymi. Wydawał się obojętny, opanowany. Miał na sobie dżinsy i tę samą kraciatą koszulę, w której widziała go na lotnisku wydaje się, że było to bardzo dawno temu. Na koszulę miał narzuconą jasnoniebieską kamizelkę, dokładnie w tym samym odcieniu, co jego oczy.

Pamiętała tę kamizelkę. Wsunął ją pod jej biodra tej nocy, kiedy kochali się po raz pierwszy na podłodze w jego mieszkaniu.

Nagle tamta intymna chwila stanęła jej przed oczami. Ogarnęło ją pożądanie. Był wiele tysięcy kilometrów stąd, ale wystarczyło zdjęcie, by poczuła graniczący z rozkoszą ból w podbrzuszu.

Dlaczego nie powiedziała „tak”?

Rozdział 12

Następnego ranka przed wyjściem do gabinetu zadzwoniła do Kathy. Była rozdrażniona, dręczyły ją złe przeczucia i miała nadzieję, że siostra Chada trochę ją uspokoi.

– Lunch? powiedziała Kathy. Jasne, ale muszę odebrać dzieci z treningu. Wyrobimy się do pierwszej?

– Oczywiście.

Gdzie?

– Co powiesz na Main Street Bakery? Usiądziemy na zewnątrz i będziemy patrzeć na samochody.

– Dobrze. Dwunasta?

– Zgoda. Do zobaczenia.

Tego ranka miała dwie pacjentki. Susie Watts, która zmagala się z bulimią, i Jennifer Damato, chorobliwie nieśmiałą jedenastolatkę. Meredith była zadowolona, że może zająć się pracą. Wiedziała, że gdyby nie miała nic do roboty, rozmyślałaby o Eriku, zadręczając się strasznymi wizjami, mimo iż Erik był jeszcze ciągle w Talkeetna.

Ale skończyła pracę o jedenastej trzydzieści i znowu ogarnęło ją zdenerwowanie.

Kathy spóźniła się kilka minut. Wpadła do baru w szortach w kolorze wojskowej zieleni, białym podkoszulku i sandałach, z włosami związanymi w niedbały kucyk, z którego wymykały się niesforne pasma. O Boże – wydyszała – Co za dzień.

– Dzieciaki?

Tak, dzieciaki i tysiące innych rzeczy. No, zjedzmy coś. Muszę usiąść i trochę odsapnąć.

Stały przy ladzie i zamówiły kanapki ze świeżo upieczonego chleba. Potem wyszły na zewnątrz i usiadły przy stoliku pod parasolem.

– Miałaś jakieś wiadomości od Erika? – spytała Kathy, bardzo ułatwiając Meredith sytuację.

Nie, zresztą mówił, że prawdopodobnie nie zadzwoni. Powiedział, że będzie musiał skoncentrować się na wspinaczce. A to drań. To bardzo typowe dla niego. Hm... Ale mogę śledzić przebieg wyprawy w Internecie.

– Ach, no tak. Dan ma tam zamieszczać raporty, prawda?

Wysłał wczoraj jeden. Z Talkeetna. Ze zdjęciami.

– Więc już tam dotarli.

Tak. '

Kathy wydawała się spięta, roztargniona. Może z powodu dzieci? Albo Chada?

Kanapka Meredith, z serem i wędzoną szynką, smakowała wspaniale. Odgryzła kilka kęsów, ale cały czas czuła na swojej skórze pierścionelek, jak piętno. Nikt nic nie wiedział, nikt poza Erikiem i nią samą.

– Kathy zaczęła. – Erik...

Kathy przekrzywiła głowę z pełnymi ustami.

– Erik poprosił mnie o rękę.

Kathy szeroko otworzyła oczy. Szybko przełknęła.

– Rany.

Tak. Rany. – Meredith wyciągnęła pierścionelek zza dekoltu. – Dał mi to. Tuż przed odlotem, na lotnisku.

– O Jezu, to fantastycznie! Meredith. Cieszysz się? Jesteś szczęśliwa?

– Tak, jestem szczęśliwa. Boże, tak.

– Ale, ale, dlaczego nie nosisz tego pierścionka na palcu? Powinnaś pokazać go światu. Usidliłaś Człowieka Lodu.

– Och, Kathy...

– Nigdy dotąd nie chciał się z nikim ożenić, Meredith. To naprawdę jest coś.

– Chyba tak, tylko... to się stało tak nagle. Krótko się znamy, a ja...

Chyba nie jestem pewna...

– To dlatego, że jest himalaistą, prawda? Tak, na pewno trudno być żoną człowieka, który regularnie wyjeżdża i próbuje się zabić.

Meredith zadrzała.

– Taka jest prawda – ciągnęła Kathy. – Ale jeśli go kochasz, a on kocha ciebie, cóż... Jest mnóstwo żonatych himalaistów.

– I mnóstwo wdów po himalaistach – dodała Meredith.

– Jest ich trochę. Ale czy nie sądzisz, że warto?

– Właśnie na to pytanie muszę sobie odpowiedzieć, prawda?

– Chad wie?

– Nie wiem. Chyba nie. Ale i tak nie mów nikomu. Jeszcze nie.

Kathy pochyliła się nad stolikiem i położyła dłoń na ramieniu Meredith.

– To naturalne, że masz wątpliwości. Erik uprawia bardzo niebezpieczne zajęcia. I kobiety... Oczywiście, było ich sporo, ale on nigdy z żadną nie chciał się ożenić. On cię kocha, Meredith.

– Tak, myślę, że tak.

– Tak się cieszę, Meredith.

Ale Kathy była czymś zaabsorbowana, słuchała nieuważnie i zostawiła połowę swojej kanapki. Ich rozmowę przerywały chwile długiej, krępującej ciszy.

– Martwisz się o Chada? – spytała w końcu Meredith. Musisz się czuć okropnie, ilekroć wyjeżdża na wyprawę. Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz.

– Och, nie, nie o to chodzi.

– Może martwisz się bardziej, niż sama chcesz to przed sobą przyznać.

Wiesz, że wyparcie to rodzaj mechanizmu obronnego.

Kathy uśmiechnęła się lekko.

– Ciągle zapominam, że jesteś psychiatrą.

– Nie jestem psychiatrą. Jestem psychologiem.

Kathy machnęła ręką.

– Na jedno wychodzi.

– Widzę, że jesteś spięta.

Kathy westchnęła i opadła na oparcie krzesła.

– Tak bardzo to widać?

– Aha.

– Nie chodzi o Chada ani o wyprawę. Ani o dzieci. Tylko o pracę. Tę cholerną pracę.

– Coś się stało?

– Urząd skarbowy. Nienawidzę drani, mówię ci... – Kathy zamknęła oczy i chwyciła krawędź stolika. – Chcą sprawdzić zwroty Kemila z ostatnich czterech lat. I ja muszę się tym wszystkim zająć.

– Czego, na Boga, urząd skarbowy chce od Kemila? Przecież on nawet nie jest amerykańskim obywatelem.

– Ale ma kartę stałego pobytu. Jego finanse to bardzo skomplikowana sprawa, jak się zapewne domyślasz. Ja zajmuję się wszystkim, co ma związek ze Stanami Zjednoczonymi. Bóg jeden wie, co się dzieje w Arabii Saudyjskiej.

– Ale skąd ta kontrola?

– Rządowi nie podobają się niektórzy znajomi Kemila – skrzywiła się Kathy. – Wiesz, Bliski Wschód i ci wszyscy terroryści. Wiesz, jaki jest nasz rząd.

– Chyba nie wiem.

– Mają paranoję.

– Ale dlaczego...

Kathy wstała szybko, pogrzebała w torebce i rzuciła na stolik banknot dziesięciodolarowy.

– Słuchaj, muszę jechać po dzieci. Już jestem spóźniona. Pochyliła się i pocałowała Meredith w policzek. – Gratuluję. I nie martw się o Erika i Chada. Wszystko będzie dobrze rzuciła, a potem wybiegła na ulicę, gdzie miała zaparkowany samochód. Pomachała do Meredith i ruszyła przed siebie.

Meredith patrzyła za nią, zdezorientowana, zastanawiając się nad tym, co usłyszała – Bliski Wschód, terroryści, Kemil?

A potem zobaczyła ciemnego, czarnego albo grafitowego suwa o przyciemnionych szybach, który powoli ruszył za samochodem Kathy.

Siedziała przy stoliku w otoczeniu ludzi, którzy jedli, śmiali się i rozmawiali w promieniach letniego słońca, i czuła dziwny ciężar w piersi.

Tego wieczoru znowu usiadła przed komputerem i weszła na stronę www.tallpeaks.com. Dan zamieścił kolejny raport.

Ciągle jesteśmy w Talkeetna i poznajemy jej ekscentrycznych mieszkańców. Pierwszy był Tom, kierowca naszej furgonetki, krzepki staruszek, który wykrzykiwał przekleństwa pod adresem swojego samochodu, wioząc nas do wioski.

W sezonie ściąga tu od dwustu do sześciuset osób. Kiedyś była to stacja kolejowa na drodze wiodącej do kopalń złota. Jessie uznała, że Talkeetna wygląda jak centrum handlowe, pełne restauracji i sklepów z pamiątkami. Zauważyła też, że ceny są tu bardzo wysokie, dlatego też wszystkie produkty żywnościowe kupiliśmy niżej i przesłaliśmy tutaj.

No i nasi piloci. Zdaniem Chada wszyscy są kopnięci. Przetransportują nas do obozu Base Camp na lodowcu Kahiltna. który, jak się dowiedzieliśmy, nazywany jest Kahiltna International.

Jest tu też placówka strażników parku narodowego, mieszcząca się w okazałym domu z bali, gdzie musieliśmy zarejestrować naszą wyprawę. Wszyscy, którzy wspinają się po tutejszych górach, wiele zawdzięczają obsłudze parku, McKinley jest jedynym szczytem na świecie patrolowanym przez strażników. Oni pierwsi wchodzi na tę górę co roku w maju. kiedy zaczyna się sezon. Mocują liny które wykorzystamy, wspinając się na ściany. Codziennie sprawdzają haki i olinowanie.

Obsługa parku utrzymuje też duży namiot szpitalny w obozie zwanym Camp Medical, dla tych, którzy ulegli wypadkom, Ale w tej chwili staramy się o tym nie myśleć.

Wszyscy jesteśmy podekscytowani i nie możemy doczekać się chwili, kiedy zaczniemy wchodzić na szczyt. Jutro lecimy do Base Camp. Jessie. Kevin, Chad i

Erik przesyłają pozdrowienia dla bliskich, którzy zostali w domu.

Dan Potem następowała seria fotografii. Jessie, z rękami na biodrach, spoglądająca na wielką górę produktów żywnościowych, które zostaną rozdzielone między uczestników wyprawy. Kevin przed placówką strażników parku. Chad, Erik i Kevin razem, w tym samym miejscu.

Meredith przeczytała raport Dana kilka razy i obejrzała zdjęcia tyle razy, że w końcu nauczyła się ich wszystkich na pamięć.

Zazdrościła Jessie, która była tak silna i pewna siebie, że mogła uczestniczyć w wyprawie wraz ze swoim narzeczonym. Jessie z dumą nosiła na palcu swój pierścionek zaręczynowy. Cały świat wiedział, że ona i Dan zamierzają się pobrać, podczas gdy Meredith skrywała swój pierścionek pod bluzką, oddalona od ukochanego mężczyzny o tysiące kilometrów.

Starła się nie myśleć w ten sposób. Ona i Jessie bardzo się od siebie różniły. A jednak Erik pokochał ją, Meredith, mimo że nie należała do grona nieustraszonych alpinistów.

W końcu wyłączyła komputer i poszła do łóżka, ale długo leżała w nim bezsennie, z mocno bijącym sercem. Erik, wyprawa i Kathy oraz jej dziwna historia o rządzie, który sprawdza Kemila, i terrorystach z Bliskiego Wschodu, czarny samochód z przyciemnionymi szybami – wszystko to wymieszało się w jej głowie. Nie potrafiła tego rozgryźć. Kathy twierdziła, że rząd cierpi na paranoję, ale Meredith zaczynała sądzić, że to ona sama ulega złudzeniom.

Dość tego, powiedziała sobie i zaczęła powtarzać w myślach słowa, które brzmiały coraz bardziej znajomo: Jestem tą samą osobą, nikt nie może mną zawładnąć.

Tuż przed zaśnięciem uświadomiła sobie nagle, że modli się do indiańskiego boga Denali, prosząc go, by czuwał nad Erikiem. Nigdy się nie modliła, tej nocy jednak robiła to, błagając prymitywnego starożytnego bożka, by pozwolił bezpiecznie powrócić jej ukochanemu. Żeby mogła powiedzieć mu „tak”.

Rozdział 13

Następny dzień minął jej jak we śnie. Spotkała się z pacjentami, załatwiła kilka spraw na mieście, a potem szybko wróciła do domu i zasiadła przed komputerem. Podejrzewała, że Dan nie będzie w stanie pisać codziennie. Wiedziała też, że będzie bardzo rozczarowana, jeśli pewnego dnia nie zastanie na stronach www.tallpeaks.com nowego raportu.

Siedząc na brzegu swojego skrzypiącego fotela, czekała, aż strona się załaduje, po czym kliknęła w ikonkę Dana. Z emocji serce biło jej szybko i bardzo mocno. Uspokoila się nieco, kiedy zobaczyła nową wiadomość. W porządku wyszeptała, pożerając oczami litery.

Jesteśmy w Base Camp na lodowcu Kahiltna na wysokości dwóch tysięcy stu dziewięćdziesięciu sześciu metrów, dwadzieścia pięć kilometrów od szczytu.

Lot był niesamowitym przeżyciem. Nawet gdybym miał nie ruszyć się stąd ani krok dalej i tak uważałbym, że warto było tu przyjechać, Lecieliśmy nad tundrą, tak nisko, że udało nam się zobaczyć łośia i niedźwiedzie. Tundra jest bujna i zielona, ale w końcu zostawiliśmy ją w tyle i znaleźliśmy się nad lodowcem. Nie matu nic poza śniegiem, lodem i skałami. Jest bardzo monochromatycznie. Ale nie nudno.

Naiwnie spytałem pilota, dlaczego nazywa naszą trasę Drogą Jednej Szansy. Uważał, że to oczywiste, ale wyjaśnił, że mamy jedną szansę na dziesięć, by dolecieć bezpośrednio do Base Camp, Po jego stówach w samolocie zrobiło się bardzo cicho.

Udało nam się jednak, Lecieliśmy w chmurach, z których wylaniały się trzy wielkie szczyty Alaski: Foraker, Hunter i McKinley. Był to wspaniały widok.

Samolot wylądował na płozach w miękkim jak puch śniegu i zatrzymał się przed polem zastawionym gęsto namiotami. Kahiltna to niezwykła dolina o stromych ścianach, z których co jakiś czas z sykiem zsuwają się śnieżne lawiny. Lodowiec oznaczony jest szczelinami. Powiedziano nam, byśmy nie oddalali się zbyt od obozu. To trochę zniechęcające, ale dzięki temu nikt się nie zgubił, Dotarliśmy tu podzieleni na dwie grupy, ale mamy szczęście, dobra pogoda się utrzymuje. Słyszeliśmy okropne historie o ekipach, z których część dotarła do Base Camp, podczas gdy reszta tkwiła w Talkeetna, bo nastąpiło nagłe pogorszenie pogody, co tutaj bardzo często ma miejsce, Bywa też jeszcze gorzej, jak mówi Chad, Zdarza się, że ludzie, którzy weszli na szczyt i z niego zeszli, muszą czekać nawet cały tydzień na samolot z powodu śnieżnych burz. Oni mają naprawdę dość,

marzą tylko o kąpielu, gorącym posiłku i miękkim łóżku, a tu nic z tego. Wyobrażam sobie, co czują.

W Base Camp wrze jak w ulu, Teraz już rozumiem, dlaczego nazywają to miejsce Kahiltna International. Wiele wypraw przygotowuje się do wspinaczki, tak jak my. Inni właśnie ruszają na szczyt, a jeszcze inni wracają i czekają na samoloty do Talkeetna. Są tu Brytyjczycy, Japończycy, Francuzi, Kanadyjczycy i oczywiście Amerykanie, Nie ma tu natomiast żadnych zwierząt, tylko wielkie czarne kruki, które latają nad nami i przysiadają na ziemi, by pożywić się resztkami jedzenia. To naprawdę nie jest miejsce dla ludzi.

Jutro wyruszamy. Boimy się, ale jesteśmy też podekscytowani. Chad i Erik są tak zblazowani, że aż mnie to śmieszy. Każdym gestem wydają się mówić: „Już tu byłem, już to robiłem”.

Pozdrowienia dla wszystkich. Jesteśmy zdrowi i dobrej myśli.

Dan Meredith wraz z nimi przeżywała ekscytacją wspinaczką. Być tam, przygotowywać się do wejścia na McKinley... Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie tę scenerię. Erik powiedział jej, że do Base Camp można polecieć turystycznie, zostać tam kilka godzin albo nawet całą noc i wrócić następnym samolotem. Meredith miała wielką ochotę zrobić to kiedyś, by choć tyle móc dzielić z Erikiem.

Dzisiaj w butach śniegowych przeszliśmy dziewięć kilometrów do obozu u podstawy Ski Hill, na które jutro zaczniemy wchodzić. Trudno w to uwierzyć, ale byliśmy ledwo żywi z powodu upału! A nieśliśmy bagaże zawierające nasz sprzęt i żywność. Nosimy uprząż i jesteśmy powiązani linami, na wypadek, gdyby ktoś wpadł do szczeliny. Śnieg pod naszymi stopami porusza się cały czas i zsuwa w dół: w każdej chwili może otworzyć się szczelina pod nami. Erik i Chad uczyli nas, jak z niej wyjść, gdyby tak się stało. Mam nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli wykorzystać tej wiedzy.

Stonce świeciło bezlitośnie i zachodziło bardzo powoli, kiedy schodziliśmy (tak, droga tu czasami prowadzi w dół) z Heartbreak Hill. Szliśmy przez środek lodowca, by ominąć większe szczeliny Mniejsze musieliśmy przeskakiwać, Obóz znajduje się na wysokości dwóch tysięcy trzystu osiemdziesięciu metrów. Skorzystaliśmy ze śniegowych ścian postawionych przez ekipy, które były tu przed nami. Musieliśmy sprawdzić całe polew poszukiwaniu szczelin i oznaczyć je bambusowymi słupkami, nazywanymi różdżkami.

Zasada numer I – nigdy nie opuszczaj granic obozu nieprzywiązany liną. Oznaczało, że mamy uprząże zamocowane wokół talii i nóg i jesteśmy spięci ze

sobą – po dwie osoby z jednym przewodnikiem. Możemy oddalić się na odległość około dwunastu metrów od siebie. Nawet wtedy, gdy na pozór nic nam nie grozi. Erik i Chad wbili nam do głów, jak bardzo jest to ważne. Erik jest związany z Kemilem i Kevinem, Chad ze mną i z Jessie, Dzisiejsza wspinaczka była ciężka, podobna do trudniejszych podejść na szczyty znajdujące się wokół Aspen. Jesteśmy pełni zapału.

Na kolację mieliśmy zupę, nie była najlepsza, ale nikt nie narzekał.

Jak już napisałem, było dziś bardzo gorąco, ale po zachodzie słońca szybko zrobiło się zimno i wszyscy cieszymy się z grubych kurtek, które wzięliśmy ze sobą. Jessie mówi, że wyglądamy jak ludziki z reklamy opon Michelin, Muszę ułożyć moją piękną panią do snu, Dan Pod tekstem znajdowały się zdjęcia. Surowa sceneria lodowca, po którym sunęli gęsiego ludzie obciążeni plecakami, nadającymi im wygląd garbatych żuków. Kilka fotek z obozu – ściany przypominające igloo i kolorowe namioty na tle wznoszącej się dalej góry.

Członkowie wyprawy w kurtkach puchowych i okularach przeciwsłonecznych. Wszyscy uśmiechali się do obiektywu, Chad trzymał dwa palce za głowę Kevina, na kształt rogów. I Erik, z ustami wykrzywionymi lekko w półuśmiechu. Sprawiał wrażenie swobodnego i zrelaksowanego, jakby był u siebie w domu. Pewnie właśnie tak się tam czuł.

Byli na wysokości dwóch tysięcy trzystu osiemdziesięciu metrów, nieco poniżej wysokości, na której leży Aspen, więc żadne z nich nie cierpiało jeszcze z powodu choroby wysokościowej. Meredith wiedziała jednak, że wszyscy odczują jej wpływ, choć mieszkańcy Aspen zapewne nieco później niż ludzie z nizin.

Niemal zaczęła żałować, że nie może być tam z nimi, z Erikiem. Spać z nim w jednym śpiworze. Wspinać się spięta z nim jedną liną. Głupie, pomyślała. Marzenie ściętej głowy.

W sobotę pojechała na ranczo, gdzie pracowała z dziećmi. Niewiele rozmawiała z ojcem, nie powiedziała mu nawet, że jest zaręczona. No, prawie zaręczona, a właściwie, że czeka, by się zaręczyć. Niewiele brakowało, a pewnego wieczoru powiedziałyby o tym Ann przez telefon, coś ją jednak powstrzymało, jakaś przesądna obawa przed wypowiedzeniem tych słów na głos.

Tak naprawdę rozmawiała tylko z Kathy. Ona poznała wszystkich uczestników wyprawy, ona ją rozumiała i знаła Erika lepiej niż sama Meredith.

– Sprawdziłaś dzisiaj, czy jest nowy raport? – spytała Kathy. – Bliźniaki czytają wszystko, co Dan pisze w Internecie. Uważają, że to supersprawa.

– Ja też tak myślę.

Kathy roześmiała się.

– Słyszałam, że pogoda jest niezła i że wszystko jest w porządku.

– Nie martwisz się o nich?

– Nie, Chad i Erik to najlepsi z najlepszych.

– Ale wypadki się zdarzają.

– Jasne, ale ty też jutro możesz wpaść pod samochód.

– Och, Kathy.

Kathy nie wspomniała więcej o rządowej paranoi ani problemach z kontrolą zwrotu podatku Kemila. A Meredith nie widywała już czarnego samochodu o przyciemnionych szybach.

Zdumiewające, jaki wpływ ma stres na wyobraźnię, pomyślała.

Zostaliśmy jeden dzień dłużej u podnóża Ski Hill, ponieważ Jessie czuła się trochę zmęczona, Ekipa, która przyjechała tu dzień przed nami ruszyła dalej, a inna grupa składająca się z trzech przewodników i dziewięciu amatorów zeszła do obozu i spędziła z nami noc. Czterej z nich nie weszli na szczyt z powodu wyczerpania lub objawów choroby wysokościowej. Byli mocno rozczarowani, ale Chad rozweselił ich, opowiadając swoje zabawne historie. Dzisiaj weszliśmy na Ski Hill, to kolejne trzysta metrów w górę. Obóz rozbiliśmy na wysokości dwóch tysięcy dziewięciuset sześćdziesięciu metrów, cztery kilometry od Ski Hill Camp, choć niektórzy wchodzą tam wciąż jednego dnia. Erik nalega, byśmy zachowali ostrożność i oszczędzali siły. Opowiedział nam bajkę o zającu i żółwiu, po norwesku, co było bardzo zabawne, chociaż on się nie śmiał.

Bardzo zbliżyliśmy się tu do siebie, coraz lepiej się poznajemy. Z nas, amatorów, Kemil jest najsilniejszy i ma największe doświadczenie. Kevin też jest całkiem niezły Jessie mówi, że ta wspinaczka jest trudniejsza, niż się spodziewała, co bardzo ją martwi, jako jedyną kobietę. Chad jest wspaniały, potrafi załagodzić każdy konflikt i gotuje całkiem znośne posiłki z tych okropnych sproszkowanych półproduktów. A Erik, cóż, Erik jest po prostu niezmordowany.

Jutro chcemy dotrzeć do obozu u podstawy Motorcycle Hill, na wysokość trzech tysięcy trzystu pięćdziesięciu pięciu metrów. Nazwa wzięta się stąd, że podejście jest tak strome, jak niektóre trasy motocyklowe.

Pogoda się utrzymuje, ale według prognozy, jaką dostaliśmy przez CB radio z Talkeetna, zbliża się front arktyczny. Możemy będziemy musieli przeczekać się gdzieś i przeczekać go.

Pozdrawiamy wszystkich.

Dan Dni ciągnęły się Meredith w nieskończoność. Tęskniła za Erikiem. Brakowało jej jego bliskości, ciepła, ciała. Czuła się taka samotna. Miała ochotę zadzwonić do Sandry Cohen, ale nie była jeszcze gotowa. Nie była teraz w stanie analizować swoich uczuć. Sił wystarczało jej tylko na to, by trwać dzień za dniem, aż do chwili, kiedy Erik wróci do niej cały i zdrowy.

Dotarliśmy dziś do obozu położonego na wysokości trzech tysięcy trzystu pięćdziesięciu pięciu metrów, Jak słyszeliśmy, słynie on z nieustających wiatrów. Mam nadzieję, że na zdjęciach widać, jak bardzo tu wieje. Rozbiliśmy namioty przy ścianach ze śniegu, ale i tak każdy podmuch strasznie nimi szarpie. Ich łopot jest wręcz ogłuszający Wiatr jest jak dzikie zwierzę, które chce porwać nas w swoje szpony i unieść ze sobą, Prawie nie da się wyjść na zewnątrz, A to i tak mate piwo w porównaniu z tym, co się dzieje na większych wysokościach. Kiedy tu na chwilę przestaje wiać, słyszymy wiatr wyjący na szczycie góry. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak tam jest, Być może będziemy musieli poczekać tu, aż pogoda się poprawi, bo do Fourteen Medical można iść tylko przy dobrych warunkach.

Jest bardzo zimno, więc prawie cały czas musimy siedzieć w namiotach, by uniknąć odmrożeń. Takie bierne czekanie jest nudne, ale konieczne, Chad gotuje swoje wyszukane posiłki, a my pijemy mnóstwo herbaty z dużą ilością cukru, by się nie odwodnić, i czekamy Miejmy nadzieję, że pogoda wkrótce zmieni się na lepszą.

Dan Na zdjęciach widać było tylko śnieg i ledwie dostrzegalne namioty. Ludzi opatulonych w grube kurtki nie sposób było od siebie odróżnić. Stali plecami do wiatru, wśród szalejącej zadymki.

Jedno ze zdjęć zostało zrobione wewnątrz namiotu. Cała piątka siedziała rzędem, ramię w ramię. Erik wyglądał tak, jakby stracił na wadze, jego twarz wydawała się szczuplejsza, kości policzkowe bardziej wystające.

Meredith nie miała pojęcia, ile trzeba mieć determinacji i wytrzymałości, by porwać się na taką wspinaczkę. Trudy, jakie gotowi byli znosić ci ludzie, zdumiewały ją. A Erik wracał w góry raz za razem, by przeżywać to ciągle od nowa.

Ale Meredith była też dziwnie zazdrosna. Żałowała, że nie może tam być, że nie może dzielić z nimi – z nim – tego trudu, bólu i euforii.

Pogoda poprawiła się wreszcie na tyle. żebyśmy mogli ruszyć na Fourteen Medical. Musieliśmy przejść przez najwyższy punkt na tym odcinku, Windy

Corner. Słynny himalaista Bradford Washburn nazwał tak to miejsce podczas wyprawy, w której wziął udział w roku 1951. Wiatr wiał z prędkością prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę, bez przerwy, przez dwa dni. Washburn jako pierwszy przeszedł West Buttress Route, którą my teraz idziemy.

Weszliśmy ponad warstwę chmur. Niezwykły widok, U góry czyste, błękitne niebo, pod nami wata cukrowa. Przypomniały mi się słowa Washburna: „Jakbyśmy wyszli przed okna niebios”.

Teraz wreszcie zaczęła się prawdziwa wspinaczka, z użyciem haków i czekanów. Idziemy teraz razem z innymi grupami, które burza zatrzymała po drodze, więc w górę sunie prawdziwy sznur ludzi.

Weszliśmy na wysokość czterech tysięcy dwudziestu sześciu metrów, ale Chad i Erik zeszli z powrotem do naszego ostatniego obozu po resztę sprzętu. Boże, ależ oni są wytrzymali.

Jutro wchodzimy na Fourteen Medical, Rozbiliśmy obóz i usiedliśmy przy naszych obozowych kuchenkach, słuchając CB radia. Podobno jakiś Japończyk utknął na wysokości pięciu tysięcy dwustu metrów z bólami brzucha i nie jest w stanie zejść, Wysyłają po niego specjalnie przeszkolonych ratowników, którzy mają sprowadzić go do Fourteen Medical, Przerazające, Do jutra, Dan Kolejne fotografie. Windy Corner, ludzie zgięci wpół, smagani wichrem, w goglach, czapkach i szalikach. Meredith rozpoznała jedynie Erika, i to tylko dlatego, że był wyższy od pozostałych.

Błękitne niebo, chmury na dole, szczyty gór w oddali. Wspaniały widok.

Meredith poszła na lunch z Kathy, raz była też u niej na kolacji.

Było to nieformalne przyjęcie, z grillowanymi na patio hot dogami, hamburgerami, pieczoną fasolką i sałatką, którą przyniosła Meredith. Po kolacji bliźniaki zniknęły w gabinecie Kathy, żeby wejść na stronę www.tallpeaks.com i przeczytać ostatni raport Dana. Meredith słyszała ich rozmowę i marzyła tylko o tym, by móc się do nich przyłączyć. Chciała zobaczyć zdjęcia, przeczytać wiadomość. Był to dla niej jedyny sposób zachowania zdrowych zmysłów.

– Jak przebiega kontrola urzędu skarbowego? zapytała.

– Co takiego?

– Kontrola zwrotu podatku Kemila.

– Och, to prawdziwy koszmar. Od kilku dni próbuję to wszystko zebrać do kupy.

– Pewnie nie będzie aż. tak źle, jak się spodziewałaś.

– Niestety, chcąc wiedzieć, co się stało z każdym centem odparła Kathy z goryczą i Meredith zmieniła temat.

Dotarliśmy do Fourteen Medical. Ciężki dzień. Świat zawężił się do kilku metrów przed nami. Krok, oddech, wbiecie czekana wyżej, kolejny ruch. I tak krok za krokiem, całymi godzinami. To dziwne, ale po burzy wyszło słońce i znowu zrobiło się gorąco. Musieliśmy się często zatrzymywać, żeby pić.

Zostaniemy tu, na wysokości czterech tysięcy trzystu metrów przez kilka dni, żeby się zaaklimatyzować. Jessie cierpi trochę z powodu choroby wysokościowej, więc przyda jej się odpoczynek.

Obóz znajduje się na rozległym płaskowyżu i jest prawdziwym tygłem narodów, Jest tu mnóstwo ludzi, wszyscy zatrzymują się w tym miejscu przed rozpoczęciem wspinaczki wyżej. Ciągłe ktoś tu wchodzi albo schodzi, albo odpoczywa, tak jak my, Przypomina to małe miasteczko.

Kiedy wchodziliśmy do obozu, ratownicy znosili na dół Japończyka z bólami brzucha. Doszedł jakoś do siebie, ale odesłali go do obozu położonego niżej z butlą tlenu. Prognozy są korzystne.

Jesteśmy wyczerpani po dzisiejszej wspinaczce, wydaje się, że zbliża się pora snu, ale słońce uparcie świeci.

Dowiedzieliśmy się właśnie, że wyżej ktoś spadł i jest ranny Ratownicy poszli po niego, lekarz, który tu rezyduje, czeka, aż go zniosą.

Damy wam znać, jak się to skończyło, Dobrej nocy.

Dan Cztery tysiące trzysta metrów, pomyślała Meredith. Najwyższe szczyty w Colorado miały mniej więcej tyle. Patrzyła na góry otaczające Aspen i nie potrafiła sobie wyobrazić obozu pełnego namiotów i ludzi na tej wysokości. A oni mieli jeszcze przed sobą kolejne tysiąc osiemset metrów drogi na szczyt.

Przez kilka dni nie było nowych raportów, pewnie dlatego, że wszyscy siedzieli w obozie, czekając, zbierając siły, przyzwyczajając się do warunków panujących na takiej wysokości. Co robili całymi dniami? Musi zapytać o to Erika, kiedy wróci. Czy wzięli ze sobą coś do czytania? Czy grali w karty, czy tylko ze sobą rozmawiali? Starła się nie ulegać rozczarowaniu i wyobrazić sobie jakoś ten obóz. Widziała zdjęcia Dana, płaskowyż, namioty, duży namiot szpitalny, członków wyprawy stojących przed swoimi namiotami. Jessie wyglądała na bardzo wyczerpaną, Kemil uśmiechał się swoim olśniewającym uśmiechem, błyszczącym nad starannie jak zawsze przystrzyżoną bródką. Erik był poważny, Kevin marszczył brwi, a na twarzy miał tygodniowy zarost.

Ranny został ocalony przez grupę ratowników, którzy szybko do niego dotarli i

spuścili go na linach niżej, a później przynieśli do obozu na noszach.

Lekarz uznał, że obrażenia są na tyle poważne, by wezwać helikopter. Nie była to łatwa decyzja, ponieważ loty na tej wysokości są bardzo niebezpieczne, Helikopter przyleciał jednak i wylądował, wypełniając warkotem cały obóz.

Pacjent został wniesiony do maszyny, która natychmiast wystartowała. Teraz Japończyk jest już w szpitalu w Anchorage. Jeszcze jednemu się udało. Kiedy helikopter odlatywał, wszyscy śmiali się i wiwatowali.

Kilkoro z nas odczuwało pokusę, by zabrać się razem z rannym!

Jutro chcemy dojść do obozu położonego na wysokości czterech tysięcy dziewięćset pięćdziesięciu metrów, który nazywa się Ridge Camp. Czeka nas wspinaczka najbardziej stromą częścią West Buttress Route.

Zbliżamy się do szczytu.

No, udało nam się, Jesteśmy w Ridge Camp. Obóz znajduje się w zupełnie odsłoniętym miejscu. W miejscach, gdzie chcieliśmy ustawić namioty, trzeba było wyrąbywać lód. Erik powiedział nam, że często zdarzały się bardzo niebezpieczne sytuacje – ludzie nie mogli się stąd ruszyć z powodu złych warunków pogodowych. Wszyscy mamy nadzieję, że nas to nie spotka.

Widoki są niewiarygodne. Pod nami kłębią się chmury, góry Foraker i Hunter wyglądają jak lodowe wyspy pływające w oceanie bieli. A ponad nami widać chmury rozdarte przez poszarpane krawędzie szczytu McKinley. Dzisiaj jest kiepski dzień na dalszą wspinaczkę.

Jutro Erik i Chad przeniosą część naszego sprzętu wyżej, do High Camp, na wysokość pięciu tysięcy dwustu pięćdziesięciu metrów. Tam zakopią wszystko w śniegu, żebyśmy mogli z tego skorzystać podczas ataku szczytowego. Potem zjedzą, a następnego dnia wszyscy razem ruszymy do High Camp, A teraz nie najlepsza wiadomość – Kevin ma kaszel. To zły znak. Erik powiedział mu, co się stanie, jeśli kaszel nie ustąpi. Ja myślę, że to minie. Trzymajcie kciuki.

Na razie.

Dan Fotografie rzeczywiście zapierały dech w piersiach. Ocean chmur, szczyty górskie wystające z niego dokładnie tak, jak opisał to Dan. McKinley wznosił się nad nimi, a poszarpane chmury spływały z niego jak białe strumienie.

Obóz nie wyglądał bezpiecznie. Meredith widziała wyrąbane w lodzie platformy pod namioty.

Patrzyła na zdjęcia i czuła, jak ogarniają strach. Ludzie wydawali się mikroskopijnie mali w porównaniu z górą; ich życie – kruche w zderzeniu z siłami natury, pogodą, śniegiem i lodem. Odkąd zaczęła śledzić losy wyprawy, już dwie

osoby zostały ewakuowane. Ile jeszcze będzie takich przypadków? Wszystko mogło się wydarzyć odpadnięcie od ściany, zejście lawiny, choroba wysokościowa, odmrożenia. Kevin miał kaszel, Jessie była wyczerpana.

Ludzie naprawdę nie zostali stworzeni do przebywania w takich miejscach. Z drugiej strony jednak nie zostali też stworzeni do latania ani nurkowania w oceanach. Ale robili to. Co dzień.

I na ogół nic złego im się nie działo.

To wielki dzień. Jesteśmy w High Camp, na wysokości pięciu tysięcy dwustu pięćdziesięciu metrów. Następny przystanek, przyjaciele, będzie na szczycie. Postawiliśmy niewielkie ściany ze śniegu, które mają chronić namioty przed wiatrem – wyje jak szalony. Zapowiadają kolejną burzę, ale powinniśmy mieć dość czasu, by wejść na szczyt, zanim się ona rozpęta.

Kemil i ja jesteśmy w świetnej formie, Kevin ciągle jeszcze kaszle. Jest trochę zmęczony, ale pełen determinacji. Ale Jessie narzeka na bóle głowy. Musimy mieć ją na oku.

Wspinaczka do High Camp była nieprawdopodobna. Zabrała nam osiem godzin, ale widoki były tego warte. Żadne słowa nie są w stanie oddać tego, co widzieliśmy.

Jeśli pogoda się utrzyma, zostaniemy tu jeden dzień i podejdziemy do ataku szczytowego. Nie powinno zbytnio wiać i widoczność musi być dobra. Grupa składająca się z samych profesjonalistów musiała zawrócić z powodu złej widoczności i silnego wiatru. Czekają teraz z nami w High Camp.

Ten obóz znajduje się najwyżej. Jest tu też najzimniej i najbardziej wietrznie. Widzimy stąd Fourteen Medical, położone dziewięćset dziewięćdziesiąt metrów niżej, ale przy złej pogodzie nie można tam zejść.

Nie będziemy wstanie zabrać laptopa na szczyt, więc nie dostaniecie ode mnie żadnych wiadomości aż do czasu, kiedy wrócimy do obozu. Ale nie martwcie się, zabieram aparat, Dzień ataku szczytowego będzie najcięższy. Osiem kilometrów tam i z powrotem, przez Przełęcz Denali i płaskowyż nazywany Boiskiem. Potem czeka nas Summit Ridge, prawie siedemdziesiąt metrów pionowej ściany. Oczywiście musimy zejść do High Camp, więc nikt, kto nie będzie w formie, nie będzie wchodził na szczyt. Wydaje mi się, że Kevin czuje się lepiej.

Życzcie nam szczęścia.

Dan Meredith zastanawiała się, dlaczego jest tak zdenerwowana. Wydawało się, że wyprawa przebiega bez problemów. Może Jessie nie radzi sobie tak dobrze, jak inni, ale Kevin czuje się lepiej, a Erik jest cały i zdrowy. I robi to, co kocha.

Siedziała w swoim starym fotelu przed komputerem, wpatrując się w tekst i zdjęcia. Uczestnicy wyprawy na tle bieli śniegu, dokładnie opatuleni, pozbawieni płci i wszelkich rysów indywidualności. A ona siedzi sobie spokojnie w zacisznym, bezpiecznym domu. Na fotografiach nie było tego widać, ale Meredith wiedziała, że Erik, Chad, Kemil, Dan, Kevin i Jessie przeżywają trudne chwile.

Pojutrze zaczną wchodzić na szczyt. Osiem kilometrów, tam i z powrotem. Jeśli będzie pogoda. Meredith chciała wierzyć, że najgorsze mają już za sobą, ale wiedziała, że to nieprawda. Najgorsze dopiero ich czekało.

Wiedziała też, że na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów odpoczynek wcale nie wzmacnia ludzkiego organizmu. Niedobór tlenu i ekstremalnie niska temperatura wzmagają zmęczenie. Rany nie chcą się goić, zanika apetyt, objawy chorób, takie jak kaszel, zaczynają się nasilać. Im dłużej człowiek pozostaje na takiej wysokości, tym mniejsze ma szanse na to, by zdobyć szczyt i bezpiecznie zejść na dół. Tym mniejsze ma szanse na przetrwanie.

Erik był na McKinley pięć razy, na Everescie dwa. Był na Annapurnie, K2, Aconcagui i Bóg wie ilu jeszcze szczytach świata. Nic mu się nie stanie.

Wielkie rozczarowanie. Z przykrością donoszę, że Kevinowi się pogorszyło, a Jessie cierpi na chorobę wysokościową. Żadne z nich nie będzie w stanie zaatakować szczytu. Oboje muszą jak najszybciej znaleźć się na dole. Po długiej debacie postanowiliśmy, że ja też zostanę tutaj, w High Camp, z Jessie i Kevinem, podczas gdy Erik, Chad i Kemil podejną jutro do ataku szczytowego.

Pogoda jest teraz dobra, nie wieje zbyt mocno, niebo jest czyste i mamy doskonałą widoczność. To się zmieni, jak już pisałem, ale trzech najbardziej doświadczonych uczestników naszej wyprawy nie powinno mieć problemu z wejściem na szczyt i powrotem do bazy, zanim nadciągnie burza.

Będę informował was na bieżąco o wszystkim z High Camp, czekając na ratowników, którzy mają dostarczyć leki i tlen dla Jessie i Kevina. Atak szczytowy rozpocznie się we wczesnych godzinach porannych, bo wejście i zejście zajmie im cały dzień. Osiem godzin to absolutne minimum.

Jeszcze jedna istotna kwestia – śnieg mięknie, gdyż temperatura w ciągu dnia jest wyższa, jak zawsze o tej porze roku. Sezon wspinaczkowy wkrótce dobiegnie końca, bo miękki śnieg zwiększa ryzyko otwarcia szczelin. Możliwe, że wszyscy będziemy schodzić nocą, kiedy mróz ścina śnieg w szczelinach. Odezwę się jutro, Dan O mój Boże, pomyślała. Nagle zrobiło jej się zimno. Dan, Jessie i Kevin muszą zostać w obozie po wszystkim, co przeszli. Jutro Erik ruszy na szczyt. Obejrzy prognozę pogody w telewizji. Może burze jednak ominą Alaskę.

Ale kiedy Erik zejdzie jutro do obozu albo zawróci z powodu złej pogody, ta straszna próba dobiegnie końca. Czy miała na myśli próbę, jaką przechodził Erik czy ona sama? Nie była pewna. Prawdopodobnie myślała o sobie, bo on był przecież w swoim żywiole. Zastanawiała się, jak się czuje, zostawiając troje uczestników wyprawy w obozie, ale tak naprawdę nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Dzień ataku szczytowego. Zimny i słoneczny. Wszyscy wstaliśmy o czwartej nad ranem, żeby pożegnać naszych towarzyszy. Życzyliśmy im szczęścia i patrzyliśmy, jak wyruszają, spięci liną, Erik na początku, Kemil w środku a Chad na końcu. Rzeczywiście wyglądali jak ludziki z reklamy opon, poza tym, że do uprzęży mieli przypięte mnóstwo sprzętu, haki, czekany i tak dalej. Dopóki nie wrócą do obozu, nie będziemy mieć z nimi kontaktu.

Na zewnątrz było jasno, świeciło słońce, choć temperatura wynosiła prawie dwadzieścia pięć stopni poniżej zera.

Teraz jest trzecia po południu. Zakładamy, że weszli na szczyt, a może nawet już schodzą na dół. Mamy nadzieję, że tak jest, bo pogoda zmieniła się szybciej, niż się spodziewaliśmy. Zaczęło wiać, zachmurzyło się, ale nie jest jeszcze najgorzej. Myślimy, że oni też widzieli nadciągający front, więc może zawrócili wcześniej i w każdej chwili pojawią się w obozie.

Na razie kończę. Wkrótce dam znać, co i jak.

Dan Meredith przygryzła wargę. Musi zrobić coś, co pozwoli jej oderwać się od wyprawy, burzy i Erika. Erika, który może zaginać, zamarznąć, odpaść. Musi wziąć się do psychologicznych magazynów czekających na stoliku, zrobić pranie, wyprasować coś, upiec ciasteczka. O Boże.

Siedziała przed ekranem komputera tak długo, aż oczy zaszyły jej mgłą. Czekwała bez końca. Tam jest wcześniej, myślała. Za jej oknami zapadła noc. Tu było ciemno, ale tam ciągle trwało popołudnie, słońce dopiero zaczęło zachodzić.

O jedenastej zaczęła ją ogarniać panika, a jednocześnie była jakby sparaliżowana. Od wielu godzin nie było wiadomości od Dana. Nic. Na ekranie ciągle była tylko jego ostatnia wiadomość.

Erik, gdzie jesteś?

Rozpętała się burza. Siedzimy w swoich namiotach, czekamy i mamy nadzieję. Erik, Chad i Kemil mają dość siły i doświadczenia, żeby przez to przejść. Najprawdopodobniej wykopali jaskinię w śniegu, żeby przeczekać burzę. Jest dość strasznie, Wiatr wieje z taką siłą, że nie można utrzymać się na nogach. Kilka godzin naprawialiśmy ściany ze śniegu i odgarnialiśmy śnieg z namiotów. Niewiele

możemy zobaczyć, widoczność jest fatalna, ale słyszymy wiatr w górze i schodzące lawiny. Wicher ryczy jak dzikie zwierzę, Będę wysyłał wiadomości tak długo, jak będzie to możliwe, niewykluczone jednak, że utracimy łączność z powodu pogody, Nadal nie widać naszych przyjaciół.

Dan Godziny wlokły się bezlitośnie. Meredith siedziała jak przykuta do swojego fotela, nieprzytomna z niepokoju. Było bardzo późno. Powinnam się położyć, pomyślała w pewnej chwili, ale nie ruszyła się sprzed komputera.

Potem, wreszcie, na ekranie pojawiło się coś nowego.

Burza chwilowo zelżała. Dzięki Bogu, że jest jasno, bo możemy zobaczyć górę, Wpatrywaliśmy się w nią, czekając całe popołudnie i mogę wam teraz donieść, że dostrzeżliśmy jednego człowieka schodzącego z Przełęczy Denali.

Nie możemy się jeszcze zorientować, kto to jest, wszystko, co wiemy, to że ze szczytu McKinley schodzi jedna osoba, Mamy nadzieję na najlepsze, ale obawiamy się najgorszego.

Módlcie się.

Dan Meredith nigdy później nie mogła sobie przypomnieć następnych godzin. Pamiętała, że Kathy zadzwoniła do niej i że rozmawiała z nią, ale nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie mówiła.

W pewnej chwili włączyła telewizor. Na kanale CNN było coś o dwóch himalaistach, którzy zaginęli na McKinley. Nie podano żadnych nazwisk, żadnych dodatkowych informacji. Wyłączyła telewizor i poszła do salonu, ciągle w ubraniu, które miała na sobie poprzedniego dnia. Chodziła po pokoju w kółko, starając się nie myśleć, nie wyobrażać sobie niczego, nie wpaść w otchłań, z której może nie byłaby w stanie się już wydostać.

Kiedy zadzwonił telefon, omal nie wyskoczyła ze skóry. Przez chwilę patrzyła na niego, przerażona i zafascynowana, potem szybko podniosła słuchawkę.

– Meredith Greene? – zapytał jakiś głos.

– Tak – nic więcej nie przeszło jej przez gardło.

– Panna Greene?

– Tak.

– Mówi Jim Bennet z Kanału 9. Może zechciałaby pani skomentować zaginięcie dwóch himalaistów na Alasce.

– Co?

– Pani nazwisko zostało nam podane przez Summit Expeditions. Może zechciałaby pani...

– Wie pan, o kogo chodzi? – spytała. Kto zaginął?

– Nie znamy tożsamości zaginionych, panno Greene.

Meredith odłożyła słuchawkę. Zrobiła to bardzo delikatnie, jakby była ze szkła. Ręce jej drżały. Telefon zadzwonił ponownie.

– Panna Meredith Greene? Oczekujemy, że złoży pani oświadczenie dotyczące stosunków łączących księcia Kemila al Assada z przewodnikami wyprawy. Czy mogłaby pani...

Odłożyła słuchawkę.

Telefon dzwonił i dzwonił. Jakby nie mógł przestać, jakby dostał czkawki. Meredith czekała, po każdym dzwonku miała nadzieję, że to już koniec, ale zaraz potem telefon odzywał się znowu... i znowu...

W końcu wyciągnęła wtyczkę z gniazdka.

Myślała o tysiącu różnych rzeczy, ale cały czas dręczył ją przede wszystkim strach o Erika. Zaczęła sprzątać. Umyła naczynia, które zostawiła w zlewie poprzedniego wieczoru, wyczyściła blat kuchenny, zlew i drzwiczki szafek, umyła podłogę. Wyciągnęła odkurzacz i odkurzyła dywany, na dole i na górze. Starła kurze z półek, posprzątała w łazience i toalecie. Robiła to wszystko z zaciętkością automatu, tak długo, aż poczuła się całkowicie wyczerpana.

Ale w głowie ciągle miała zamęt.

Później zwinęła się w kłębek na kanapie, zaciskając w dłoni pierścionek, który dostała od Erika. Modliła się samolubnie, by to Chad i Kemil zaginęli na szczycie.

Rozdział 14

Dziewięć godzin później, kilka minut przed północą coś wreszcie wyrwało ją z otępienia. Zerwała się z kanapy, na której leżała, ciągle całkowicie ubrana. Ktoś pukał do jej drzwi.

Kathy, to mogła być tylko Kathy. Meredith wyłączyła telefon, więc siostra Chada przyjechała do niej z wiadomościami. Nagle oblał ją zimny pot. A jeśli to nie Erik zdołał zejść z McKinley?

Nie, nie, na pewno udało mu się zejść, powtarzała sobie gorączkowo. Był najsilniejszy, najbardziej doświadczony. Ale w takim razie to Chad... Jak mogła myśleć tylko o Eriku i zapomnieć zupełnie o Chadzie i Kemilu? Jak mogła być tak samolubna?

Zebrała całą swoją odwagę, podeszła do drzwi i otworzyła je. I dopiero po chwili dotarło do niej, że to nie Kathy stoi za nimi w świetle lampy.

– Co... co? – wyjąkała.

John McCord skłonił się lekko.

– Mogę wejść? – zapytał. To było wszystko. Jakby jego obecność pod jej drzwiami była czymś zupełnie naturalnym.

Meredith stała z ręką na gałce drzwi i patrzyła na niego, usiłując zebrać myśli.

– Mogę wejść? – powtórzył.

W mdłym świetle żarówki zobaczyła, że sięga do kieszeni brązowej skórzanej kurtki i wyciąga z niej coś w rodzaju cienkiej czarnej książeczki. Otworzył ją i pokazał jej zawartość.

– John, co na litość boską... – spojrzała przelotnie na dokument, po czym znowu przeniosła wzrok na jego twarz. Nie rozumiem.

– Jestem z Departamentu Stanu – powiedział. – To sprawa urzędowa.

Departament Stanu? Czy nie powiedział jej, że... ?

– Czy chodzi o Erika? To znaczy...

John wślizgnął się do środka i rozejrzał dookoła. Meredith ciągle stała przy otwartych drzwiach jak przymurowana. Departament Stanu, powtarzała w myślach, zdezorientowana.

– Posłuchaj powiedział John. Muszę cię poprosić, żebyś pojechała teraz ze mną do miasta. Ktoś chciałby z tobą porozmawiać. Oczywiście możesz odmówić, ale w takim wypadku wrócę z nakazem.

Meredith nie była w stanie myśleć. Potrafiła tylko patrzeć na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Ten człowiek nie przypominał Johna, którego

znała, przystojnego, swobodnego mężczyzny, który łatwo nawiązywał kontakty. Ten człowiek był oficjalny, chłodny, obcy.

Nagle zrobiło jej się zimno.

Meredith – powiedział, odwracając się do niej. – Lepiej, żebyś pojechała ze mną teraz i porozmawiała z tymi ludźmi. Dla swojego własnego dobra.

– Z jakimi... Z jakimi ludźmi? – wyjąkała.

– Z kilkoma osobami z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Prowadzą dochodzenie. Chcesz wziąć jakiś sweter? Torebkę?

Udało jej się znaleźć sweter, który zarzuciła na to, co miała na sobie, czyli wygnieciony zielony podkoszulek i sprane dzinsy. Odruchowo sięgnęła po torebkę. W głowie miała pustkę. John poprowadził ją do samochodu stojącego obok jej miejsca parkingowego. Był to czarny SUV z przyciemnionymi szybami. Pod Meredith ugięły się kolana.

– Nie rozumiem – powiedziała, zatrzymując się gwałtownie i potrząsając głową. – Czy chodzi o Erika? Czy ty coś wiesz?

John otworzył drzwiczki po stronie pasażera.

– Proszę – powiedział tylko, a potem łagodnie, ale stanowczo pchnął ją w stronę siedzenia i zamknął za nią drzwi.

Kiedy usiadł za kierownicą, Meredith spróbowała jeszcze raz.

– Cholera, czy chodzi o wyprawę na McKinley?

Odparł wymijająco, że nie wolno mu na razie o niczym z nią rozmawiać, i ruszył.

Meredith przebyła osiem kilometrów, które dzieliło ich od miasta, jak we śnie. Światła samochodów, latarnie uliczne i neony oślepiły ją, ale patrzyła prosto przed siebie. Miała wrażenie, że w jej głowie rozpętała się burza, nie potrafiła się skupić na żadnej myśli.

Potem samochód zatrzymał się i Meredith zobaczyła, że znajdują się na tyłach starego domu z czerwonej cegły przy Main Street. Przed biurem szeryfa.

John otworzył przed nią drzwiczki. Kiedy wysiadała, nagle przed oczami stanęła jej okropna scena szeryf Hatfield informujący ją że Erikowi nie udało się zejść. Jak John McCord i Departament Stanu mogliby pasować to tego scenariusza, zupełnie jej nie interesowało. Jeszcze nie.

John sprowadził ją betonowymi schodami do wąskich drzwi. Nigdy wcześniej tu nie była. Rozglądała się wokół, ale nie z ciekawości. Cały czas słyszała bicie własnego serca. Wąski korytarz. Mnóstwo drzwi. Policjanci w mundurach. Wszyscy patrzyli na nią i mężczyznę w skórzanej kurtce, który z poważną miną

trzymał ją za łokieć. Ona jednak widziała tylko szeryfa, słyszała jego słowa: „Erik nie zdołał zejść z McKinley”.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że znalazła się w dużym pokoju. Na środku stał prostokątny stół. I osiem czy dziesięć krzeseł.

John odsunął jedno od stołu i zaproponował, by usiadła.

– Posłuchaj – zaczęła gorączkowo, ciągle stojąc. Nic z tego nie rozumiem. O co chodzi? Dlaczego mnie tu przywiozłeś? Jeśli chodzi o Erika, powiedz mi, na litość boską.

– Usiądź, proszę – powiedział John. Wyjął jej z rąk torebkę i postawił ją na stole. – Lepiej, żebyś z nami współpracowała. Odpowiedz na wszystkie pytania szczerze i wyczerpująco, a potem odwiozę cię do domu.

Już miała zapytać po raz kolejny, o co w tym wszystkim chodzi, ale drzwi za jej plecami otworzyły się i zamknęły. Odwróciła się szybko i zobaczyła dwóch mężczyzn z jakimiś dokumentami w rękach. Stanęli naprzeciw niej po drugiej stronie stołu.

Zechce pani usiąść, panno Greene – powiedział jeden z nich, wskazując krzesło.

Drugi mężczyzna wymienił spojrzenia z Johnem, ale się nie odezwał. Odsunął krzesło, otworzył swój segregator i wyciągnął długopis z kieszeni koszuli.

Meredith wstrzymała na chwilę oddech, powtarzając sobie, że musi się uspokoić. W końcu usiadła.

– Chcę... Chcę zobaczyć wasze identyfikatory – powiedziała, zaskoczona determinacją w swoim własnym głosie.

Obaj mężczyźni wyciągnęli dokumenty, z których wynikało, że są pracownikami Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Przeczytała wszystko dokładnie, choć sama nie wiedziała po co. Wiedziała tylko, że czuje się zastraszone, zagrożone, oszukane. Tak, uświadomiła sobie nagle, John McCord z jakichś powodów cały czas ją okłamywał. Powiedział... powiedział, że zajmuje się sprzedażą czy czymś takim... Że jest w mieście od niedawna, że jest rozwiedziony, że ma depresję. Że przy nowoczesnych technologiach telekomunikacyjnych może pracować, gdzie tylko zechce.

Departament Stanu.

Nagle poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w twarz. John był zwykłym łgarzem.

Gorący ciemny rumieniec objął jej szyję i wypłynął na policzki. John nadużył jej zaufania. Siedział w jej gabinecie, opowiadając zmyślane historyjki, {odszedł do niej w księgarni, uśmiechał się do niej, flirtował z nią, jadł z nią kanapki.

Przypomniała sobie też nagle, że wiedział o Eriku, zapytał ją, czy ciągle widuje się z Amundssonem.

Departament Stanu.

Czuła się tak, jakby odebrano jej coś cennego i zrobiono to bez pytania. Spojrzała jeszcze raz na dokumenty zaprezentowane przez mężczyzn, po czym podniosła wzrok.

O co chodzi? – zapytała wysokim, ostrym głosem, który zdawał się nie należeć do niej.

Uświadomiła sobie w tej chwili, że John stoi za nią. Była w stanie dostrzec go kątem oka. Ciągle miał na sobie kurtkę. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach opierał się o ścianę. Drań.

Spojrzała na pozostałych.

– Czy chodzi o Erika? Chcę wiedzieć... Domagam się...

– Panno Greene, to my będziemy zadawać pytania – uciął jeden z nich.

Młody, miał najwyżej trzydzieści lat; był krótko ostrzyżony i sprawiał bardzo nieprzyjemne, oficjalne wrażenie, mimo pastelowej letniej koszuli i dżinsów. Drugi z mężczyzn – starszy, koło pięćdziesiątki – miał miłą twarz o dość regularnych rysach. Jego siwe włosy zaczynały już rzednąć, a brązowe oczy były zupełnie puste, jakby nic nie było w stanie go zaskoczyć. Takie od setek lat są oczy żołnierzy i policjantów.

– Wy będziecie zadawać pytania powtórzyła, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. Miała ochotę spojrzeć na Johna, ale się powstrzymała. Nie chciała, by odniósł wrażenie, że prosi go o pomoc. W takim razie może powinnam wezwać swojego prawnika? Skoro nikt nie chce mi nic...

– Czy jest jakiś powód, dla którego może pani potrzebować prawnika, panno Greene? – spytał natychmiast starszy z mężczyzn.

– Oczywiście, że nie – odparła, ale zaraz się poprawiła. – Zresztą, skąd mam wiedzieć? Nikt nie chce...

Ale i tym razem przerwano jej grzecznie, lecz zdecydowanie.

Nie odpowiedzieli na żadne z pytań, jakie usiłowała im zadać przez kolejne piętnaście minut. W końcu zaczęło się jej kręcić w głowie. Ilekroć spróbowała zerknąć w stronę Johna, on odsuwał się nieznacznie, żeby nie mogła go dostrzec. Ale stał tam, tuż za nią. Czuła na swoich plecach jego wzrok.

Zaczął ją przesłuchiwać, zadając najzwyklejsze, najgłupsze pytania.

– Gdzie się pani urodziła, panno Greene?

– W Aspen Valley Hospital.

Erik, myślała rozpaczliwie, czując, jak ogarniają ją mdłości. Chodzi o Erika, była tego pewna. Ale dlaczego? Czy on żyje? Pani siostra mieszka w Denver?

Tak, w Denver. Ale co to ma z tym wszystkim wspólnego, do diabła? A pani ojciec, Neil, urodził się w Rifle, w stanie Kolorado?

– Nie. Nie w Rifle. Urodził się w Glenwood Springs.

– Ale wychował się w Rifle?

– Tak. Tak! krzyknęła.

Przypomniał jej się czarny SUV – samochód Johna. Ten sam, który widziała przed domem Kemila, ten, który zauważył też Erik. „Polityka”, powiedział Erik. Polityka nic go nie obchodziła. Czy to Kemil zajmował się polityką? Czy to idiotyczne przesłuchanie w środku nocy dotyczy Kemila?

Ten samochód. Widziała go także przed swoim domem. Tego wieczoru, kiedy był u niej Tony i później, kiedy pojechał za Kathy. A zaczynała sądzić, że cierpi na paranoję.

– A Kathy Fry? Od jak dawna zna ją pani?

– A co to ma wspólnego z Kathy? Z czymkolwiek?

– Panno Greene – powiedział ten młodszy. Powinna pani z nami współpracować. Leży to w pani interesie. Jeśli nie...

– Co jeśli „nie”?

– Pani Fry – odezwał się starszy z mężczyzn; spokojnie, niemal przyjaźnie. – Kiedy ją pani poznała?

Meredith oparła głowę na dłoniach, przeczesała włosy palcami.

– Nie wiem... Nie wiem. Kilka miesięcy temu. Wiosną.

– A kiedy poznała pani Chada Newhouse'a, brata pani Fry?

– Mniej więcej w tym samym czasie. W kwietniu.

– W drugim tygodniu kwietnia?

– Tak, chyba tak. Nie wiem.

– Poznała pani Chada Newhouse'a na przyjęciu u księcia Kemila al Assada?

– Tak... Nie, nie wtedy. Później.

– Ale Erika Amundssona poznała pani na tym przyjęciu, ósmego kwietnia.

Zgadza się?

– Ale skąd... ? – Meredith patrzyła na nich w osłupieniu.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, panno Greene.

– Skoro mówicie, że to był ósmy kwietnia, to na pewno tak było.

– Nie ma potrzeby przyjmować takiego tonu, panno Greene – powiedział młodszy. Czy słyszała pani o księciu lub też poznała go przed tym przyjęciem?

Meredith potrząsnęła głową. Nagle poczuła się śmiertelnie zmęczona. Więc pani przyjaciel, Anthony Waterman, znany pani jako Tony, nie przedstawił pani księcia przed ósmym kwietnia? Skąd wiedzieli o Tonym? I o całej reszcie?

– Pozostawała pani wówczas w związku o charakterze seksualnym z Tonym Watermanem?

Meredith zatkało. Starszy nie tracił czasu.

– Ale tamten wieczór, ósmego kwietnia, spędziła pani w towarzystwie Erika Amundssona.

– To nie wasza sprawa...

– Czy spędziła pani całą noc w domu księcia Kemila al Assada?

– Nie. To jakieś szaleństwo. Dlaczego pytacie mnie...

– Więc nigdy nie była pani w związku o charakterze seksualnym z księciem Kemilem al Assadem?

Co? Dobry Boże, nie!

– Ani z Chadem Newhouse'em?

– Dość tego! – krzyknęła Meredith. – Dlaczego... ? Czy to ma coś wspólnego z wojną lub terroryzmem? Nie sądzicie chyba, że mogłabym mieć cokolwiek wspólnego z terrorystami.

– Ale pozostaje pani w związku z jednym z najbliższych przyjaciół księcia, Erikiem Amundssonem, od czterech i pół miesiąca? Czy to prawda?

Meredith przygryzła wargę.

– Proszę, przestańcie. Proszę – jęknęła. – Powiedzcie mi, czy Erik żyje – powiedziała błagalnie. – Nie wiem, czego ode mnie chcecie, i nic mnie to nie obchodzi. Ale powiedzcie, czy są jakieś wieści o Eriku... Proszę, proszę, tylko...

Usłyszała głos Johna, najpierw z większej odległości, potem wyraźniej, jakby stanął tuż za nią.

– Dostyc.

– Jeszcze nie skończyliśmy – odparł ten młodszy.

I znowu John:

– To koniec.

Spojrzenie starszego nagle nabrało żywszego wyrazu.

– Słuchaj, McCord, nie masz prawa...

– Ani ty – uciął John. – Kończymy to natychmiast.

Jak przez mgłę zobaczyła wymianę twardych spojrzeń, walkę o władzę.

– Jeszcze kilka pytań – powiedział w końcu ten starszy. – A potem pani Greene będzie mogła...

– Nie, kończymy teraz odparł John tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Meredith czuła, że zaraz się załamie i wybuchnie płaczem. I będzie płakać tak długo, jak długo starczy jej łez. Ale wiedziała, że nie zrobi tego tutaj. Nie przy tych ludziach. Nie przy Johnie. Zwłaszcza nie przy nim.

Mężczyźni wymienili jeszcze kilka ostrych słów, ale ich treść umknęła jej uwadze. Wiedziała już dość. Teraz była pewna, że wszystko to miało związek z Kemilem z Kemilem i jego polityką, jego przyjaciółmi, tutaj i na Bliskim Wschodzie. Ale dlaczego nikt nie chce jej powiedzieć, kto zdołał zejść z tej góry? Jeden człowiek... Tylko jednemu się udało.

Ci dwaj z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego wstali w końcu, włożyli długopisy do kieszeni i zamknęli swoje segregatory.

– Popelniasz błąd – powiedział do Johna młodszy z nich.

– Na litość boską, powinieneś wiedzieć, jak to działa, McCord dodał starszy.

– Porozmawiamy rano – powiedział tylko John, odsuwając krzesło i siadając obok Meredith.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi. Jej prześladowcy wyszli. Poczowała obezwładniający ból głowy.

– Cholera – wyszeptała.

– Już po wszystkim.

– Tak, wiem. Widzę. Jak oni mogli? Jak mogłeś... – odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Maską obojętności zniknęła z jego twarzy. Znowu wyglądał przyjaźnie, patrzył z troską na jej twarz i zaciśnięte dłonie.

– Odpowiedz – powiedziała. Jak mogłeś mi to zrobić? I nie chcę już słyszeć żadnych kłamstw.

Przez chwilę patrzył na nią spokojnie.

– To moja praca.

– Oszukiwanie ludzi to twoja praca?

– Tam, gdzie w grę wchodzi kwestie bezpieczeństwa narodowego, tak, to jest moja praca. Możesz mnie nazwać tajniakiem. Możesz mnie nazwać oszustem. Po jedenastym wrześniu to zło konieczne.

– Zło konieczne? – powtórzyła.

– Czy pomoże ci, jeśli zwierzę ci się, jak źle się z tym czuję?

– Nie.

– Więc tego nie powiem.

– Świetnie. Nie mów. Chcę tylko wiedzieć, czy są jakieś wiadomości o wyprawie na McKinley. Jeśli coś wiesz, cokolwiek... John, musisz mi powiedzieć.

Błagam cię.

– Są wiadomości – powiedział cicho.

Serce Meredith na moment przestało bić.

– Był wypadek na przełęczy Denali – ciągnął John poważnie.

Meredith miała wrażenie, że jej serce nadal nie bije.

– Chad Newhouse jest już bezpieczny – John urwał. Księżę Kemil zginął z powodu upadku.

– O mój Boże jęknęła. A Erik? Co z Erikiem? – patrzyła w napięciu na Johna. Serce nagle zaczęło jej walić jak oszalałe.

Powoli potrząsnął głową.

Nie znaleźli Amundssona mówił tak cicho, że ledwie mogła go zrozumieć. – Z doniesień wynika, że jeśli nawet przeżył upadek, mógł nie przetrwać nocy. Przykro mi, Meredith. Przykro. Powiedział, że jest mu przykro.

Rozdział 15

Straciła poczucie czasu i przestrzeni. John zajął się nią, a ona w odrętwieniu pozwoliła, by pomógł jej wstać, włożyć sobie torebkę pod pachę i wyprowadzić z sali przesłuchań. Trzymając dłoń na jej plecach, sterował nią jak marionetką. Wyszli na korytarz i wspięli się na górę, po zimnych betonowych stopniach. Otworzył przed nią drzwi czarnego samochodu, a potem je zamknął. Usłyszała dźwięk blokady.

Wzięła głęboki oddech, zastanawiając się, dlaczego pozwoliła temu człowiekowi kierować sobą, manipulować, jakby była pozbawiona własnego rozumu, ale zaraz przestała o tym myśleć. To nie miało znaczenia.

John wyprowadził samochód z miejsca na parkingu, trzymając rękę na oparciu jej fotela. Jego palce musnęły jej udo, kiedy odwrócił się, by chwycić kierownicę.

Na Main Street było pusto; trzy uliczne światła błyskały żółto. Uświadomiła sobie, że musi być bardzo wczesny poranek. Drżała na całym ciele. Czy jest aż tak zimno?

– Możesz włączyć ogrzewanie?

Włączyć ogrzewanie. Dziwne, jej ciało domagało się wygód nawet w takiej sytuacji.

Objęła się ramionami i spojrzała na profil Johna. Zaczęła mówić, chociaż właściwie nie miała takiego zamiaru.

– Nikt, to znaczy Chad, nie widział, jak Erik spadał?

Nie zdawała sobie sprawy z faktu, że zaledwie kilka minut temu już zadała mu to pytanie.

Raport, który czytałem, nie mówi nic na ten temat. – John skrzywił się w Woody Creek Road, spoglądając w stronę rzeki, gdzie o świcie zbierały się sarny.

Chad nie mógł nic widzieć – powiedziała bardziej do siebie niż do niego. Nie mógł być świadkiem tego wypadku. To znaczy, gdyby to widział, mógłby powiedzieć ratownikom, gdzie szukać Erika.

To rozsądne założenie.

– Ten raport... Kiedy właściwie go przeczytałeś?

– Tuż przed tym, jak przyjechałem do ciebie. Około wpół do dwunastej w nocy.

– Powinieneś być od razu mi o tym powiedzieć. To okrutne, że kazałeś mi czekać.

– Tak, wiem. Ale jak ci już powiedziałem, wypełniałem polecenia.

– Jasne. Polecenia Departamentu Stanu. Czy też Agencji Bezpieczeństwa

Narodowego?

– Przykro mi, Meredith. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

W mdłym świetle poranka widziała jego ściągniętą twarz.

– Co mi to da, że jest ci przykro? – odparła. – Po fakcie.

– Nic. Przykro mi, że powiedziałem, że jest mi przykro.

– To sarkazm?

– Absolutnie nie.

– Powinnam cię za to znienawidzić – westchnęła. – Ale w tej chwili nie stać mnie na nienawiść. Sama nie wiem... sama nie wiem, co czuję.

– Rozumiem.

– Nie. Nie rozumiesz. Nie możesz rozumieć.

Cisza.

– Więc raport z McKinley przyszedł do ciebie faksem?

– Nie powiedziałem tego, ale tak, zgadza się.

– I stwierdzono w nim z całą pewnością, że odnaleziono tylko ciało Kemila?

– Tak.

– O Boże.

Spojrzała w okno. Kemil nie żyje. Erik zaginął prawie dwadzieścia cztery godziny temu. Jeśli przeżył upadek, mógł nie przeżyć nocy. Tak powiedział John. Tak było napisane w tym raporcie. Ale oni nie znali Erika. Erik nie jest zwykłą istotą ludzką. Jeśli ktoś mógł coś takiego przetrwać, to właśnie on. Wiedziała o tym. Wiedziała.

– Ale dlaczego właściwie mnie obserwowałaś? To znaczy, zakładam, że chodzi o Kemila. Więc po co za mną jeździłaś?

John zatrzymał samochód koło jej miejsca na parkingu i wyłączył silnik.

– Mamy na oku wszystkich znajomych księcia.

– Trudno mnie nazwać jego znajomą.

– Spędziłaś sporo czasu w jego towarzystwie.

– Erik spędzał sporo czasu w jego towarzystwie. Erik, Chad, Dan i Kevin, i...

Ale z pewnością oni też byli pod obserwacją.

John mruknął coś pod nosem.

– I dlatego zaczęłaś mnie śledzić. Bo pojechałam z Erikiem do jego domu. No tak – powiedziała. – To był ósmy kwietnia.

– Jesteś zmęczona – stwierdził, otwierając drzwi samochodu. – Myślę, że powinnaś odpocząć.

– Nie odpocznę, dopóki się nie dowiem, co się stało z Erikiem. Dopóki go... nie

znajdą.

– W porządku. Rozumiem.

– Nie rozumiesz.

Zaprowadził ją do domu. Milczała. Miała dość. Stała na środku dziwnie obcego pokoju, zagubiona, przerażona i obolała. Obecność Johna nic dla niej nie znaczyła. Nikt nie mógł jej teraz zranić. Nikt nie mógł jej pomóc. Nic nie będzie miało znaczenia, dopóki nie dowie się, co się stało z Erikiem.

Nie mógł zginąć. Nie w górach.

Głos Johna przerwał jej rozmyślenia.

– Muszę tu zostać przez jakiś czas.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Potrząsnęła głową.

– Nie chcę cię tutaj.

– Posłuchaj – oparł się plecami o blat oddzielający kuchnię od salonu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i patrzył na nią spokojnie. – Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, że media wkrótce rozpoczną atak. A wierz mi, ty będziesz ich głównym celem. Więc pozwól mi robić, co do mnie należy.

– Atak mediów? Z powodu Kemila?

– Tak, oczywiście. I z powodu Erika Amundssona. Pamiętaj, że to jest Aspen. Będą chcieli dopaść cię tak samo, jak wszystkich innych, którzy choćby tylko słyszeli o księciu. Zrobi się koszmarnie.

– Cóż, więc rób, co do ciebie należy. – Usiadła na kanapie i poczuła łzy wzbierające pod powiekami. Jeszcze nie, pomyślała. Nie w tej chwili. – Teraz, kiedy już zostałam przesłuchana, co właściwie będziesz robił, John?

– Powiedzmy, że będę cię chronił.

– Przed mediami?

– Tak. I wszystkimi, którzy zaczną cię nagabywać.

– Nie rozumiem.

– Jestem pewny, że saudyjska rodzina księcia będzie chciała z tobą rozmawiać.

– Świetnie. Wszystko z powodu tych spraw, o których wspominała Kathy, jak przypuszczam.

– A o czym wspominała Kathy?

Meredith potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Mówiła coś o zwrocie podatku i problemach na Bliskim Wschodzie. Albo może to Erik mi o tym powiedział? Nie pamiętam.

– Hm...

Spojrzała na niego pytająco.

– Co takiego zrobił Kemil, że rząd tak się nim interesuje?

John patrzył na nią przez chwilę poważnie. Potem najwyraźniej podjął decyzję.

– Kemil ma... miał znajomego na Bliskim Wschodzie, o którym wiadomo, że utrzymuje kontakty z pewną organizacją terrorystyczną.

– Kemil jest przyjacielem przyjaciela jakiegoś terrorysty?

– To trochę bardziej skomplikowane.

– Tak? Jak bardzo? Domyślam się, że Chad i Erik też byli przyjaciółmi tego przyjaciela – zaśmiała się, bliska hysterii.

– Oczywiście nie wolno mi rozmawiać o sprawach bezpieczeństwa narodowego, mogę ci jednak powiedzieć, że i Erik Amundsson, i Chad Newhouse byli kiedyś gośćmi tego człowieka, przyjaciela Kemila.

– Daj spokój.

– Obawiam się, że takie są fakty. W Lahore w Pakistanie w ubiegłym roku, tuż przed wyprawą na Nanga Parbat.

– Żartujesz.

– To nie są żarty.

– To, że Erik i Chad mieszkali u kogoś przed wyprawą, nie oznacza, iż mają powiązania z terroryzmem. To absurd – urwała. Jedno spojrzenie na twarz Johna wystarczyło, by zrozumiała, że on jest innego zdania. – Nie możesz w to wierzyć. Erik i Chad! Ich interesuje tylko wspinaczka.

Patrzył na nią przez chwilę.

– A Erik... On nienawidził polityki. Takie rzeczy nie miały dla niego żadnego znaczenia. Nie znasz go. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. To wszystko... to czyste szaleństwo. – Spojrzała na Johna. Nie patrz tak na mnie – powiedziała.

– Jak, Meredith?

– Tak... tak sceptycznie. Kathy miała rację. To jakaś rządowa paranoja.

– Tak powiedziała Kathy Fry?

– Tak. A po tej nocy jestem skłonna się z nią zgodzić.

– Hm... – mruknął tylko. – Może pójdziesz się trochę przespać? – spojrzał na zegarek. Już prawie siódma. Jak już mówiłem, zajmę się telefonami.

– Internet jest włączony.

– Myślę, że sobie poradzę.

Nie chciała go w domu. Nikogo nie chciała. Potrzebowała czasu, żeby przemyśleć wszystko, co mogło się wydarzyć na tej górze. Przypomnieć sobie, że Erik był najsilniejszy, najbardziej doświadczony musiał przeżyć. Potrzebowała czasu, żeby się wypłakać. Czuła, że jeśli nie pozwoli sobie na łzy, wkrótce pęknie.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Zostań. Odbieraj telefony, rób, co tylko do ciebie należy, John. Zresztą i tak nie mogłabym cię powstrzymać.

– Jestem tu po to, żeby ci pomóc – powiedział cicho.

– Jasne.

– Posłuchaj. Kemil nie żyje. Dziennikarze będą atakować jego znajomych, współpracowników, wszystkich, którzy go znali. Pojawią się oskarżenia. Nikomu nie dadzą spokoju. Ty nie jesteś wyjątkiem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię przed tym ochronić.

– Mam ci podziękować?

– Po prostu idź się przespać.

W końcu wstała. Była spięta i miała sucho w ustach. Serce biło jej przyspieszonym rytmem. Czowała, że jest skrajnie wyczerpana, ale nic jej to nie obchodziło. Powoli, trzymając się poręczy, wspięła się na schody. Kątem oka dostrzegła ekran komputera i przypomniała sobie, że ciągle jest podłączony do sieci, oczekując wiadomości od Dana. Zabawne.

Wzięła gorący prysznic, próbując przekonać samą siebie, że właściwie nadal nie wiadomo nic konkretnego. W porządku, Kemil zginął, jego śmierć to oczywiście okropna tragedia. Ale Chad żyje. Chad z tego wyszedł. A Erik... ? To istotne, że nie odnaleźli jego ciała. Może wykopał schronienie w śniegu? Może...

Jeśli zaśnie, czy John zbudzi ją, jeśli się czegoś dowie?

Tak, na pewno. Ani przez chwilę nie wierzyła, że ma ją chronić. On i jego zwierzchnicy będą ją obserwować aż do chwili, kiedy się upewnią, że nie wie nic o Kemilu ani żadnych terrorystach. Ale oczywiście John nie ma żadnego powodu, by ukrywać przed nią informacje dotyczące Erika.

Wysuszyła włosy ręcznikiem, poszła do swojej sypialni, zamknęła za sobą drzwi i stanęła, wpatrując się w łóżko. Widziała go tam, widziała siebie u jego boku, widziała jego jasne włosy na poduszce, jego przetykaną siwizną brodę na swojej pościeli, jego ramię przerzucone przez jej udo.

Po jego wyjeździe wyprała bieliznę pościelową. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego nie przyszło jej do głowy, że może on już nie wróci?

Łóżko wydało jej się puste i zimne, mimo że dzień, który już się rozpoczął, był jasny i ciepły. Nie chciała kłaść się do łóżka. Nie chciała spać. Jeśli zaśnie, będzie śniła.

W końcu z jej gardła wydobył się urywany jęk i zaczęła spazmatycznie szlochać. Chwyła się za brzuch, obejmując się w talii ramionami, jakby chciała powstrzymać rozpacz. On nie zginął, powtarzała sobie. On tylko zaginął. Więc jest

nadzieja.

– Cholera – szepnęła.

Gdyby Erik zginął, czy nie czułaby tego?

Otworzyła oczy w południe, zaskoczona faktem, że w ogóle zasnęła.

Rozpacz wróciła. A z nią nadzieja. Emocje wzbierały potężnymi falami, cichły na moment, potem znowu wzbierały.

W dzinsach i błękitnym podkoszulku zeszła wreszcie na dół z dłonią na poręczu schodów. Zauważyła, jaka jest chłodna i gładka. Jej zmysły reagowały na wszystko z niezwykłą ostrością. Czowała zapach powietrza, czuła jego drgania. Nie zdziwiłaby się, gdyby w ten sposób otrzymała wiadomość od Erika, wiadomość z innego wymiaru.

Jest już popołudnie, pomyślała. Od czasu, kiedy zaginął, minęła cała doba. Czy ratownicy jeszcze go szukają? Na pewno. Nie zaniechaliby poszukiwań tak szybko. Sama nie wiedziała, co oznacza teraz upływ czasu. Nie odnaleziono jego ciała, więc ciągle jest nadzieja, że przetrwał.

Ale to chyba źle, że minęło już tyle godzin.

John był w kuchni. Nie miał już na sobie skórzanej kurtki, tylko białą bawełnianą koszulę z rękawami zawiniętymi do łokci. Zrobił kawę. Wypełniała kuchnię silnym zapachem. A może to tylko jej zmysły były tak wyostrzone?

Zauważył ją i ruchem głowy wskazał dzbanek.

– Świeżo zaparzona. Dość mocna, ale...

– Chętnie się napiję kawy.

– Cukier? Śmietanka?

– Tak, wszystko, proszę. – Usiadła na stołku. Bolała ją głowa. – Były jakieś wiadomości? Jakiegokolwiek? Nie słyszałam telefonu.

– Przyciszyłem dzwonek.

– Były jakieś telefony?

– Tak, kilka.

Meredith wstrzymała oddech.

– Erik? Były jakieś...

– Jak dotąd nie. – John wręczył jej kubek. Mam nadzieję, że nie jest zbyt słodka.

– Nigdy nie wpuszczam nikogo do kuchni powiedziała cicho.

– Poprosiłbym o pozwolenie, ale bałem się, że cię obudzę.

– Nie musisz prosić o pozwolenie. Dziwne, ale w tej chwili nic mnie to nie

obchodzi.

– To szok.

Trzymała kubek w ręce, patrząc na Johna, próbując wzbudzić w sobie niesmak, który czuła poprzedniej nocy. John zaprzyjaźnił się z nią, a potem ją zdradził. Judasz. Powinna go wyrzucić. Ale kto by wtedy odbierał telefony od prasy? Może lepiej pozwolić mu zostać i na nowo rozbudzić w sobie gniew. Wszystko będzie lepsze od zastanawiania się, czy Erik żyje, czy... Nie. Nie będzie o tym myśleć.

– Tak, to chyba szok. Powinna była zdać sobie sprawę z tego, że nie myślę jasno.

– To zrozumiałe.

Upiła łyk kawy.

– Mówiłeś, że były telefony?

– Och, no tak. Dzwonili dziennikarze z lokalnych gazet, a nawet jeden z Denver. I jedna stacja telewizyjna. Dopiero zbierają się do ataku. Dzwonił też twój ojciec. Prosi, żebyś się z nim skontaktowała. I twoja siostra.

Aha, i jeszcze jakaś kobieta o imieniu Darlene.

– Hm...

– Kilku twoich pacjentów zostawiło wiadomości. Zapisalem je. Wszyscy chcą się z tobą skontaktować.

Meredith uśmiechnęła się słabo.

– Więc było więcej niż kilka telefonów.

– Można tak powiedzieć.

– Muszę zadzwonić do pacjentów. Boże... Nie mogę. Po prostu nie mogę. Będę musiała...

– Mogę ci w tym pomóc.

– Mam listę w komputerze – powiedziała z roztargnieniem. – Muszę... – głos jej się załamał.

– Zajmiemy się tym – odparł John. Uspokajająco, pełen dobrej woli.

– Nie mogę uwierzyć, że zasnąłam.

– Byłaś wyczerpana.

– Owszem, dzięki tobie i twoim kolegom po fachu. Ciągle jestem.

– Nie powiem znowu, że jest mi przykro.

– To dobrze. Nie chcę ci wybaczyć. Nie wierzę, że nie było żadnych wiadomości o wyprawie. A w telewizji? Włączyłeś chociaż telewizor?

– Tak.

– Boże. Czy nie powinni już czegoś wiedzieć?

Wiedziała, że to bez sensu. Z lektury materiałów dotyczących wspinaczki wiedziała, że ciało wielu alpinistów nigdy nie odnaleziono. Ale znaleźli Kemila. Czy to znaczy, że jest jakaś iskierka nadziei? Co to właściwie znaczy?

Doświadczyła już bólu związanego ze śmiercią bliskiej osoby, kiedy zmarła jej matka. Wiedziała też od swoich pacjentek, że ten ból przypomina bóle porodowe, tylko kolejność jest odwrotna. Najgorsze następują tuż po stracie. Ból atakuje wtedy nagle, bezlitośnie, z wielką częstotliwością. Później jednak, już po kilku godzinach, daje o sobie znać nieco rzadziej i już nie tak gwałtownie.

Nie myślała o tym dotychczas, bo dopóki nie było żadnych konkretnych wiadomości, nie potrafiła porzucić nadziei. Nie opłakiwała Erika. Ale dlaczego w takim razie dręczy ją taka rozpacz?

Rozległ się dzwonek telefonu i serce na moment przestało jej bić. Ale była to tylko kolejna stacja telewizyjna. Usłyszała, jak John mówi:

– Panna Greene nie udziela wywiadów. Nie, proszę już nie dzwonić, odpowiedź będzie zawsze taka sama.

Odłożył słuchawkę.

– To naprawdę piranie – powiedziała.

– Piranie, sępy, hieny, co tylko chcesz.

Telefon znowu zadzwonił.

Boże – jęknęła Meredith, ale tym razem była to jej siostra.

– Wstałaś już. Jak w ogóle mogłaś zasnąć? – spytała Ann. – Och, to okropne, co powiedziałam. Na pewno jesteś wykończona. Chcesz, żebym do ciebie przyjechała? Mogłabym...

– Nie, wszystko w porządku. Naprawdę.

– Kto odebrał telefon?

– Mój... – omal nie powiedziała „przyjaciół”. – Pracownik Departamentu Stanu.

– Co?

– O Boże, to długa historia. Powiedzmy, że rząd interesuje się okolicznościami śmierci Kemila.

Okolicznościami śmierci Kemila? Ale co ty masz z tym wspólnego?

Nic. Znałam go tylko przez Erika. Ale prasa o to nie dba. – Meredith spojrzała na Johna. Chyba nie powiedziała za dużo? A z drugiej strony, co ją to obchodzi? Co on może zrobić, aresztować ją?

– Nie było żadnych wiadomości o Eriku? Nic?

– Nic. Ale ciągle go szukają, – Na pewno przeżył. Musisz mieć nadzieję, słyszysz?

– Tak.

– Rozmawiałaś z tatą? Dzwonił do mnie. Bardzo się martwi.

– Och?

O ciebie.

– Nie, nie dzwoniłam do niego.

– A zadzwonisz?

– Może. Dobrze, później – I na pewno nie chcesz, żebym do ciebie przyjechała?

– Nie, nie musisz przyjeżdżać.

– Więc może przyjadę w weekend. Wezmę ze sobą dzieci, ale zatrzymamy się na rancho. Do tego czasu... Erik na pewno będzie już z tobą w domu, cały i zdrowy. Słyszysz?

– Tak. Na pewno.

– Zadzwon, jeśli będziesz mnie potrzebować.

– Dobrze.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Rozłączyła się, a wtedy telefon natychmiast znowu zaczął dzwonić. John zmarszczył brwi i podniósł słuchawkę. Natychmiast się zorientowała, że to do niego.

– W porządku, rozumiem – powiedział, a potem przez chwilę słuchał.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się. – Możesz powtórzyć?

Meredith zerwała się na równe nogi.

– John? O co chodzi? Co...

Powstrzymał ją gestem.

– Kto przesłał ten raport? – zapytał i znowu przez chwilę słuchał. – Więc jest tylko wstępny.

– John?! – krzyknęła.

Spojrzał na nią.

– Dobrze. Jak tylko dowiecie się czegoś nowego... tak, pod ten numer albo na moją komórkę. Tak. W porządku.

Odłożył słuchawkę.

– Na litość boską, powiedz mi! Co się dzieje? Znaleźli... ? Och, nie, powiedz, że nie znaleźli...

John uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie znaleźli Erika. Słyszysz?

– Ja... Nie znaleźli go?

– Nie. Ciągłe jest uznawany za zaginionego.

– Och. Bogu dzięki – wyszeptała i odsunęła się od Johna. W takim razie... o co chodziło? – Czekala na odpowiedź, ale on tylko na nią patrzył. John?

Wzruszył ramionami.

– To chyba i tak wkrótce wyjdzie na jaw, jak przypuszczam.

– Co?

Raport. To tylko wstępny raport zaznaczył – ale pojawiło się coś nowego.

– Co?

– To raport z laboratorium policji stanu Alaska. Wygląda na to, że...

– Że co?!

John milczał przez chwilę.

– Lina przypięta do upręży księcia Kemila prawdopodobnie została przecięta.

Zrozumienie znaczenia tych słów zajęło jej kilka sekund.

– Przecięta? Chcesz powiedzieć, że została przecięta... nożem czy czymś takim?

Kiwnął głową.

– Nie rozumiem. Jeśli lina Kemila została przecięta, to...

– To jego śmierć mogła nie być dziełem przypadku dokończył John.

Meredith opadła na stołek i potrząsnęła głową. Miała wrażenie, jakby ktoś założył na nią obręcz i powoli ją zaciskał. W końcu podniosła wzrok.

– Ale to bez sensu. To niemożliwe. Ktoś musiał się pomylić.

John uniósł jedną brew.

– Na pewno się pomylili. Ktoś w tym laboratorium popełnił błąd. Dlaczego... Przecież oni, to znaczy Kemil, Chad i Erik, byli przyjaciółmi.

Przecięta lina? To śmieszne! Chyba nawet ty nie wierzysz, że to prawda. – Znowu potrząsnęła głową i zaczęła się śmiać, ale zaraz potem ogarnął ją gniew. – Przecięta lina. Nic dziwnego, że nie znaleźli Erika. Banda prowincjonalnych, niekompetentnych durniów. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

Ale kiedy spojrzała na jego twarz, zobaczyła tam tylko powątpiewanie – nie w fakt, że lina została przecięta, ale w zasadność jej osądu.

Zaśmiała się znowu. Wiedziała, była absolutnie pewna, że za chwilę się obudzi i zrozumie, iż ostatnie godziny były tylko koszmarnym snem.

Rozdział 16

Czasami miała wrażenie, że w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin przeżyła tak naprawdę wiele lat. Zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej wiedzieć, że on nie żyje, że zginął. Że już go nie ma. A może jednak lepiej trzymać się tej słabej, gasnącej nadziei?

Dzisiaj, półtora dnia po tym, jak Chad zszedł ze szczytu do High Camp, myśl o tym, że Erik może nie żyć, nie wydawała jej się już czymś tak potwornym. Wiedziała, że tak funkcjonuje ludzki umysł, bez względu na to, czy się tego chce, czy nie. Zaczęła się do tej myśli przyzwyczajać, zaczęła wracać do życia. Z każdą mijającą godziną było łatwiej. Trochę łatwiej.

Ale były też chwile, kiedy Erik nagle stawał jej przed oczami siedzący na kanapie, jedzący coś przy kuchennym blacie, w jej łóżku, pod prysznicem – i wtedy ból atakował ją ze zdwojoną siłą.

John spędził z nią to długie popołudnie. Chciał spać na kanapie w salonie i korzystać z łazienki na dole. Niezmordowanie sprawdzał wszystkie telefony. Odbierał tylko niektóre, a wtedy odpowiadał po prostu: „Bez komentarza”. Ze swojej komórki rozmawiał z biurem w Waszyngtonie i pracownikami Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, którzy ciągle byli w Aspen. Czekali na Chada.

– Chciałabym porozmawiać z Chadem – powiedziała tego wieczoru. – Muszę z nim porozmawiać. Przypuszczam, że nie wiesz, kiedy on wróci?

Wcześniej John pojechał do miasta po swoje rzeczy i przy okazji zrobił zakupy. Zostawił włączoną automatyczną sekretarkę i powiedział Meredith, żeby nie odbierała żadnych telefonów od obcych. Teraz siedział przy kuchennym blacie nad talerzem zupy i z kanapką w ręce.

– Sądzę, że Chad wróci rano.

– Ale nie wiesz tego na pewno?

– Mogę się dowiedzieć.

– Przypuszczam, że będą z nim chcieli rozmawiać ci sami ludzie, co ze mną? – powiedziała Meredith. – Ci z Agencji.

John nie przerwał jedzenia.

– Oczywiście. Teraz jest jeszcze ta absurdalna kwestia przeciętej liny.

Dużo o tym myślałam i...

– Nie rób tego.

– Czego?

– Nie marnuj czasu, rozmyślając o tym.

– Dlaczego?

– Bo to tylko wstępny raport. Jeśli nawet lina została przecięta, to Chad Newhouse jest jedyną osobą, która będzie mogła wyjaśnić, co się wydarzyło.

– Ale...

– Daj spokój, Meredith.

– Łatwo ci mówić.

– Hej...

– Ciekawe – przerwała mu – czy ci ludzie zapytają Chada, czy i on sypiał z Kemilem.

John odgryzł kęs kanapki, ignorując jej słowa.

– A co z Kathy? Czy ona ma jakieś kłopoty? Czy ją też dręczą tak, jak przedtem mnie? Czy ci ludzie naprawdę sądzą, że my wszyscy mamy jakieś związki z organizacjami terrorystycznymi? To chyba niemożliwe, prawda?

– Nie mogę odpowiedzieć na te pytania.

– Nie możesz czy nie chcesz?

Wzruszył ramionami.

– Och, na litość boską – jęknęła Meredith.

– Powinnaś coś zjeść – powiedział John. – To, co przyniosłem, jest naprawdę niezłe.

– Nie mam apetytu.

– Mimo wszystko powinnaś spróbować.

Skończył, wstał, wziął swój talerz, miseczkę i łyżkę, zaniósł je do zlewu, umył i starannie ułożył na suszarce do naczyń.

– Mogłeś to wszystko po prostu włożyć do zmywarki – powiedziała w stronę jego pleców.

– Naczynia równie łatwo myje się samemu.

Nie mogła już tego znieść, tego czekania, niewiedzy, rozpacz i nadziei. Wolno mi korzystać z telefonu?

– Oczywiście, to twój dom.

Wykręciła numer Kathy. Może są jakieś wiadomości, cokolwiek. Ale usłyszała tylko automatyczną sekretarkę, a kiedy chciała zostawić wiadomość, ktoś nagle podniósł słuchawkę.

– Kathy?

– Kto mówi? – odezwał się głos obcego mężczyzny.

– Meredith Greene. Kim pan jest? Gdzie jest Kathy?

– Pani Fry nie może w tej chwili podejść do telefonu.

– Czy wszystko u niej w porządku? Proszę jej powiedzieć, że dzwoniła Meredith. Proszę jej...

Przekażę, że pani dzwoniła. Czy ona zna pani numer?

– Tak, tak, proszę jej powiedzieć, że...

Ale on już odłożył słuchawkę.

– Jest z nią Steve.

– Ktoś z Departamentu Stanu? Jak ty?

– Tak.

O Boże. Muszę z nią porozmawiać. Nie możesz czegoś zrobić? Proszę. Obawiam się, że to niemożliwe odparł.

Tej nocy spała trzy godziny. Wstała przed świtem, sprawdziła Internet i przerzuciła wszystkie kanały telewizyjne, siedząc w swojej sypialni, podczas gdy John zapewne spał jak dziecko na kanapie. Pojawiało się kilka nowych informacji na temat wyprawy, ale nic, co dotyczyłoby Erika.

Przyszło jej do głowy, żeby się wymknąć i pojechać do Kathy, żeby sprawdzić, czy ona czegoś nie wie, ale uświadomiła sobie zaraz, że i tak nie uda jej się ominąć Johna i jego kolegi... no tak, Steve'a.

Nagle odczuła wielką ochotę, by wyładować swoją frustrację na McCordzie i jego współpracownikach. Prawda była jednak taka, że ci sami pracownicy rządowych agencji przez cały ubiegły rok stali między przerażonymi, niepewnymi obywatelami a niebezpiecznym, wstrząsanym tragicznymi wydarzeniami światem. Bóg jeden tylko wiedział, czego doświadczyli ludzie tacy jak John. Na pewno wiedzieli o sprawach, o których ona wołałaby nie mieć pojęcia. Byłoby nie w porządku obwiniać go o to, że wykonuje swoją pracę.

O szóstej rano zeszła cicho na dół i zaczęła parzyć kawę. John leżał na kanapie, twarzą do oparcia. Niczym nieprzykryty. Czekając, aż kawa ścieknie do dzbanka, patrzyła na niego – obcego człowieka, który przejął kontrolę nad jej domem i życiem. A ona mu na to pozwoliła. Pewnie w głębi serca jest tchórzliwa.

Ale przy pierwszej filiżance kawy zaczęła się zastanawiać. Czy rzeczywiście chciałaby przez to wszystko przechodzić sama? Była skupiona wyłącznie na oczekiwaniu, na nadziei. Czy naprawdę byłaby w stanie odbierać telefony i radzić sobie z dziennikarzami czekającymi pod jej domem?

John obudził się koło siódmej. W pierwszej chwili wydawało się, że jej nie zauważył. Przeciągnął się, przeczesał włosy palcami i usiadł, a potem zaczął wstawać. Miał na sobie tylko granatowe bokserki.

Meredith chrząknęła i postawiła drugi kubek kawy na blacie.

– O, już wstałaś – powiedział.

– Tak, zrobiłam ci kawę. Skoczę teraz na górę sprawdzić, czy nie ma czegoś w Internecie. Możesz się ubrać. W porządku?

– Jasne, dzięki.

Meredith nie mogła uwierzyć, że jest aż tak zażenowana. Uczucie to musiało wywołać widok półnagiego mężczyzny na jej kanapie. Mężczyzny, który nie był Erikiem. Potem ogarnęło ją poczucie winy. A gdyby nagle przyszedł tu Erik? Ale oczywiście on może już nigdy nie przekroczy progu jej domu.

O trzeciej po południu, prawie czterdzieści osiem godzin po tym, jak Erik zaginął, John odłożył słuchawkę po kolejnej rozmowie z dziennikarzem.

Mógłbyś zadzwonić do Kathy? Proszę.

Patrzył na nią przez chwilę.

– Jaki jest jej numer?

Podawała mu go i patrzyła, jak stuka w klawiaturę telefonu.

– Steve? Mówi John McCord – powiedział po chwili do słuchawki. – Tak, tu też. Posłuchaj, postanowiłem pozwolić Meredith porozmawiać z panią Fry. – Umilkł i słuchał przez chwilę. – Rozumiem. Biorę odpowiedzialność na siebie. – Znowu urwał. – W porządku. Poproś panią Fry.

Odwrócił się do Meredith i podał jej słuchawkę.

– Lepiej, żeby to była krótka rozmowa, dobrze?

Nie odpowiedziała. Wzięła słuchawkę.

– Kathy? Jesteś tam? To ja, Meredith.

– Meredith! O Boże, Meredith, jest tu ten facet, nie pozwala mi odbierać telefonów, nie mogę nigdzie wyjść. To okropne. Możesz do mnie przyjechać? Proszę. Potrzebuję cię.

– Co się dzieje, Kathy?

W głosie przyjaciółki brzmiała nuta hysterii.

– Chad... Oni... Przyleciał dziś rano, czekali na niego na lotnisku i...

O Boże, Meredith, zabrali go na przesłuchanie.

– Och, Kathy. – Meredith podniosła wzrok na Johna, ale on odpowiedział jej obojętnym spojrzeniem.

– I... i on do mnie zadzwonił, pozwolili mu na jeden telefon. Próbuję teraz znaleźć dla niego prawnika.

– Czy on... Kathy, czy Chad mówił coś o Eriku? O tym, co się tam wydarzyło?

– Nie, nie zdążył. Nie mogą go tam przetrzymywać, prawda? To znaczy, nie został aresztowany ani nic z tych rzeczy.

- Nie wiem. To... To wszystko dotyczy Kemila, zdajesz sobie z tego sprawę.
- Oni zupełnie oszaleli! Co Chad może wiedzieć o Kemilu?
- Nie mam pojęcia. Wypytywali mnie o niego. Ciebie pewnie także.
- Chcą wszystkie dokumenty Kemila, wszystko, co mam w komputerze. Ja nie mogę... Nie mogę im tego dać. Nie wiem, co mam robić – zniżyła głos.
- Spróbuję do ciebie przyjechać. Gdzie są bliźnięta?
- U przyjaciółki. Przysięgam, Meredith, nie wytrzymam tego. Nie mogę...
- Przyjadę do ciebie. Trzymaj się.

Odłożyła słuchawkę, wzięła torebkę, kluczyki od samochodu i okulary przeciwsłoneczne, żeby ukryć opuchnięte oczy. John stanął nagle między nią a drzwiami.

- Co robisz?
- Jadę do przyjaciółki.
- Nie – potrząsnął głową.
- Nie? To areszt domowy czy co?
- Posłuchaj. Jestem tu, żeby ci pomóc. Wizyta u pani Fry to zły pomysł.
- Dlaczego?
- Bo zginął człowiek. Jej pracodawca. Twój przyjaciel zginął. A jedyną osobą, która może coś o tym wiedzieć, jest brat pani Fry.
- To szaleństwo. Czyste szaleństwo. Jestem pewna, że Chad już wszystko wyjaśnił.

John tylko spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Nie zrobiłam nic złego. Nie masz prawa mnie zatrzymywać.
- Mam prawo odpał. – Zapomniałaś, że Kemil był saudyjskim księciem. To kwestia bezpieczeństwa narodowego, więc zapewniam cię, że mam prawo.

Wydawało się, że wypełnia sobą przejście. Zupełnie jak Erik. Na moment zabrakło jej tchu.

- Jadę do Kathy – powtórzyła. Serce zaczęło jej bić bardzo szybko. – Jadę – powiedziała jeszcze raz, drżącym głosem.

– Meredith.

- Nie! – Nagle przypomniała sobie, ile razy Erik w taki sposób wymawiał jej imię. – Nie... – powtórzyła. A potem wybuchnęła płaczem.

Stała tam, ściskając torebkę, z twarzą zalaną łzami. John podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

– Uspokój się.

- Dlaczego? Po co? Nawet nie wiem, czy Erik żyje, czy zginął, a ty tu jesteś i

moje życie... moje życie...

Zakrzuszyła się. Poczwała, jak John przyciągają do siebie i obejmuje ramieniem jej plecy. Było ciepło i ciężkie. Nagle zapragnęła przytulić się do niego, przytulić się do kogoś, kto by ją wysłuchał, porozmawiał z nią, dotknął jej. Kogoś, przy kim poczułaby się trochę mniej samotna.

– Wiem – powiedział cicho. Potem sięgnął do kieszeni i podał jej chusteczkę.

Burza minęła. Meredith wytarła nos i odsunęła się od Johna.

– Przepraszam – mruknęła.

– Nie musisz przeproszać.

– Mogę pojechać do Kathy? Proszę?

Tym razem się nie wahał.

– Zawiozę cię.

Kiedy pierwszy raz wyszła za próg, przeżyła szok. Przed domem stało mnóstwo samochodów, w tym jeden policyjny. Ludzie szeryfa zapewne chcieli mieć dziennikarzy na oku. Kiedy tylko się pokazała, drzwiczki wszystkich samochodów zaczęły się otwierać. Z telewizyjnej furgonetki wyszedł jakiś człowiek z kamerą.

Ale John szybko zaprowadził ją do swojego blazera, trzymając dłoń na jej plecach. Po chwili siedzieli już bezpiecznie zamknięci w samochodzie.

Bezpieczni, być może. Ale dziennikarze pojechali za nimi. Wygląda to jak pogrzeb, pomyślała. Jak jakiś cholerny kondukt pogrzebowy.

Siedziała obok Johna. Łzy na jej twarzy już wyschły, ale frustracja narastała.

– Jak sądzisz, co wydarzyło się na McKinley? – spytała, usiłując mówić spokojnie. – Powiedz mi, co się tam twoim zdaniem stało?

– Nie wiem.

– Daj spokój, na pewno masz jakieś podejrzenia.

– Wolę zaczekać, aż poznam fakty.

– Naprawdę wierzysz, że ktoś przeciął celowo linę Kemila?

– Wstępne badanie liny właściwie nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. Ale zaczekam na pełną analizę. Wszyscy zaczekamy.

– Ale kto mógł to zrobić? Myślisz, że to Chad? Przeciął linę i zabił Kemila oraz swojego najlepszego przyjaciela? A może to Erik ją przeciął? Ale to bez sensu, bo on też spadł.

– Nie znam odpowiedzi.

– Przecież nikogo innego tam nie było. Och, już wiem, Kemil sam przeciął swoją linę.

– Dochodzenie jest w toku. Dowiemy się, co zaszło.

– A jak to się ma do związków Kemila z terrorystami? Czy mógł tam być jeszcze ktoś, kto go zabił?

John odwrócił głowę i spojrzał na nią łagodnie, a potem znowu zaczął patrzeć na drogę.

– I dlaczego? Nie ma motywu. Myślisz, że Chad zabił Kemila, żeby uchronić świat przed terrorystami?

John milczał.

Zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? Teorie spisku, przecięte liny, morderstwo, do tego zmierzasz, prawda? Nadal się nie odzywał.

– Nie pozwolisz mi nawet go oplakiwać wyszeptala, a potem także umilkła, usiłując utrzymać gasnącą nadzieję, że Erik jeszcze zostanie odnaleziony żywy.

Jeszcze nie było za późno. Mimo tego, co mówił John, nie było za późno. Jeśli Erik zginął... Nie, to niemożliwe. Bez niego była niczym.

Dom Kathy także otaczał sznur samochodów. Był wśród nich jeden taki sam, jak samochód Johna – jeszcze jeden ciemny SUV z Departamentu Stanu. Samochód Steve'a.

Wysiadła i nie czekając na Johna, podeszła do frontowych drzwi. Były zamknięte od środka. Zapukała mocno, aż do bólu, uderzając w nie kostkami dłoni. Drzwi otworzyły się nagle i została niemal wciągnięta do środka.

– Meredith – powiedziała Kathy z płaczem.

Obejmowały się dłuższą chwilę.

– Nie umiem się pozbierać. Płaczę całymi dniami – wykrztusiła Kathy.

– Ja też.

– O Boże, Meredith. Tak mi przykro z powodu Erika. Po tym, jak ci powtarzałam, żebyś się nie martwiła.

– Ja ciągle mam nadzieję.

– Jeśli ktokolwiek mógł... przeżyć coś takiego, to tylko Erik.

– Wiem.

– Znalazłam wreszcie prawnika dla Chada – mówiła Kathy, prowadząc Meredith do wnętrza domu. – Pojechał od razu na policję.

– To dobrze.

– Czy to twój ochroniarz? – zapytała Kathy.

Meredith spojrzała przez ramię i spojrzała na Johna, który cicho rozmawiał ze Steve'em. Obaj konspiracyjnie pochylali głowy.

– Tak, to John McCord.

– Dranie.

– Z dziećmi wszystko w porządku?

– Tak sądzę. Wiedzą o Eriku i Kemilu, ale co do reszty... – Kathy odwróciła się i przyłożyła dłoń do twarzy. – Nie wiedzą o reszcie i mam nadzieję, że nigdy się nie dowiedzą. Zrobię wszystko, żeby je przed tym chronić.

Stały ciągle w holu, kiedy na żwirze podjazdu zachrząściły koła samochodu. Steve, nie zwracając zupełnie uwagi na Meredith, minął je i podeszedł do drzwi.

– Goście powiedział.

– Co znowu? – jęknęła Kathy.

Na zewnątrz rozległy się głosy. Chada podniesiony, nabrzmiały gniewem i spokojna odpowiedź jakiegoś innego mężczyzny.

– Chad – krzyknęła Kathy i pobiegła, żeby go powitać.

Wyglądał naprawdę strasznie. Mimo opalenizny sprawiał wrażenie chorego, miał podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Był w dzinsach i polarze, jakby zszedł ze szczytu, zmienił spodnie, zdjął kurtkę i wsiadł do samolotu. Byli z nim dwaj mężczyźni z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, ci sami, którzy przesłuchiwali wcześniej Meredith.

– Kathy – powiedział Chad. – Mój Boże, dobrze się czujesz?

– Nie.

– Głupie pytanie.

– Co oni...? – Kathy spojrzała na agentów i urwała.

– Dzięki za Joego Santino. Był świetny. Po prostu wkroczył tam i zaraz mnie wypuścili.

– Dzięki Bogu – powiedziała Kathy. Wtedy Chad zauważył Meredith. Zesztywniał, podeszedł do niej powoli i spojrzał prosto w twarz.

– Meredith zaczął, ale urwał, jakby nie umiał znaleźć słów.

Widziała jego cierpienie, wyczerpanie, niewyobrażalny ból, spowodowany doświadczeniami ostatnich dni i utratą przyjaciela. I jeszcze coś. Coś, co miało związek z nią. Poczucie winy? Strach?

– Meredith – powtórzył schrypniętym głosem. – Ja...

Objęli się bez słów. Pachniał potem i zmęczeniem, ale jego ramiona były silne i ciepłe. Meredith znowu poczuła łzy pod powiekami.

– Tak mi przykro – wyszeptał. – Tak mi przykro.

Meredith zdała sobie sprawę, że Chad także uważa, iż Erik nie żyje. Czy była jedyną osobą, która miała jeszcze nadzieję?

– Zaparzę kawę – powiedziała Kathy. – A potem wszyscy usiądziemy i odpoczniemy trochę.

– Dobry pomysł. Od chwili kiedy zszedłem do High Camp – powiedział zmęczonym głosem – bez przerwy mówiłem o wypadku.

Meredith pomogła Kathy przygotować kawę. Wyciągnęła cukier i mleko, ale podczas wykonywania tych prostych czynności czuła suchość w ustach, drżały jej ręce, a serce waliło jak młotem.

Wydawało się, że parzenie kawy trwa całą wieczność. Potem wszyscy w nieskończoność nalewali sobie napój do filiżanek, mieszal, pobrzękując łyżeczkami, sadowili się w salonie. Czterej ludzie z Waszyngtonu podziękowali Kathy, po czym stanęli z boku ze spodeczkami w rękach i obserwowali resztę z kamiennymi twarzami.

Meredith zmusiła się, by zająć miejsce naprzeciw Kathy i Chada. Trudno jej było spokojnie usiedzieć; jej ciało domagało się ciągłego ruchu, jakby chciała coś dogonić.

– Posłuchaj – powiedziała Kathy, patrząc na Chada. – Wiem, że Meredith chciałaby się dowiedzieć, co się stało, ale jeśli wolałbyś teraz o tym nie mówić, możemy...

Meredith wstała gwałtownie.

– Nie, proszę, Chad, muszę to wiedzieć. To było piekło... to siedzenie, czekanie, niewiedza... Wyobrażanie sobie. Proszę.

Chad przez długą chwilę patrzył na Kathy. Wreszcie westchnął i spojrzał na Meredith.

– W porządku, rozumiem. Tylko jestem tak strasznie zmęczony – powiedział.

– Dziękuję – szepnęła Meredith, ale nagle ogarnęły ją wątpliwości. Czy rzeczywiście chce to usłyszeć? Czy to nie odbierze jej reszty sił? Czy będzie w stanie się po tym pozbierać?

– Na szczycie było naprawdę ciężko – zaczął i już było za późno, by go powstrzymać. Sama o to prosiła. – Burza zaczęła się wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Widzieliśmy, jak nadciąga, więc chcieliśmy jak najszybciej zejść na dół. Mieliśmy dobry czas i zdołaliśmy dotrzeć do przełęczy Denali. Ale wtedy zaczęło wiać. Boże, co to był za wiatr. Temperatura spadła chyba o trzydzieści stopni w ciągu kilku minut. Nic nie widzieliśmy. Zadymka. Nic, tylko śnieg. Dobrze, że byliśmy spięci razem.

Postanowiliśmy, że będziemy schodzić. Erik był pewny, że potrafi nas sprowadzić. Jediną alternatywą było wykopanie jamy w śniegu i przeczekanie burzy, ale to zawsze jest ryzykowne. Więc szliśmy bez przerwy. Tak ciężko jeszcze nigdy nie było. Baliśmy się, że śnieg zasypał szczeliny, więc wystarczyłby jeden

falszywy krok i wszyscy polecilibyśmy w dół.

Jezu, to było straszne. Zimno, to przeraźliwe zimno. Na Everescie nigdy nie było niższej temperatury. Więc szliśmy przed siebie, nie bardzo wiedząc, gdzie jesteśmy, i Kemil... nie wiem, chyba stracił orientację. Szliśmy w odległości około dziesięciu metrów jeden od drugiego, więc to możliwe. Kemil prawdopodobnie nie widział Erika przed sobą... może tylko przez chwilę, ale to wystarczyło. – Chad potarł twarz dłonią i wziął głęboki oddech. – Nagle poczułem silne szarpnięcie. Poszedłem w tamtą stronę... Chryste, sam omal nie wpadłem w szczelinę. Dotarłem do miejsca, w którym zniknął Kemil. Erik już tam był, zabezpieczył końcówkę swojej liny. Nic nie widzieliśmy, ale wyczuwaliśmy miejsce, gdzie lina schodziła w szczelinę. Potem usłyszeliśmy coś, przy tym hałasie zakrawało to na cud, i dostrzeżliśmy jakiś cień poza krawędzią. Kemil spadając, musiał się zahaczyć. Wisiał tam, kołysał się... Ale żył. Potem znowu zaczęło wiać, wszędzie była tylko biel śniegu... Ale widzieliśmy go. Trzymał się jakoś. Zaczęliśmy go wyciągać. To jest jak druga natura, robisz to odruchowo. Wbiłem haki, które miały utrzymać Erika, kiedy będzie schodził na dół. Erik przywiązał swoją linę, sprawdził zapięcia. Rutynowa procedura. Potem zaczął schodzić. Byłem obwiązany w pasie liną przymocowaną do haków. Nie widziałem Erika, żeby go utrzymać, musiałem odejść od krawędzi. Ale czułem, jak lina się napręża. Domyśliłem się, że dotarł do Kemila, bo popuściłem sporo liny. Wiedziałem też, co robi Erik – sprawdzi, czy Kemil jest ranny, przypnie go do liny i pomoże mu wejść na górę. A jeśli okazałoby się, że obrażenia Kemila są poważne, wyjdzie i pomoże mi go wyciągnąć. – Chad spuścił głowę, jego ramiona zadrżały. – Ale coś się stało. Nie wiem co, nie widziałem ich. Ta burza... Może Erik spadł... nie wiem. Może Kemil... Wiem tylko, że nagle poczułem silne szarpnięcie, a potem ciężar zniknął... jakby na linie już nikogo nie było. Wiedziałem, że spadli. Obaj albo jeden z nich. Nie wiem. – Podniósł głowę. – Albo lina pękła, albo puściła jedna z uprząży, albo... Erik czuł, że pociągnie mnie za sobą i odpiął się. A może po prostu chciał wyciągnąć Kemila i obaj zaczęli spadać, więc odpiął się, żeby mnie uratować. Nie wiem. Od dwóch dni odchodzę od zmysłów, usiłując dojść, co się tam stało. Ale nie mogę. Nie mogę!

Kathy położyła dłoń na ramieniu brata. Meredith nie była w stanie się ruszyć. Miała przed oczami opisaną przez Chada scenę. Wiatr, śnieg, Kemila wiszącego na linie.

– Nie wiem, jak udało mi się zejść – powiedział Chad. – Prawie nic z tego nie pamiętam. Nie chciałem iść, chciałem tam zostać. Chciałem usiąść i zamarznąć.

Chciałem tego, wierzcie mi.

– Chad – mruknęła Kathy.

– Ale zszedłem. A teraz przesłuchują mnie jak jakiegoś pieprzonego kryminalistę. A oni nie żyją, dwaj dobrzy ludzie nie żyją.

Nie żyją. Te słowa dźwięczały w jej głowie jak dzwony pogrzebowe. Nie, krzyczało coś w jej sercu. On nie żyje, odpowiadał umysł. Spojrzała na Johna McCorda, a potem znowu przeniosła wzrok na Chada.

Wstała, na sztywnych, jakby należących do kogoś innego nogach podeszła do Chada i położyła rękę na jego zgarbionych plecach.

– Wszyscy bardzo się cieszymy, że zszedłeś – wyszeptała.

– Ja nie wiem, czy się z tego cieszę – odparł.

– Co by to dało, gdybyś tam został? – zapytała.

Nagle uświadomiła sobie, że w tej historii czegoś brakuje. Chad nie wspomniał o linie, która ponoć została przecięta.

– Chad – powiedziała. – Wiedziałeś, że lina została przecięta?

– Co?

– Lina Kemila. Oni uważają, że została przecięta. Celowo.

Chad gwałtownie podniósł głowę. Spojrzał na siostrę, a potem na Meredith.

– Co takiego? Twierdzisz – chcę mieć pewność, że dobrze rozumiem – twierdzisz, że ktoś przeciął linę Kemila?

Kiwnęła głową.

– Ale... ale to niemożliwe. To znaczy... Kto to powiedział, do cholery? Dlaczego mnie nikt o tym nie wspomniał?

– Agenci rządowi to powiedzieli.

– Jezu – jęknęła Kathy.

– Niemożliwe! To jakiś nonsens! – krzyknął Chad. Zerwał się na równe nogi i odwrócił do czterech agentów z twarzą posiniałą z gniewu. – Co to ma znaczyć? Uważacie, że to ja przeciąłem tę linę? Albo Kemil?

Albo Erik? Zupełnie wam odbiło?

John podszedł do niego.

– Proszę się uspokoić, panie Newhouse. To wstępny raport, na razie nikt nikogo o nic nie oskarża.

– Wiecie, kim jesteście? Sępami. Pieprzonymi sępami, które krążą nad trupem. Chcecie mięsa.

John patrzył na niego spokojnie. Tam, gdzie w grę wchodziła jego praca, był opanowany i zimny jak gład.

Ale pół godziny później, kiedy Meredith myła filiżanki, wszedł do kuchni i stanął za nią.

– Powiedziałem ci o tym w zaufaniu.

– O linie?

– Tak, do diabła, o linie.

Odwróciła się, oparła plecami o zlew i spojrzała mu w oczy. Odczuła pewną satysfakcję na widok jego twarzy. Był wściekły. W końcu przebiła tę jego skorupę.

– Zaufałem ci – zgniół jej ramię w żelaznym uścisku.

– W takim razie przykro mi, że okazałam się niegodna twojego zaufania. Coś ci powiem, John. Nie mam zamiaru z tobą współpracować. Nie oczekujesz chyba, że pomogę ci dopaść Chada, ukrywając przed nim tak ważną informację?

– Z tą jego historią jest coś nie tak. Nie trzyma się kupy – powiedział John.

– Byłeś tam, na górze, podczas burzy śnieżnej? Co możesz o tym wiedzieć? Boże, ci ludzie przeżyli tam piekło. W takich warunkach nie zawsze jest miejsce na logikę.

– Nie chcesz się dowiedzieć, co tam naprawdę zaszło?

Meredith nagle ogarnął gniew.

Wiemy, co tam naprawdę zaszło. Chad właśnie nam o tym opowiedział. Po co miałby przecinać linę, żeby zabić swoich przyjaciół? Jakie, na Boga, mogłyby być jego motywy?

– To właśnie jest przedmiotem dochodzenia. John odzyskał panowanie nad sobą. – To może mieć coś wspólnego z działalnością terrorystyczną. Bezpieczeństwo narodowe. Dlatego tu jestem, pamiętasz?

– W takim razie mylisz się. To niemożliwe.

– Cóż, może znasz inny powód, dla którego Chad przeciął linę swojego przyjaciela?

– On niczego nie przeciął. Nie wierzę w to. To był tragiczny wypadek, ale ty nie chcesz tego zaakceptować. – Uwolniła ramię z jego uścisku i skrzyżowała ręce na piersi. Przez chwilę stała tam, patrząc mu w twarz, a potem poszła do salonu.

Chad niespokojnie przemierzał pokój.

– Co ja mam teraz robić? Myślicie, że jestem mordercą, że zabiłem swoich przyjaciół? I mam z wami współpracować? Lina nie została przecięta, to niemożliwe! – rzucił się na kanapę i ukrył twarz w dłoniach.

Kathy stała w kącie, z twarzą bladą jak ściana. Drżała na całym ciele. Meredith podeszła do Chada, usiadła obok niego i objęła go ramieniem.

– To nieporozumienie. Nie przejmuj się – powiedziała łagodnie. – Słuchaj, to

nie twoja wina. Dręczy cię poczucie winy, jak wszystkich, którzy przetrwali. To minie. Zobaczysz.

– O Boże, Meredith – wykrztusił – ten straszny wypadek... A teraz oni... oni...

– Ćśś – powiedziała uspokajająco. – To minie. Trzymaj się.

Chad nagle zaczął się trząść i płakać, łzy ciekły mu po twarzy. Trudno było patrzeć, jak silny, twardy mężczyzna szlocha niczym dziecko. Kathy usiadła z drugiej strony i również go objęła. Siedziały tam obie, a on wyrzucał z siebie swój ból.

Agenci patrzyli na to wszystko bez cienia zakłopotania ani żadnych innych emocji.

Wracając do domu, John i Meredith zatrzymali się w centrum handlowym w Aspen. John upierał się, że potrzebują jedzenia. Że Meredith potrzebuje jedzenia. W sklepie dopadł ją detektyw wynajęty przez rodzinę Kemila. Rozpoznała go od razu, ponieważ John pokazał go jej, siedzącego ze swoim partnerem w samochodzie przed jej domem. Potężna, kwadratowa głowa, wielkie, umięśnione ciało.

– Panno Greene – powiedział, zbliżając się do niej w dziale mrożonek. – Chciałbym zamienić z panią parę słów na temat...

John pojawił się natychmiast i stanął przed Meredith.

– Panna Greene nie udziela żadnych informacji.

– Słuchaj, McCord – zaczął detektyw rodzina ma prawo wiedzieć, co się stało.

– Panna Greene nie może pomóc, ponieważ nic nie wie. Znajduje się pod ochroną federalną.

Stali tak, twarzą w twarz. Detektyw był wyższy i mocniej zbudowany od Johna. Meredith przywarła plecami do szklanej szyby jednej z lodówek.

Ale zaraz było już po wszystkim. Detektyw zaklął i odsunął się.

– W końcu będzie musiała zeznawać, obaj o tym wiemy.

– To nie pański problem odparł John, odwrócił się i wyprowadził Meredith, zostawiając w sklepie wypełniony zakupami wózek.

Tej nocy zapadła w końcu w głęboki sen. Teraz, kiedy usłyszała już historię Chada, jej umysł próbował na swój sposób uporać się z myślą o śmierci Erika. Obudził ją dzwonek telefonu. Leżała w łóżku, starając się nie zwracać na niego uwagi. Ale wyteżęła słuch.

Czy John z kimś rozmawia? Czy tylko powtarza swoje „bez komentarza”?

Czy są jakieś wiadomości?

Zupełnie rozbudzona, narzuciła szlafrok na ramiona i zbiegła ze schodów.

– Kto to? Są jakieś wiadomości? – rzuciła bez tchu.

John skończył już rozmowę. Siedział na stołku przy kuchennym blacie z kubkiem kawy w ręce. Kubkiem, na którym był obrazek narciarza, płatki śniegu i słowa „Król szczytów”.

– Dzwonili z Waszyngtonu – spojrzał na nią poważnie. – Poszukiwania Erika zostały oficjalnie odwołane.

Meredith nie wiedziała, w jaki sposób znalazła się na kanapie. John obejmował ją ramieniem. Ogarnęły ją mdłości i...

– Czyja... ?

– Myślałem, że zemdlejesz.

– Nie, nie, już w porządku.

– Przykro mi – powiedział.

– Mnie też. – Wzięła głęboki oddech, mdłości ustąpiły. Spodziewała się tego, wiedziała, że tak będzie. Więc dlaczego... ? Jej dłoń powędrowała w stronę szyi i zacisnęła się na pierścionku. To był jej talizman.

– Czy to on ci go dał? spytał John.

Podniosła wzrok.

– Widziałem, że nosisz go na szyi. Domyślam się, że dostałaś go od niego.

– Tak.

– Byliście zaręczeni?

– Niezupełnie. Mieliśmy zamiar zaręczyć się po jego powrocie... – Coś ścisnęło ją w gardle. Przełknęła. – Po jego powrocie z wyprawy.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz – wyszeptwała.

Ale nie płakała. W jej pustym, martwym sercu nie było już więcej żalu. Kiedy zajrzała w głąb siebie, nie potrafiła odnaleźć tam nikogo. Żadnej tożsamości. Odpowiedzialna, silna Meredith ratująca zagubione dusze, starsza siostra, która zastępowała Ann matkę, już nie istniała. Nie było też kobiety, która miała kochanka – gorącej i namiętnej. Uświadomiła sobie nagle, że nie istnieje bez Erika. A jego już nie było.

Rozdział 17

Dzięki Bogu, że udało mu się z tego wyjść, że jest cały i zdrowy, myślała, leżąc w łóżku obok Erika. Odczuwała ulgę tak wielką, że prawie nie do wytrzymania. Był wyczerpany, przeszedł prawdziwe piekło, ale żył.

Pozwoliła mu spać. Leżała obok, czując bijące od jego ciała ciepło. Potem zasnęła i znowu się obudziła, i znowu miała ochotę rozplakać się z ulgi.

Wrócił do niej, kochał ją. Teraz będzie mogła zdjąć pierścionek z łańcuszka i włożyć go na palec. Nie, to on włoży go na jej palec.

– Meredith – powiedział sennie, odwracając się do niej.

– Tak? – uśmiechnęła się, szczęśliwa, rozgrzana, przepelniona miłością.

– Meredith.

– Hm...

Meredith.

Dlaczego on powtarza w taki sposób jej imię? Dlaczego... ? Drgnęła i obudziła się.

– Meredith.

Nie, miała ochotę krzyknąć. Och, nie.

John McCord stał nad nią, delikatnie potrząsając jej ramieniem. Meredith?

– O Boże – wymamrotała.

Wszystko w porządku?

– Nie – szepnęła.

– Musisz już wstać. Nie budziłbym cię, ale za godzinę zaczyna się uroczystość pożegnalna i...

– Tak – powiedziała, leżąc bez ruchu. Ogarnęła ją czarna rozpacz, pod powiekami poczuła piekące łzy.

– Co się stało? – spytał John. – Dobrze się czujesz?

Meredith usiadła na łóżku.

– Miałam sen. On żył, był tu ze mną.

Dziwne, ale zupełnie jej nie obchodziło, że John jest świadkiem jej łez, że widzi jej rozczochrane włosy, zapuchnięte oczy i stary podkoszulek z napisem „Denver Broncos” .

– Erik?

Kiwnęła głową.

– Uroczystość...

– Tak, w porządku. Pospieszę się.

Wzięła prysznic i włożyła spódnicę w kolorze khaki i ciemny, śliwkowy żakiet. Smutne ubranie na smutną uroczystość. Nie pogrzeb – nie może być pogrzebu, jeśli nie ma ciała.

Od czasu, kiedy poszukiwania Erika zostały odwołane, minęły dwa dni. Dwa dni pełne cierpienia, w czasie których John McCord odbierał telefony, chroniąc ją przed prasą. Do Meredith często dzwoniła też Kathy. Rozmawiały godzinami – o Chadzie, o wypadku, o Kemilu i Stevie, którego Kathy darzyła irracjonalną nienawiścią.

A dziś miała się odbyć uroczystość pożegnalna.

Meredith zeszła na dół i naląła sobie filiżankę kawy, którą John zrobił kilka godzin wcześniej. Była gęsta jak błoto.

– Masz ochotę na śniadanie? – spytał, troskliwy jak zawsze. Włożył dzinsy i ciemnoniebieską lnianą koszulę, która podkreślała kolor jego oczu.

Granatowa sportowa kurtka wisiała na oparciu krzesła.

– Nie – odparła.

– Za mało jesz.

– Nie jestem głodna.

Dał za wygraną i wzruszył ramionami.

Na zewnątrz zaprowadził ją szybko do swojego samochodu, mijając koczujących po drugiej stronie ulicy dziennikarzy. Potężny detektyw wynajęty przez rodzinę Kemila spojrzał wrogo na Johna, nie wychodząc z samochodu.

Pojechali do bezwyznaniowej kaplicy w Aspen, eleganckiego, skromnego budynku z kamienia i szkła. Parking przed kaplicą otaczała policja, nie dopuszczając do środka dziennikarzy. Sprawdzali każdego, kto przyjechał na uroczystość.

Boże, pomyślała Meredith, dlaczego nie zostawiaj nas w spokoju?

Był gorący lipcowy dzień, zupełnie bezwietrzny, ale znad gór nadciągały powoli wielkie burzowe chmury, zapowiadając deszcz, który zmyje kurz i napoi spragnioną ziemię.

Po obu stronach doliny wznosiły się dobrze widoczne tego dnia góry. Wjeżdżając na parking, Meredith widziała Pyramid Peak położony trzydzieści kilometrów dalej, przy końcu Maroon Creek Valley. Przy nim wznosiły się Maroon Bells, gdzie zginęła Bridget. Dziwne, pomyślała Meredith, jak zdumiewającą, ostateczną rzeczą jest śmierć.

Bridget... Meredith była taka wściekła na Erika, obwiniała go, tak, obwiniała go o śmierć Bridget. A teraz Erik także nie żyje. To koniec. Nic już nie miało

znaczenia.

Usiadła samotnie w ławce. Po drugiej stronie siedziała Kathy, Chad i Randy, właściciel Summit Expeditions. Kathy chciała z nią porozmawiać, Meredith czuła to wyraźnie, ale nie miała ochoty na rozmowy. Chad był blady i milczący. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

Przyszli też Kevin, Dan i Jessie oraz wiele innych osób. Przyjaciele Erika, jej przyjaciele, wszyscy, którzy mieli coś wspólnego ze wspinaczką. Rozpoznała niektóre twarze. Widziała je w książkach. Twarde, ogorzałe od wiatru twarze ludzi, którzy przyjechali tu z całego kraju. I mnóstwo nieznanomych.

Kobiety. Wiele samotnych kobiet. Kochanki Erika? Czy tylko jego wielbicielki? Niektóre nie kryły łez. Jakie łączyły go z nim stosunki? Nie takie jak z nią, na pewno nie. Odruchowo dotknęła pierścionka. Teraz już nigdy nie włoży go na palec.

John zatrzymał się przy wejściu do kaplicy. Steve też tu był, wraz z dwoma pracownikami Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, którzy przeprowadzali przesłuchania. Wydawali się sztywni i nie pasowali do tego miejsca. Ten młody miał na sobie ciemne okulary. Wewnątrz kaplicy.

Czy nie czytała gdzieś, że ci ludzie zawsze przychodzą na pogrzeby ofiar, czekając na zabójcę? Cóż, wiedziała, kogo szukają szalonych terrorystów podkładających bomby. Tym razem jednak są w błędzie.

Na samym przedzie siedziały dwie kobiety. Jedna starsza, wysoka, o jasnych włosach i błękitnych oczach. Bardzo podobna do Erika. Sprawiała wrażenie silnej i opanowanej. Druga, młodsza, płakała, przykładając do twarzy chusteczkę. Jego matka i siostra?

Czy mówił jej, że ma siostrę? A jego ojciec...

Czy jego ojciec żyje? Boże, nic nie wiedziała o Eriku, zupełnie nic. Kathy powiedziała jej, że to będzie świecka uroczystość. Ale teraz Meredith zastanawiała się, jaką religię wyznawał Erik. Nie miała pojęcia.

Nie, myliła się. Wiedziała to. Jego religią była wspinaczka, górskie szczyty były jego bogami, a zawód, który uprawiał – aktem wiary.

Odwróciła się i jeszcze raz przyjrzała zgromadzonym w kaplicy kobietom. Były bardzo różne, wysokie i niskie, ładne i nieciekawe, brunetki, blondynki i rude. Młode i starsze. Kilka miało nawet siwe włosy.

Na pewno to tylko przyjaciółki, znajome. Była wśród nich niska, dość pulchna kobieta z małym chłopcem. Miała ładną twarz, a na sobie długą luźną sukienkę i wielkie srebrne kolczyki. Typ hipiski. I olśniewająca wysoka blondynka, niemłoda

już, ale atrakcyjna i elegancka jak gwiazda filmowa. I drobna dziewczyna o rudych włosach, zadartym, obsypanym piegami nosie i zaczerwienionych od płaczu oczach.

Kobiety Erika?

Powinna go opłakiwać, a zamiast tego patrzyła na kobiety, które przysły tu w tym samym celu.

Ale on najbardziej kochał ją, Meredith. Czy którakolwiek z tych kobiet dostała od niego pierścionek? Nie, to ona go dostała. Wiedziała, że musi się tego trzymać, wierzyć w to.

Próbowała słuchać mowy pożegnalnej, ale nie potrafiła się skupić, docierały do niej tylko strzępy zdań. „Zginął, robiąc to, co kochał najbardziej”. „Osiągnął spełnienie”. „Najjaśniejszy płomień, który szybko się wypalił”. „Będzie żył w naszych wspomnieniach”. Same komunały.

Co myślałby o tym Erik, gdyby tu był? Wyobraziła go sobie w tym miejscu, czuła niemal ciepło jego dłoni na swoim ramieniu. Roześmiałyby się i powiedział: „Dajcie spokój. Nie żyję. Co z tego? Każdy musi umrzeć”. I przyciągnąłby ją do siebie i pocałował, nie zwracając uwagi na całe to zgromadzenie.

Siedziała tam, nieruchomo, widząc wszystko jak przez mgłę. Później nie potrafiła sobie przypomnieć, o czym właściwie myślała.

Kiedy uroczystość dobiegła końca, zobaczyła Kathy i Chada rozmawiających z norweską rodziną Erika. Chciała podejść do nich, powiedzieć, że kochała ich syna i brata, powiedzieć, jaki był wspaniały. Ale nie miała prawa przedstawić się i szukać pocieszenia u ludzi, w których żyłach płynęła jego krew.

Bo co mogłaby im powiedzieć: „Jestem przyjaciółką Erika? Jestem narzeczoną pani syna?” Przecież nie była nią. Mogła wyciągnąć pierścionek zza bluzki i powiedzieć: „Zobaczcie, kupił mi pierścionek. Poprosił mnie, żebym za niego wyszła. Widzicie? Ale, niestety, ja nie byłam gotowa, żeby go przyjąć”.

Dlaczego nie powiedziała „tak”?

Po uroczystości John zawiózł ją do Kathy, gdzie zebrali się przyjaciele Erika. Wszyscy przynieśli ze sobą naczynia na zaimprovizowany lunch.

Ale kiedy tam dotarli, okazało się, że w międzyczasie wynikła bardzo nieprzyjemna sytuacja. Pracownicy agencji usuwali właśnie z domu Kathy detektywa wynajętego przez rodzinę al Assad.

John poszedł im pomóc, Meredith została w samochodzie. Obserwowała tę scenę, zagryzając wargi. Doszło do szarpaniny. Słyszała urywki zdań. „Wie więcej, niż chce powiedzieć”, „Moi klienci...” „Pod ochroną federalną...”, „Dobrze,

jeszcze zobaczymy... ", „Dlaczego nie wezwiecie wojska?"

W końcu detektyw wsiadł do samochodu. John i jego współpracownicy patrzyli, jak odjeżdżał.

Przyjęcie przypomniało Meredith uroczystość zorganizowaną w parku po śmierci Bridget. Również wtedy Erik znajdował się w centrum uwagi. Jak zawsze.

– Jak się czujesz? – spytała Kathy, kiedy miały okazję zamienić parę słów na osobności.

– Kiepsko – odparła Meredith.

Kathy wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozpłakać.

– A mieliście się pobrać. Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę.

– Jak się czuje Chad?

– Okropnie. Zupełnie nie umie się pozbierać.

– To trochę potrwa, Kathy. Ciągle sobie to powtarzam. Uczyłam się o takim bólu, zajmowałam się pacjentami, którzy to przechodzili. Wiem, co piszą o tym w książkach. Mam nadzieję, że to prawda. Boże, tylko to sprawia, że jakoś się trzymam.

Tak, będzie lepiej. Wiem, że tak będzie. Ale teraz, o Boże, to jest straszne. I ta cała sprawa z Kemilem... – Kathy urwała i próbowała się uśmiechnąć. – Ale to nie twój problem.

– Brakuje mi Erika – powiedziała Meredith.

– Mnie też. Słuchaj, chcesz poznać jego matkę i siostrę? Nie mówiłam im o tobie. Nie mam pojęcia, czy on im coś powiedział. Ale one są bardzo miłe. Jego matka słabo zna angielski, ale siostra, Astrid, mówi całkiem płynnie.

– Nie – odparła Meredith.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna – zacisnęła wargi. – Proszę, Kathy, nie mów im o mnie.

Potem poszła poszukać Chada. Nie chciała z nim rozmawiać – jego ból był niemal namacalny, bała się, że tego nie wytrzyma. Ale musiała go o coś zapytać.

Znalazła go na zewnątrz. Siedział na ławce i patrzył na góry.

– Chad?

– Meredith.

Podniósł na nią wzrok. Miał zapadnięte oczy i usta wykrzywione grymasem bólu.

– Nie mogłam cię znaleźć.

– Musiałem stamtąd wyjść – wskazał głową dom.

– Wiem.

Milczał przez chwilę, a potem zaklął gwałtownie.

– Erikowi by się to nie podobało!

– Chad...

– Wiesz, cały czas mi się wydaje, że on tu zaraz wejdzie, albo zawoła mnie po imieniu. Cały czas...

– Wiem – powtórzyła.

– Nie jestem teraz dobrym towarzyszem dla nikogo – powiedział, odwracając głowę.

Meredith usiadła.

– Chad... – czuła się niezręcznie, jakby chciała podjąć zakazany temat.

– Tak?

– Czy ty... to znaczy, kiedy byliście tam, na górze... i oni spadli...

Czy on mógł przeżyć? Czy to możliwe? Wiem, że poszukiwania zostały zakończone. Wiem o tym, ale... Czy jest jakaś szansa?

Chad odwrócił się i spojrzał na nią nabiegłymi krwią oczami. Wyglądał jak starzec. Przez chwilę patrzył na nią, a potem jego oczy powoli wypełniły się łzami. Potrząsnął głową.

Serce Meredith podskoczyło boleśnie, ale wkrótce wróciło do dawnego rytmu.

– Ja... musiałam zapytać.

– W porządku. Rozumiem. Przykro mi tylko, że nie mogę...

Patrzył na góry nieobecny wzrokiem, jakby znajdował się gdzieś bardzo daleko.

Czuła, że nie życzy sobie jej obecności. Chciał być sam, chciał w samotności opłakiwać utraconych przyjaciół. Ale musiała powiedzieć coś jeszcze.

– Ta sprawa z liną... Mam nadzieję, że ty nie... przejmujesz się tym za bardzo.

Odwrócił się do niej z nagłą złością.

– Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. To śmierdzi, cała ta sprawa śmierdzi.

– Owszem.

Potem na szczęście przed dom wyszła Kathy.

– O, tu jesteście powiedziała. – Szukają was. Boże, Meredith, myślałam, że pojechałaś do domu, ale potem zobaczyłam twoją obstawę.

– A... Johna.

– Tak, Johna. Jest znacznie przystojniejszy od Steve'a. Może się zamienimy?

Meredith uśmiechnęła się z przymusem.

– Wejść do środka, ale nie zostanę długo. Dobrze?

– Dobrze.

Weszła do domu, gdzie ktoś wręczył jej plastikowy kubek z ponczem. Rozejrzała się, szukając Johna, i w końcu dostrzegła go w kącie pokoju. Stał z pochyloną głową z telefonem komórkowym przy uchu. Ruszyła w jego stronę, chcąc go poprosić, żeby odwiózł ją do domu. Zauważył ją i szybko zakończył rozmowę.

– Lepiej będzie, jeśli już pojedziemy – powiedział, kiedy do niego podeszła.

– Tak, oczywiście. Ale skąd ten pośpiech?

– Później ci powiem.

Ujął ją pod ramię i pociągnął do drzwi.

– Powinnam się pożegnać z Kathy.

– Nie teraz.

Wtedy zobaczyła, co się dzieje, i zrozumiała, dlaczego John chciał tak szybko wyjść. W domu pojawiło się czterech policjantów. Kathy stała z nimi, gestykulując żywo. Meredith nie słyszała słów, ale widziała, że przyjaciółka jest wściekła. Policjanci pokazywali jej jakiś papier. Podeszedł do niej Chad.

– Jest tu jakieś tylne wyjście? – spytał John.

– Zaczekaj, o co tu chodzi?

– Powinniśmy już iść.

Uwolniła ramię z jego uścisku.

– Nie. Powiedz mi, co tu się dzieje.

– Jezu, Meredith. Możemy już iść? Powiem ci później.

– Powiedz teraz.

Był zły, spięty i zatroskany.

– Chcę cię tylko chronić.

– Jestem dorosła. Sama umiem o sobie zadbać.

Patrzył na nią przez chwilę.

– Mamy już wyniki analizy sądowej. Nie ma wątpliwości, że lina Kemila została przecięta żąbkowanym nożem, takim, jakich używają w wojsku szwajcarskim. Policjanci przyszli aresztować Chada. Przedstawią mu zarzuty i przetransportują na Alaskę, gdzie stanie przed sądem.

– Nie! – krzyknęła Meredith.

– Przykro mi.

– Ale Chad jest niewinny! To był wypadek.

– O tym zadecyduje sąd.

Policjanci właśnie zakładali Chadowi kajdanki na ręce. Kathy płakała. Goście stali nieruchomo, przyglądając się temu w oszołomieniu, z plastikowymi kubkami

i talerzykami w rękach. Mój Boże – szepnęła Meredith.

– Nic nie możesz zrobić, więc chodźmy stąd. Po czymś takim dziennikarze będą żądni krwi.

Poszła za nim, czując się jak złodziej, który wymyka się tylnymi drzwiami. Zadzwoń do Kathy. Wszystko się wyjaśni. Adwokat Chada się tym zajmie. Na pewno.

Kiedy wyjechali na Castle Creek Road, wiatr zaczął targać gałęziami drzew, nad górami błysnęło i spadł deszcz, który od rana wisiał w powietrzu. Najpierw tylko kilka wielkich kropel uderzyło w przednią szybę samochodu, a zaraz potem lunęło, jakby niebiosy płakały nad Chadem i Erikiem, nad nimi wszystkimi.

Tego wieczoru Meredith trzy razy rozmawiała przez telefon z Kathy. Sprzęt do wspinaczki Chada został zabrany jako dowód, wraz z jego szwajcarskim nożem. On sam ciągle był przesłuchiwany w Aspen.

– To niesprawiedliwe – powtarzała Meredith, niespokojnie chodząc po pokoju.
– Nie dość, że stracił dwóch najlepszych przyjaciół, to jeszcze teraz zrobili mu coś takiego.

John siedział na kanapie, z rękami zwieszonymi między kolanami.

– Uspokój się.

– Dlaczego to tak długo trwa? – zatrzymała się i odwróciła do niego. – Wiesz dlaczego? Czy coś przede mną ukrywasz?

– Nie – powiedział ze zmęczeniem. – Jestem tylko agentem niższego szczebla. Nie mam dostępu do wielu informacji.

– Czy mogę ci wierzyć?

Patrzył na nią w milczeniu.

Miłą masz pracę mruknęła, a potem poszła na górę do swojego pokoju i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. Dowiedziała się więcej rano, kiedy John zabrał ją do miasta.

– Ktoś do mnie dzisiaj zadzwonił zaciął ostrożnie.

Meredith spojrzała na jego profil.

– Żałuję, że to ja muszę ci to powiedzieć, ale nie mam wyboru. I tak byś się dowiedziała.

– Czego?

Meredith czuła, jak jej serce zaczyna bić szybciej.

– Chad Newhouse nie jest takim wspaniałym przyjacielem, jak ci się wydaje. – John oderwał na moment wzrok od drogi i spojrzał na nią.

Wczoraj podczas przesłuchania powiedział policji, że to Erik przeciął linę

Kemila i że Erik spadł, chcąc ją odczepić od jego ciała.

– Nie – powiedziała odruchowo.

– Przykro mi, ale tak twierdzi Chad.

– To jakieś szaleństwo! Boże, nie możesz... Nie, nie wierzę w to! – Meredith zasłoniła uszy rękami i zaczęła płakać. – Nie, nie, mylisz się.

Chad... To jakaś pomyłka. Po co Erik miałby to zrobić?

John zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Meredith ogarnęła panika, nic już nie miało sensu.

Przykro mi – powtórzył John. – Żałuję, że usłyszałaś to ode mnie.

– Erik tego nie zrobił – wyszeptała. – Wiem, że on tego nie zrobił.

– Posłuchaj, Meredith, w tym wszystkim kryje się znacznie więcej, niż przypuszczasz. Nie znamy jeszcze dokładnych faktów, ale dowiemy się, o co naprawdę chodzi. To wszystko ma wiele wspólnego z Kemilem. Chad powiedział, że między Kemilem a Erikiem trwał konflikt, jeszcze przed tym, jak wyruszyli na tę wyprawę. Podobno chodziło o znajomych Kemila, którzy mają powiązania z terroryzmem. Erik był zły, ponieważ Kemil pozwolił im zamieszkać w tamtym domu w Lahore. Według Chada rzuciło to cień na nich wszystkich.

– Mówiłam ci już – zaczęła – że Erika zupełnie nie obchodziły takie rzeczy...

– Najwyraźniej obchodziły go bardziej, niż przypuszczasz.

– Chad chyba zupełnie oszalał. Erik i Kemil nigdy się nie kłócili.

– Jest coś jeszcze – powiedział John z wahaniem.

– Co?

– Konflikt między Kemilem i Erikiem dotyczył jeszcze innej sprawy.

Chad twierdzi, że Erik pozwolił sobie na pewną uwagę wobec jednej z żon Kemila. Właściwie na pewną propozycję.

Meredith aż podskoczyła.

– To kłamstwo! Erik nigdy by... nigdy... Nie wobec Kemila. Boże.

Nie wiem... Nie rozumiem, dlaczego Chad wymyśla takie bzdury. Co się dzieje? Dlaczego... ? – Przyłożyła ręce do twarzy i z trudem wciągnęła powietrze do płuc. Nie mogła oddychać, coś ją dusiło.

Poczuła, że John kładzie jej dłoń na plecach. Drogą ciągnął sznur pojazdów, samochód Johna drżał lekko, kiedy go mijaly. Meredith miała w głowie zamęt. Nie, nie, to kłamstwo. To nieprawda!

– Posłuchaj, Meredith. Chad albo mówi prawdę, albo kłamie, żeby chronić siebie. Dowiemy się tego, przysięgam. Dowiemy się, jaka jest prawda.

Powoli jej oddech uspokoił się, serce zwolniło. Do głosu doszło inne uczucie,

pozwalając jej na chwilę zapomnieć o cierpieniu. Kiedy mija rozpacz, odzywa się gniew.

Chad, ten drań. Zrzuca winę na człowieka, który nie żyje, więc nie może się już bronić.

Chad ze łzami w oczach opowiadający jej jak brakuje mu Erika. O tak, jest świetnym aktorem, umie dobrze kłamać. Uwierzyła w każde jego słowo, każdą łzę.

Nagle przed oczami stanęła jej pewna scena – tamtego wieczoru w czerwcu, kiedy wszyscy byli u Kemila podczas przygotowań do wyprawy. Przypominała sobie tamtą chwilę bardzo wyraźnie. Kemil i Chad kłócili się koło drzwi tego dużego pokoju na dole. Mówili cicho, ze złością i gestykulowali agresywnie. Erik ich uspokajał.

To Chad kłócił się z Kemilem, nie Erik.

Rozdział 18

Był sobotni poranek. Od czasu, kiedy pracowała na ranczo ze swoimi małymi pacjentami, minął cały tydzień. Siedem dni. W ubiegłą sobotę Erik jeszcze żył. Chad był jeszcze przyjacielem. Meredith nie wiedziała, kim naprawdę jest John McCord. Jeden krótki tydzień.

Nie powiedziała jeszcze Johnowi o kłótni między Chadem i Kemilem, której była świadkiem. Nie powiedziała o tym nikomu. Potrzebowała czasu, żeby pomyśleć, zastanowić się nad oskarżeniami Chada. Jeśli kłamał o Eriku, linie i śmierci Kemila, mógł kłamać także w innych sprawach. No i Kathy, gdzie jest jej miejsce w tej układance?

Meredith miała wrażenie, że traci grunt pod nogami, czuła się niepewnie, jakby stąpała po miękkim śniegu, kryjącym zdradliwe szczeliny. W każdej chwili mogła zacząć się zsuwać w przepaść bez dna. Musiała wyostrzyć zmysły, zachować czujność. Czuła się tak wyczerpana i zdezorientowana, że nie wierzyła już w słuszność własnego osądu.

Wstała, włożyła szlafrok i zeszła ze schodów. Starła się nie schodzić na dół zbyt wcześnie od czasu, kiedy zastała Johna śpiącego na kanapie. Wolą, żeby był już ubrany.

– Jadę dzisiaj na ranczo – oznajmiła, nalewając sobie filiżankę kawy.

John stał przy oknie, za którym wstawał jasny, słoneczny poranek.

– Hipoterapia. Mam zajęcia z dziećmi – powiedziała. – Słyszysz?

– Słyszę.

– Potrzebuję zmiany. Wiesz... zmiany otoczenia. Muszę się oderwać od... tego wszystkiego.

– Hm...

– W porządku, więc to ustalone.

Jej samej wydało się, że zabrzmiało to zaczepnie. Czyżby chciała wywołać kłótnię?

– Zawiozę cię.

– Pojadę tam sama, John.

Odwrócił się od skąpanego w słońcu okna i podszedł do niej.

– Wiesz, że to niemożliwe.

– Nie potrzebuję cię tam. Chcę uciec przed dziennikarzami, telefonami, tym domem. Kathy i Chadem. Muszę się od tego oderwać. A te dzieci na mnie czekają.

– Wiem.

– W takim razie...

– Muszę ci towarzyszyć. To moja praca.

– Och, proszę cię... Na ranchu nikt nie będzie mnie niepokoił.

– Jestem za ciebie odpowiedzialny powiedział spokojnie John.

– To mnie doprowadza do szału – mruknęła Meredith pod nosem.

– Posłuchaj, wiesz, że nie pozwolę ci pojechać tam samej. Poza tym, chciałbym zobaczyć, jak pracujesz z tymi dziećmi. Naprawdę. Moja siostra ma syna z porażeniem mózgowym. Może taka terapia mogłaby mu pomóc. Chciałbym zobaczyć, jak to wygląda.

Meredith skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na niego nieufnie.

– Tak, najpierw była depresja po rozwodzie, a teraz pojawił się siostrzeniec z porażeniem mózgowym. Jasne.

John wzruszył ramionami i uśmiechnął się drwiąco.

– To wszystko prawda.

– Hm... – Meredith opuściła ręce. Zresztą, do diabła z tym. Rób, co chcesz. Ale ja jadę swoim samochodem.

John pytająco uniósł brwi.

– Mam tam swój sprzęt do jazdy konnej.

– Sprzęt. W porządku, jestem do pani dyspozycji, panno Greene.

Terry i Sean już na nią czekali. Ich radosny entuzjazm podniósł ją na duchu. Nagle znalazła się w innym, szczęśliwszym świecie. Prawie zapomniała o Johnie, który obserwował ją, opierając się o ogrodzenie.

Świeciło słońce, powietrze pachniało kurzem i końskim potem. Meredith czuła, jak bardzo było jej to potrzebne.

– W porządku, Sean – mówiła – teraz spróbuj puścić lejce. Rozłóż ramiona. Tak, bardzo dobrze. – Szła obok Seana, trzymając go za nogę jedną ręką. Jego ojciec prowadził konia, matka szła z drugiej strony. Chodzili tak w kółko, podczas gdy Sean wykonywał ćwiczenia, które wspomagały jego poczucie równowagi, wzmacniały mięśnie. – Tak, spisujesz się lepiej niż w zeszłym tygodniu. Czujesz to?

– Tak! – odparł Sean. – Jest świetnie. Chcę pokłusować.

– Spokojnie, nie tak szybko. Najpierw spróbujemy to powtórzyć. Ramiona. Tak. Obrót w prawo. A teraz w lewo. W porządku. I jeszcze raz.

O tak, teraz to naprawdę świetna zabawa!

Później nadeszła kolej Terry, która była nieco bardziej zaawansowana. Meredith pomagała jej wykonywać różne ćwiczenia. Dziewczynka siedziała na

koniowi z obiema nogami po jednej stronie, potem przekładała jedną tak, by zwrócić się twarzą w stronę końskiego ogona, potem siadała z obiema nogami po drugiej stronie, i w końcu tak, jak rzeczywiście jeździ się konno. Meredith chodziła i chodziła, wydawała zachęcające okrzyki, chwaliła dzieci i śmiała się razem z nimi.

Ojciec podniósł Terry, która pocałowała konia na pożegnanie, prosto w czarny, aksamitny pysk.

– Za tydzień znowu się spotykamy? – spytali rodzice dziewczynki.

– Tak – odparła Meredith. Do zobaczenia.

Stała obok Johna i karmiła konia, kiedy do stajni wszedł jej ojciec.

– John McCord, jak sądzę powiedział, wyciągając rękę.

– Neil Greene? Miło mi.

Wymienili uścisk dłoni, męski, stanowczy. Meredith obserwowała ich z ciekawością.

– Dziękuję za opiekę nad moją córką – powiedział Neil.

– To moja praca odparł John.

– Jej siostra mi o panu powiedziała.

Meredith przewróciła oczami. Typowe. Poinformował Johna, i przy okazji ją samą, że się z nim nie skontaktowała.

– Dzwoniłam do ciebie, tato powiedziała. – Zostawiłam wiadomości na sekretarce.

– Wiem, Merry. Odsłuchałem je. Ale osobiście chciałem ci powiedzieć, jak mi przykro z powodu Erika.

– Dziękują.

– To straszne, utracić kogoś, kogo się kocha ciągnął. – Wiem, jak się czujesz, wierz mi.

Te słowa zaskoczyły ją w pierwszej chwili, a potem pomyślała, że może on naprawdę to wie. Zasłużył choćby na to, by przynajmniej dopuściła taką możliwość. Poza tym nie była w nastroju do kłótni. Boże, nie.

– Jak sobie z tym radzisz? – spytał ojciec.

– Sama nie wiem. Jakoś sobie radzę. Nie mam wyboru – uśmiechnęła się z trudem.

– Radzi sobie naprawdę dobrze – odezwał się John.

Spojrzała na niego, zdumiona. I to mówi człowiek, który widział jej histerię, łzy, gniew i rozpacz?

– Dobrze – odparł Neil. – To dzielna dziewczyna. Wiem, że przez to przejdzie.

– Nie jestem pewna – odparła cicho.

- Już jest na tyle dobrze, że przyjechałaś pracować z dziećmi.
 - To zdumiewające – powiedział John. – Mówiłem już Meredith, że moja siostra ma synka z porażeniem mózgowym. Na pewno powiem jej o hipoterapii.
 - Posłuchaj, John – powiedział Neil – siostra Merry przyjeżdża z Denver...
 - Naprawdę? – spytała Meredith. – Nie powiedziała mi.
 - Bo ciągle powtarzałaś, żeby nie przyjeżdżała. Ale już jest w drodze, więc pomyślałem, żebyście zostali na kolacji. Mogłabyś porozmawiać z siostrą.
 - Och, tato, nie sądzę, żeby John miał ochotę...
 - Chętnie zostanę – przerwał jej John. – Jeszcze jedna panna Greene, co?
 - Annie jest mężatką i przywiezie ze sobą dwójkę swoich dzieci, więc może być tu dość głośno.
 - Im więcej, tym lepiej – odparł John, uśmiechając się czarująco.
- Meredith spojrzała na niego bez słowa.

Ann miała ciemne włosy jak jej starsza siostra, ale naturalnie kręcone. Miała brązowe oczy swojej matki i była wyższa od Meredith. W ogóle była od niej większa.

Och, Merry – powiedziała, stojąc z niemowlęciem w ramionach, podczas gdy jej starsza córka, uczepona jedną ręką matczynej spódnicy, drugą obejmowała Meredith. Jak sobie radzisz?

- Dobrze. W każdym razie oni tak uważają.
- Oni? – Ann odwróciła się, spojrzała na Johna i jej oczy rozbłysły. – John, prawda?

– John McCord, bardzo mi miło.

Ann uścisnęła jego dłoń.

- Dziękuję za opiekę nad Meredith. Potrafi być trudna, prawda?
- Przez uprzejmość nie zaprzeczę – odparł John elegancko.
- To jest Amanda – powiedziała Ann, wypychając córkę do przodu. – Nosi imię po babci. A ten śliczny mały chłopczyk to Gregory. Przywitajcie się, dzieci.

Amanda ukryła twarz w spódnicy matki, a Gregory zaczął radośnie gaworzyć, wpatrując się w Johna wielkimi brązowymi oczami.

- Jak one wyrosły – powiedziała Meredith. – Niewiarygodne.
- Wiem. Amanda na jesieni idzie do przedszkola. Prawda, kochanie?
- Może zabierzemy z Johnem dzieci do stajni i pokażemy im kocięta? – zaproponował Neil.
- Najpierw zmienię małemu pieluszkę – odparła Ann. – A potem dzieci są

wasze.

John w roli opiekunki do dzieci? Meredith wydało się to komiczne. Ale on przystał na ten plan, jakby całe życie nie robił nic innego, tylko zajmował się dziećmi, dziadkami i kociętami. Potem przypomniała sobie, że przecież ma syna. Więc już to przerabiał.

– No, no, to bardzo przystojny mężczyzna – zauważyła Ann, kiedy zostały same.

– Kto? John?

– A kto inny, głuptasie?

– Posłuchaj, Ann, John został wyznaczony na mojego ochroniarza, czy jak to się tam nazywa. To nie tak, że on chciał to robić.

– Hej, powiedziałam tylko, że jest przystojny.

– Nie udawaj niewiniątka. Jezu, Ann, właśnie straciłam mężczyznę, którego kochałam, a ty...

– Przepraszam. Naprawdę. Nie chciałam cię urazić. Ale wiesz, nigdy nie poznałaś mnie z Erikiem, więc trudno mi sobie ciebie z nim wyobrazić. To znaczy, to wszystko stało się tak szybko, jakby się nigdy nie wydarzyło.

– Och, wydarzyło się, wierz mi.

– No tak, oczywiście. Ale ja nie znałam Erika. Wiesz, o co mi chodzi?

– Nie mówiłam ci tego, ale przed wyjazdem Erik dał mi pierścionek przyznała się Meredith.

– O Boże – jęknęła Ann.

– Poprosił mnie, żebym za niego wyszła. Na lotnisku w Aspen.

– I co mu odpowiedziałaś?

– Powiedziałam... Boże, Annie, sama nie mogę w to uwierzyć... Powiedziałam, że to się stało tak szybko, że nie jestem pewna. Zaproponowałam, żebyśmy zaczekali.

– Ale... przecież go kochałaś.

– Tak.

– Więc dlaczego...

– Nie wiem. I teraz już nigdy się nie dowiem. Nienawidzę się za to.

Powinłam była powiedzieć „tak”.

– Ale to by niczego nie zmieniło. Nie ma znaczenia, co mu powiedziałam.

– Dla mnie to ma znaczenie.

– Och, tak mi przykro – Ann objęła siostrę. – To takie okropne... straszne. Szkoda... szkoda, że nic nie mogę zrobić.

Meredith przytuliła się do niej, wciągając w nozdrza zapach mydła, szamponu i dziecięcego talku.

– Czuję się okropnie, Ann. Wszyscy, których Kocham... najpierw mama, teraz Erik... Wszyscy, których Kocham, umierają.

– Nie wszyscy. Tatus i ja ciągle tu jesteśmy. I wszyscy twoi przyjaciele.

Neil, który dobrze sobie radził w kuchni, przygotował kolację. Wielką misę spaghetti z sosem własnego pomysłu, w którego skład wchodziła zielona papryka, cebula, pieczarki, oliwki, marchewka i włoska kielbasa. A także sałatkę. I piwo, dla tych, którzy mieli na nie ochotę, a wodę mineralną dla wszystkich innych.

Meredith zauważyła, że John poprzestaje na wodzie i coś jej się przypomniało. Coś...

Pieczycwo czosnkowe. I wielkie opakowanie lodów na deser.

Przygotowała się na trudne chwile – urywaną rozmowę, płacz dzieci. W końcu byli grupą kiepsko dobranych ludzi, usiłujących robić dobrą minę do złej gry. Ale kolacja upłynęła w zaskakująco miłej atmosferze.

Amanda siedziała w wysokim krzeselku, jedząc nieporządnie, ale z wielkim entuzjazmem. Gregory żuł herbatnik, siedząc na kolanach matki. Potem zasnął. Neil i John rozmawiali o piłce nożnej – zabawne, nie przypuszczała, że sport może go interesować – a ona i Ann miały okazję poplotkować.

– Słuchaj – mówił Neil wiem, że Broncos mają nowego napastnika.

Podobno ma zadatki na gwiazdę.

– Redskins lepiej sobie radzą w ataku. Ale są w innej lidze. Nie jestem nawet pewny, czy w tym sezonie zagrają przeciw Broncos.

– A co sądzisz o nowym trenerze San Francisco? To znaczy, uważasz, że jest tak dobry, jak mówią?

– Mężczyźni – mruknęła Ann. – Wszyscy są tacy, jak mój mąż.

Zupełnie, jakby to było spotkanie starych przyjaciół, pomyślała Meredith. Spojrzała na ojca. Był ożywiony, gestykulował stwardniałymi od pracy na ranczo dłońmi. Przeniosła wzrok na otwartą, uśmiechniętą życzliwie twarz Johna, na jego poznaczone już zmarszczkami czoło. Przyszło jej do głowy, że będzie się ładnie starzał. Z wiekiem może będzie wyglądał nawet lepiej niż teraz. Posiwieje na skroniach, będzie sprawiał wrażenie bardziej dystyngowanego.

– On mi się podoba – szepnęła Ann.

– Nie widziałas go w pracy.

– Uch, przerażające. Tajny agent i tak dalej, co?

– Nie o to chodzi, Ann.

– Cholera.

– A teraz deser – powiedział Neil. Wyjął lody i zaczął nakładać je łyżką.

– Pomogę ci – zaproponował John.

– Kuuuuję, ciatku – powiedziała Amanda, otwierając szeroko oczy na widok miseczki, która się przed nią pojawiła.

– Proszę bardzo, aniołku.

Mogliby być kochającą się rodziną, pomyślała Meredith, zaskoczona. Żadnych ostrych słów, żadnych oskarżeń ani złośliwości. Czy trzeba było aż śmierci Erika, żeby zaczęła akceptować swojego ojca?

Od dawna nie czuła się tak dobrze. Mimo smutku i poczucia straty powoli wracała do normalności. Chwile rozdzierającej rozpacz traciły na sile i pojawiały się rzadziej. Autorzy podręczników psychologii nie mylili się.

Rodzina, Ann i ojciec, chcą ją wspierać. A John... nawet John okazał się pomocny. Był z nią, i mimo że ukrył przed nią swoją prawdziwą tożsamość, pomógł jej przejść przez najgorsze. Tak, pomyślała ze zdumieniem. Obecność innych ludzi pomogła jej. Zwłaszcza obecność Johna.

Mój Boże, czyżbym nauczyła się przyjmować pomoc? – pomyślała. Sandra byłaby ze mnie dumna.

I wszyscy ci przyjaciele, o których mówiła Ann. Niektórych zna jeszcze od przedszkola. Ma krąg wspaniałych przyjaciół, ale kiedy Erik... żył, zaniedbała ich. Kiedy ostatnio była na spacerze, na zakupach czy wycieczce z Darlene, Bobbi czy Ellen? W ubiegłym tygodniu nie odpowiadała nawet na ich telefony, chociaż John notował wszystkie nazwiska i numery osób, które dzwoniły. Zaniedbała ich wszystkich, straciła z nimi kontakt, tak jak straciła kontakt sama z sobą. A teraz, tego pięknego słonecznego dnia, czuła się tak, jakby obudziła się ze śpiączki, jakby zaczęła wychodzić z ciężkiej choroby.

Mimo koszmaru ostatnich dni była podniesiona na duchu, odczuła ulgę. Rozejrzała się i zobaczyła, jak Ann wyciera rozmazane lody z buzi Amandy, patrzyła na ojca, który pochylił się do przodu, słuchając uważnie słów Johna i nagle dotarło do niej, że jednak ma przed sobą przyszłość.

A potem nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Jak mogła tak szybko zapomnieć o Eriku? Jak mogła tak zlekceważyć ich miłość? Jak mogła w ogóle pomyśleć o przyszłości, w której jego nie będzie?

Zaproponowała ojcu, że pomoże mu umyć naczynia.

– Pogadajcie sobie – powiedziała do Ann i Johna. – Albo zajmijcie się dzieckiem czy coś.

W myciu naczyń jest coś relaksującego. Ona myła, ojciec wycierał.

– Dlaczego nie kupisz sobie zmywarki? – spytała.

– A po co? Zazwyczaj jestem sam. Poza tym woda ze studni...

– Zamieniasz się w upartego staruszka.

– No to co? – odpalił.

Kiedy robił kawę, przysiadła na kuchennym stołku. Tego wieczoru czekała ją jeszcze jedna niespodzianka.

– Posłuchaj, Merry, niewiele ze sobą rozmawiamy. Za mało. Ale zostawmy to; chcę tylko, żebyś wiedziała jedno. Rozumiem twój ból. Wiem, jak to jest być samotnym i rozżalonym. Różnica między nami jest taka, że ja sam sprowadziłem na siebie nieszczęście. A ty na swoje nie zasłużyłaś.

Meredith siedziała nieruchomo. Zupełnie odjęło jej mowę. Ojciec mówił na początku odwrócony do niej plecami, jakby fakt, że nie widzi jej twarzy, ułatwił mu rozpoczęcie tej rozmowy.

– Wiem, że ty i Ann nie miałyście ze mnie pożytku. Za bardzo zajmowało mnie własne cierpienie. A ty zawsze wydawałaś się taka dojrzała, umiałaś o sobie zadbać. I o Ann. Nawet kiedy byłaś mała. Nie ma sensu, żebym cię teraz przeproszał. Do diabła, za późno już na to. Ale może jeszcze uda nam się porozmawiać. *t* – Och, tato...

– Nie, zaczekaj. Nie chcę niczego na tobie wymusić, ale muszę to powiedzieć, Merry. Nie ma dnia, żebym o tym nie myślał. I dałbym wiele, żeby wtedy twoja matka nie wsiadła do samochodu.

Do dzbanka zaczęła ściekać kawa. Meredith słyszała brzęk szklanek i głosy, najpierw Ann, a potem Johna, dochodzące z salonu.

– Doceniam twoją szczerą wypowiedź w końcu.

– W porządku. Zostawimy to już?

– W porządku, tato.

Czy jest tak twarda, że nawet jej własny ojciec boi się z nią rozmawiać? Może. Może tak jest. Będzie musiała o tym pomyśleć. Nie jest jeszcze gotowa, by otworzyć tę zaciśniętą pięść, którą nosi gdzieś w głębi siebie, ale może z czasem będzie w stanie to zrobić.

– Muszę iść nakarmić konie – powiedział Neil przy kawie. – Poradzicie sobie przez chwilę beze mnie?

– Ja to zrobię, tato – powiedziała Meredith.

– Daj spokój, nie zatrzymałem cię tu po to, żeby cię zaprząć do pracy.

– Zrobię to z przyjemnością.

Wyszła z domu i zatrzymała się na chwilę na skrzypiących stopniach ganku. W dali, za zieloną doliną, wznosił się Mount Sopris, trzy wspaniałe, samotne szczyty. Ta góra nigdy nie wyglądała tak samo. Nawet latem, przy bezchmurnym niebie, wznosiły się nad nią skłębione cumulusy. Drzwi za nią otworzyły się i zamknęły.

– Wspaniały widok – powiedział John.

– O tak – odparła.

Przez chwilę oboje patrzyli na skąpane w złocistym blasku zachodzącego słońca szczyty.

– W takim miejscu naprawdę można cieszyć się życiem – powiedział w końcu John.

– Czy to znaczy, że ty nie cieszysz się życiem w Waszyngtonie?

Spojrzał na nią.

– Mogłoby być lepiej, ale nie narzekam.

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby się przeprowadzić?

– Do tej pory nie.

– Hm... – Tylko tyle była w stanie powiedzieć. – Cóż, lepiej już pójść nakarmić konie – dodała szybko.

– Mogę pójść z tobą?

Na starych drzewach wokół domu jak zwykle siedziały kosy. Całe stado świergoczące hałaśliwie jak gromada przekupek. Dom i drzewa rzucały na ziemię długie cienie. Powietrze było chłodne, balsamiczne.

Idąc z Johnem po trawniku w stronę stajni, postanowiła, że tego wieczoru powie mu o kłótni Chada z Kemilem. Zrobi to bez względu na konsekwencje. Powie prawdę. Erik nie może bronić się sam, więc ona zrobi to za niego.

Rzucili koniom siano i sprawdzili, czy mają wodę.

– Chyba mógłbym pracować na ranczo, jak sądzisz? To nie najgorsze zajęcie.

– Spróbuj to robić w środku zimy, kiedy z każdej strony wieje, pada śnieg i...

– W porządku, rozumiem. Robiłaś to w dzieciństwie?

– Jasne. Ojciec miał tu wtedy więcej zwierząt, były też krowy. Zatrudniał kilka osób do pomocy.

– Myślisz, że kiedyś sprzeda ranczo? Wiesz, przejdzie na emeryturę?

– Nie, zostawi je nam.

– Przecież nie mieszkanie tu...

– Może ja tu zamieszkać. Może się nawrócę.

– Wykorzystasz swoją psychologiczną wiedzę przy koniach i krowach?

– Bardzo zabawne.

John zatrzymał się i oparł o ogrodzenie.

– Chcę, żebyś wiedziała, że naprawdę mam siostrzeńca z porażeniem mózgowym, i naprawdę miałem żonę, która mnie rzuciła.

– W porządku, więc jednak jesteś ludzką istotą.

Przypomniała sobie nagle coś, co powiedział w czasie tej jedynej sesji terapeutycznej. Było to wiele tygodni temu, ale jego słowa wróciły do niej tak wyraźnie, jakby usłyszała je przed minutą.

– Tak, jestem człowiekiem – mówił, ale ona mu przerwała.

– Powiedziałeś, że żona rozwiodła się z tobą, kiedy przestałeś pić.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Co chciałeś przez to powiedzieć?

– Płacę za to?

– Żadnych uników. Odpowiedz.

Milczał przez chwilę. Potem przeczesał włosy palcami.

– Poznałem Renee w college'u. Byliśmy młodzi i lubiliśmy się bawić.

Ona chyba uznała, że mój pociąg do alkoholu to nic więcej ponad to, co robili inni. Umożliwiała mi picie. Oczywiście wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, ale potem skończyłem studia i nadal piłem, a ona mnie kryła. Założę się, że widziałaś setki takich przypadków. Nasze małżeństwo było dysfunkcyjnym związkiem. Widzieliśmy w sobie nawzajem to, co chcieliśmy widzieć, ale tak naprawdę nigdy się nie rozumieliśmy.

– Mówisz tak, jakbyś był na terapii.

– Nie ja. Renee. Ciągle nad sobą pracuje.

– A twoje picie?

– Było coraz gorzej. Urodził się nasz syn Jack, a ja ciągle piłem. W końcu mój szef z departamentu sprawił, że zobaczyłem, dokąd zmierzam.

Pewnego dnia kazał mi usiąść i powiedział, że stracę pracę, jeśli nie przestanę pić. To mnie otrzeźwiło.

– I przestałeś?

– Tak. Po raz pierwszy miałem kontrolę nad swoim życiem. Renee nie mogła tego znieść i rozwiodła się ze mną.

– Interesujące.

– Nie, kiedy się przez to przechodzi.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Teraz nawet się przyjaźnimy, często widuję się z Jackiem. Renee ma chłopaka, przepraszam, głupie określenie, ma przyjaciela, który pozwala jej

zaspokajać potrzebę dawania.

– A ty, spotykasz się z kimś?

– Nie.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami a potem się wyprostował.

– Hej, chyba wyszłaś poza temat rozmowy.

– Musisz się z tym liczyć, kiedy rozmawiasz z psychologiem.

– Jesteś bardzo dobrym terapeutą, Meredith – powiedział poważnie.

– Cóż, dziękuję. Ale nie sądzę, żeby ta jedna krótka wizyta...

– Jesteś dobra. Rozumiesz, potrafisz się wczuć.

Patrzył na nią poważnie błękitnymi oczami. Była to chwila porozumienia, bliskości, ciepła. Meredith uświadomiła sobie nagle, że zna tego człowieka lepiej, niż kiedykolwiek zdołała poznać Erika.

– Powinniśmy wracać – powiedziała i odwróciła się. Nić porozumienia została zerwana.

Późnym wieczorem wyruszyli w drogę powrotną do Aspen.

– Podoba mi się twoja rodzina – powiedział John.

– Ann jest wspaniała.

– A twój ojciec?

– Nie najlepiej mi się z nim układa. Od śmierci mojej matki... Nie chcesz o tym słuchać.

– Ty wysłuchałaś historii mojego życia.

– Może innym razem.

Zapadła ciężka, krępująca cisza.

– Masz rację – odezwała się w końcu Meredith.

– Co do czego?

– Ty opowiedziałeś mi o swojej rodzinie, a ja nie chciałam ci opowiedzieć o swojej.

– Więc opowiedz.

Zrobiła to. Opowiedziała mu o tym strasznym dniu, kiedy na ranczo przyjechał szeryf z policją i powiedział opiekunce, która zajmowała się nimi w czasie weekendu, że wydarzył się wypadek.

– Miałam siedem lat, Ann cztery. A ojciec nie był w stanie wrócić do domu. Był w klinice w Georgetown, miał wstrząs mózgu. Mama... Cóż, nic już nie można było zrobić.

Jezu wyszeptał John.

Tak czy inaczej, całe życie go o to obwiniałam. Mama zawsze bała się jeździć w czasie śnieżyicy. Pamiętam nawet, jak mówiła nam, że nie ma takiego miejsca, dla którego warto by ryzykować życie.

– Ale tamtego dnia pojechała do Denver.

– Tak. Bo ojciec ją w końcu do tego nakłonił. Chodziło o konia, który miał być wystawiony na aukcji i... To już bez znaczenia. Pojechali i aż do dziś nie wiedziałam, że tak cierpiał.

– Powiedział ci coś dzisiaj?

Kiwnęła głową.

– Tak. Nareszcie. Kiedy już umyliśmy naczynia.

– To nie moja sprawa, ale...

– Nie. Powiedz.

– Wybaczyłaś mu?

– Dobre pytanie. Nie wiem, co odpowiedzieć. Od tak dawna żyłam z tym gniewem, że niełatwo o nim zapomnieć.

– Ale próbujesz?

– Cóż... tak, chyba tak.

Brzmi dobrze.

– Hm.

Znowu zapadła cisza.

– Jest coś jeszcze – powiedział John.

– Coś jeszcze?

– Cały dzień o czymś rozmyślałaś.

Meredith westchnęła.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy, wiesz o tym?

Owszem, już to słyszałem. A teraz powiedz mi, co cię gryzie.

– Dobrze – odparła. – Powiem ci. To jeszcze bardziej skomplikuje sprawę policji, ale naprawdę nic mnie to nie obchodzi. Już czas, żeby prawda wyszła na jaw.

– Prawda?

– Tak. Chodzi o Chada, Erika i Kemila. O to, kto tak naprawdę z kim się kłócił.

John wyprostował się nagle, Meredith wyczuła jego czujność. Światła nadjeżdżającego z przeciwka samochodu oświetliły na moment wnętrze auta, a potem znowu zapadła ciemność.

– Byłam pewnego wieczoru u Kemila i słyszałam kłótnię. Ale to nie było tak, jak opisał to Chad. To Chad kłócił się z Kemilem, a Erik starał się ich uspokoić.

– Jesteś pewna?

– Byłam tam. Stali pod drzwiami pokoju. Widziałam ich. Słyszałam.

– O co się kłócili?

– Trudno powiedzieć. Dotarło do mnie tylko kilka słów. – Urwała i wróciła myślami do tamtej chwili. – Chyba o coś, co mogło przeszkodzić w wyprawie. Erik powiedział: „Dość tych bzdur. Musimy się skoncentrować na wspinaczce”, czy coś w tym stylu.

– To wszystko?

– Wszystko, co słyszałam. Ale Chad łyże. Jeszcze jedno kłamstwo. To nie Erik kłócił się z Kemilem, więc to, że Erik przeciął liną, także nie jest prawdą. Chad próbuje po prostu chronić siebie. Boże, nie mogą w to uwierzyć, nie mogą uwierzyć, że to zrobił.

– Co zrobił? – spytał John spokojnie.

– Nie wiem. Cały czas o tym myślą. Dlaczego Chad kłamie? Żeby się chronić. Ale przed czym? Co się tam tak naprawdę stało? – Umilkła i podjęła po chwili. – Słuchaj, może powiesz policji, żeby pogadali z innymi, którzy byli wtedy u Kemila? Z Danem, Kevinem i Jessie. Może ktoś z nich też słyszał tę kłótnię?

– Policja zajęła się wszystkimi, którzy mieli jakieś związki z Kemilem. Rozmawiali z nimi, zaraz po ich powrocie, kiedy tylko wysiedli z samolotu.

– No i co oni mówili?

– Nie wiem, co mówili o tej konkretnej sprawie. Ale spróbują się dowiedzieć, jeśli chcesz.

– Zrobisz to?

– Mogą spróbować.

– Powiem ci jedno – wybuchnęła nagle Meredith. Zarówno jako psycholog, jak i przyjaciółka – była przyjaciółka że Chad nie byłby zdolny zabić kogokolwiek, nie mówiąc już o swoim najbliższym przyjaciołu.

– Więc zostaje Erik.

Meredith milczała przez chwilę. Jechali znajomą drogą do Aspen, po obu stronach wznosiły się ciemne garby gór, tylko światła samochodów czasami oświetlały jezdnię.

– Erik też nie mógłby nikogo zabić – powiedziała w końcu. – I nie miał powodu, żeby to zrobić, nie miał motywu. Nie, to nie on.

Milczenie.

– Nie próbuję go chronić – rzuciła jeszcze w ciemność. – Nie kłamałabym nawet dla niego.

Znowu cisza.

– Nie kłamałabym dla Erika – powtórzyła Meredith z uporem.

Cisza.

Rozdział 19

Meredith rozpaczliwie chciała wrócić do pracy, znowu stać się użyteczna, zagłuszyć ból, który czuła w sercu. Powitała więc z ulgą poniedziałkowy ranek.

Odwołała większość spotkań z ubiegłego tygodnia. John zadzwonił do kilku pacjentów, kiedy sama nie była w stanie tego zrobić. Teraz weszła do poczekalni i rozejrzała się dookoła, jakby widziała to miejsce po raz pierwszy. Poczowała się jak nowo narodzona. Może poprzez swoją pracę i kontakty z przyjaciółmi będzie mogła na nowo poskładać swoje życie.

Weszła do gabinetu, otworzyła dolną szufladę biurka i wrzuciła do środka torebkę. Znajomy rytuał. Zajrzała do kalendarza. O dziewiątej Maddy. Brenda o dziesiątej. Susan o jedenastej. Będzie zajęta cały poranek. Dobrze.

Wcisnęła guzik automatycznej sekretarki i zauważyła, że ma dziewięć nowych wiadomości. Dużo. Nawet jak na poniedziałkowy ranek. Pierwsza była wiadomość od Brendy.

– Cześć, Meredith, mówi Brenda Swimm. Jest sobota. Chcę odwołać moją wizytę o dziesiątej w poniedziałek i powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu Erika. Gdybyś mogła spotkać się ze mną w inny dzień, zadzwoń. Ale jeśli potrzebujesz więcej czasu, nie ma sprawy.

Rany, pomyślała. Nawet Brenda, która mieszkała w Glenwood Springs, wiedziała o niej i Eriku?

Następna wiadomość była od pacjentki, która miała przyjść po południu.

– Tak mi przykro, Meredith. Nie wiem, jak to wyrazić, kiedy mówię do sekretarki. Cholera. Ale zrób sobie wolne w poniedziałek, słyszysz?

Wstąpię któregoś dnia i umówię się na inny termin. Głowa do góry. Trzymaj się.

Wszystkie wiadomości brzmiały mniej więcej tak samo, poza jedną, od nowego pacjenta spoza miasta.

Meredith poczuła, że cofa się na swojej drodze do normalności. Plany na ten dzień, który miał być wypełniony pracą, spełzły na niczym. Poza tym te wiadomości oznaczały coś jeszcze. Nie tylko całe Aspen, ale wszyscy w Roaring Fork Valley wiedzieli o jej związku z Erikiem. Czyżby był jeszcze bardziej sławny, niż sądziła? I co ci ludzie myślą o niej?

Przypomniała sobie kaplicę pełną kobiet. Czy teraz wszyscy uważają ją za jeszcze jedną zdobycz słynnego himalaisty? Nie zapomniała słów Tony'ego, wypowiedzianych w chwili gniewu. Może jednak było w nich źdźbło prawdy?

Nagle ogarnęło ją pragnienie, by wybiec na ulicę, pokazując wszystkim napotkanym ludziom pierścionek. Nie, nie byłam tylko jego kolejną zdobyczą, powtarzała sobie w myślach.

W tym momencie usłyszała, że drzwi wejściowe otwierają się i zamykają. W pierwszej chwili sądziła, że to John. Może pojechał za nią do miasta swoim samochodem, a teraz chce sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku.

Ale w drzwiach gabinetu stanęła Kathy Fry. Jedno spojrzenie na jej czerwoną, poznaną śladami łez twarz powiedziało Meredith, że coś jest nie tak.

Znaleźli Erika, pomyślała. Znaleźli jego ciało.

– Co się stało? – spytała bez tchu. – Och, Kathy, co...

– Ty dziwko – rzuciła Kathy przez zęby i z hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi. – Ty wredna, kłamliwa dziwko.

Meredith zaniemówiła.

– Jak śmiałaś opowiedzieć policji tę kretyńską historię? Jak śmiałaś?

Meredith przełknęła ślinę. Była tak zaskoczona, że przez chwilę nie umiała dojść do siebie.

– Kathy, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Policja? Myślisz, że powiedziałam coś policji?

– Doskonale wiesz, o czym mówię. Kłótnia? Chad kłócił się z Erikiem?

Musiałaś opowiedzieć policji te bzdury, nie mogłaś sobie darować?

– Ale ja... – Nagle zrozumiała w czym rzecz. Oczywiście, powiedziała Johnowi. A on powtórzył jej słowa policji. Musiał to zrobić, wiedziała o tym, na tym polegała jego praca. Mogła przewidzieć, że tak się stanie.

– No, co jest, odjęło ci mowę?

– Och, nie, nie. Przepraszam, w pierwszej chwili nie wiedziałam, o co chodzi.

– Więc?

Tak. Tak, powiedziałam Johnowi o kłótni między Chadem i Kemilem.

– Och, naprawdę?

– Słuchaj, nie mogłam zostawić tej informacji dla siebie. Zwłaszcza po tym, co Chad powiedział policji.

– To nie twoja sprawa.

– Owszem, to jest moja sprawa. Erik już nie może sam się bronić. Przykro mi, jeśli to, co powiedziałam zraniło Chada, ale taka jest prawda. Nic nie mogę na to poradzić.

Kathy prychnęła pogardliwie.

– Więc teraz ty jesteś obrończynią Erika, tak? Chryste!

Meredith milczała. Wiedziała, czego była świadkiem. Kathy i Chad będą musieli spojrzeć prawdzie w oczy. Kathy patrzyła na nią gniewnie.

– Wiesz, kim jesteś? – powiedziała. – Chorą z miłości idiotką.

– Kathy, myślę, że to już zaszło za daleko.

– Nie, nie, lepiej mnie wysłuchaj. Twój ukochany Erik, moja droga, nie był taki święty, jak ci się wydaje.

– Chciałabym, żebyś już poszła – zaczęła Meredith.

– Jeśli mi nie wierzysz, porozmawiaj z Chadem. On wie. On dużo wie o twoim wspaniałym Eriku. Ale może to ciebie nie stać na to, żeby spojrzeć prawdzie w oczy.

– O to się nie martw, Kathy.

– Porozmawiaj z Chadem. Jest u mnie, w domku gościnnym. Porozmawiaj z nim.

Zanim Meredith zdążyła odpowiedzieć, Kathy odwróciła się na pięcie i wyszła. Meredith przez chwilę stała nieruchomo, nie była w stanie się ruszyć. Jakby ktoś chwycił ją za gardło i uniemożliwił nabranie powietrza do płuc.

Po południu pojechała do Kathy, zastanawiając się cały czas, czy nie popełnia błędu. Chad powie jej cokolwiek, byle zamknąć jej usta. Zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy, by zbrukać dobre imię Erika i uratować własną skórę.

Tchórz, myślała, przypominając sobie, ile razy widziała, jak Chad spijał każde słowo z ust Erika. Ze wszystkim się do niego zwracał, traktował jak swojego mistrza. Ale teraz, kiedy uwielbiany mistrz zniknął, Chad powie wszystko, byle wyjaśnić fakt, że lina została przecięta. Cholerny tchórz.

Jechała drogą Castle Creek, czując, jak bezsensowne i dziecinne są jej działania. Wiedziała, że John pojechał za nią, ale teraz zupełnie jej to nie obchodziło.

Zatrąbił na nią kilka razy, a potem zrównał się z nią, pokazując gestem, żeby się zatrzymała. W końcu, wściekła, zjechała na pobocze. Była zła na Johna i na samą siebie.

Kiedy podszedł, opuściła szybę okna.

– Jedziesz do Kathy Fry? spytał.

– Tak.

– To kiepski pomysł.

– Naprawdę?

– Meredith, posłuchaj, musisz wiedzieć, że powtórzyłem policji to, co mi

powiedziałaś.

O tak, wiem o tym.

– Kathy Fry? – spytał, ale zaraz sam odpowiedział sobie na to pytanie. – Widziałem ją dzisiaj przed twoim gabinetem.

– Nie wątpię. Muszę porozmawiać z Chadem. To wszystko zaszło już za daleko.

– Nie sądzę, żebyś mogła coś wyjaśnić, Meredith. Możesz nawet pogorszyć sytuację.

– Pogorszyć? Czyją sytuację? Moją? Chada? A może Erika? Ale on się już nie liczy, nie żyje.

– Daj spokój – powiedział John. – To cię tylko unieszczęśliwi. Znamy już wersję Chada. Teraz poznaliśmy twoją. Lepiej, żeby zajęła się tym policja.

– Nie. Mam zamiar zobaczyć się z Chadem. Natychmiast.

John patrzył na nią przez chwilę.

– Mogę cię jakoś powstrzymać?

– Nie.

John westchnął ciężko.

– W takim razie jedź do Chada. Pogadaj z nim. Ale on będzie się trzymał swojej wersji i jestem pewny, że wrócisz od niego jeszcze bardziej zdenerwowana niż teraz.

– Nie jestem zdenerwowana.

– Nie jesteś, oczywiście – powiedział, spojrzał na nią jeszcze raz, a potem zabębnił palcami po dachu samochodu. – Będę pod domkiem Chada, na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała – powiedział w końcu.

Meredith odjechała, wzbijając tumany kurzu.

Zaparkowała przed domkiem Chada i wysiadła z samochodu, kiedy pojawił się John. Kątem oka dostrzegła, że dał znak Steve'owi, który wyszedł z domu Kathy. Założyła, że ta wymiana gestów oznacza, iż może wejść. Nic jej to nie obchodziło. Miała zamiar zobaczyć się z Chadem bez względu na wszystko.

Czuła na sobie spojrzenie Kathy, która patrzyła na nią otwarcie z okna. Znalazła Chada koło domku – z furią rąbał drewno, rzucając kłody na leżącą obok stertę. Zauważył ją, ale nie oderwał się od swojego zajęcia.

– Chad – zaczęła. – Możesz mi poświęcić dwie minuty?

Przerwał rąbanie i spojrzał na nią spod oka.

– Nie chcesz tu być – powiedział i znowu podniósł siekierę.

– Posłuchaj – powiedziała, usiłując przekrzyknąć hałas. – Kathy powiedziała

mi, że znasz prawdę o Eriku. Chcą usłyszeć tą tak zwaną prawdą. Nie ruszą się stąd, dopóki jej nie usłyszą.

Chad uderzył siekierą w kolejny klocek. Jeden z małych odłamków omal nie uderzył jej w policzek.

– Chad. Chcą z tobą porozmawiać.

W końcu wbił siekierą w kawał drewna i otarł pot z szyi.

– Dlaczego opowiedziałaś im tę bzdurną historię? – spytał. – Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Przez to siedzą teraz po uszy w gównie.

Wszystko ci się pomieszało. Do diabła, mój prawnik staje na głowie, żeby nie dopuścić do ekstradycji. Chcą mnie wysłać na Alaskę. To wszystko przez ciebie.

Meredith wzięła głęboki oddech.

– Przykro mi, ale wiem, co słyszałam tamtego wieczoru u Kemila.

– Wydaje ci się, że słyszałaś. Słyszałaś to, co chciałaś słyszeć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Na litość boską, byłaś... jesteś tak szaleńczo zakochana, że nie mogłaś zauważyć, jak Erik i Kemil ciągle skakali sobie do oczu.

– To nieprawda.

– Prawda. Klócili się bez przerwy o przyjaciół Kemila. Erik był wkurzony jak wszyscy diabli, bo Kemil umieścił nas w domu swojego znajomego w Lahore, a ten facet utrzymuje kontakty z bandą terrorystów.

Meredith potrząsnęła głową.

– Erik nie interesował się polityką. Wiesz o tym, Chad. Wiesz o tym.

– Doprawdy? Więc coś ci powiem. Przez to, że zatrzymaliśmy się u tego koleżki Kemila w Pakistanie, ja i Erik zostaliśmy wciągnięci na czarną listę Departamentu Stanu. Wiesz, ile razy w ciągu roku wyjeżdżamy za granicę? Nie mów mi, że Erika to nie obchodziło.

Meredith milczała.

– Widzisz? Mam rację.

Przypomniała sobie tamtą noc, kiedy Erik wykonał obsceniczny gest w stronę stojącego pod domem Kemila samochodu – samochodu Johna, teraz już to wiedziała. Ale co właściwie wtedy powiedział? Coś o Bliskim Wschodzie i terroryzmie, a może o polityce?

Zapytała go o to, ale nie odpowiedział. Jak zwykle. Więc przestała pytać. Jak zwykle.

– I udajesz, że nie zauważyłaś, co zaszło między Erikiem a jedną z żon Kemila.

– Och, daj spokój – odparła wyniośle. – To śmieszne. Żadne z nas nigdy nie

widziało na oczy którejkolwiek z żon Kemila. Wiesz o tym – potrząsnęła głową.

– Myśl, co chcesz – odpalił Chad.

– Wiem, że kłamiesz. Erik był twoim przyjacielem. A ty chcesz zszargać jego dobre imię. Zrzucić na niego winę za coś, czego nie zrobił. Jestem przekonana, że to ty przeciąłeś linę. Nie wiem tylko dlaczego. Dlaczego to zrobiłeś?

Chad zareagował tak szybko, że Meredith omal nie straciła równowagi. W ułamku sekundy znalazł się tuż przed nią i złapał ją za nadgarstek. Czują na twarzy jego oddech.

– Ocknij się, do cholery! – ryknął. – Jesteś pewna, że chcesz znać prawdę? Jesteś pewna?

Próbowała się odsunąć, uwolnić rękę z jego uścisku, ale on trzymał ją mocno.

– Puść mnie – powiedziała bez tchu.

– Jedź do Boulder – wysyczał Chad z twarzą wykrzywioną grymasem złości. – Tak, jedź do Boulder. I odwiedź Debrę, Debrę Rosen. A kiedy już tam będziesz, może przywitasz się też z Robbiem? Wiesz, Robbie.

Syn Erika.

Jadąc następnego ranka do Boulder, miała wrażenie, że każda komórka jej ciała krzyczy z bólu.

Poprzedniego wieczoru powiedziała Johnowi, że musi pojechać po kilka książek do biblioteki Uniwersytetu Kolorado. Dodała, że może pojedzie też do Denver i przenocuje u siostry.

– Naprawdę? – odparł John łagodnie. Nie uwierzył w tę historyjkę.

Przejrzał ją, mimo że po wizycie u Chada bardzo starała się ukryć, co przeżywa. Nie mogła, po prostu nie była w stanie powtórzyć głośno tego, co usłyszała od Chada.

Debra Rosen. Robbie, syn tej kobiety. Syn Erika. To nie może być prawda.

John pojechał za nią. Wiedziała, że nie zdoła go zgubić. Zastanawiała się, co mu powie o wizycie u tej Rosen. Jeśli w ogóle cokolwiek mu powie. Może powie, że Debra to jej koleżanka ze szkolnej ławy? Coś wymyśli.

Czy to ma jakieś znaczenie, ile wie John?

Poza tym historia Chada to jedno wielkie kłamstwo. Wymyślił to wszystko, żeby ją zranić. Może Kathy podsunęła mu ten pomysł. Wyczuwała w tej historyjce typowo kobiecy jad. Meredith zaszkodziła jej bratu, więc Kathy postanowiła się na niej zemścić.

Tak, na pewno.

Dlaczego więc cały czas czuła powracające falami mdłości?

Przejechała Independence Pass i Leadville, potem minęła Copper Mountain Ski Resort. Zbocza gór ciągle były jeszcze zielone, tylko od północy drzewa zaczynały powoli okrywać się jesienną czerwienią i złotem, jak zwykle w połowie sierpnia na tej wysokości.

Zmierzając w stronę Eisenhower Tunnel, przejechała Continental Divide na wysokości trzech tysięcy trzystu pięćdziesięciu metrów. Dalej droga prowadziła w dół, mijając Georgetown, Idaho Springs i zjazd do Central City. Stare górnicze miasteczka, utrzymujące się obecnie z turystyki.

Jechała autostradą, od czasu do czasu spoglądając we wsteczne lusterko, co wymagało dużej koncentracji. Tak, John był dwa samochody za nią. Jej wierny ochroniarz. Pozostanie nim do chwili, kiedy zainteresowanie prasy osłabnie, a śmierć Kemila zostanie uznana za wypadek, co usatysfakcjonuje rodzinę al Assad.

Mimo to, co powiedziała poprzedniego dnia Chadowi, w głębi duszy ciągle wierzyła, że to naprawdę był wypadek. Ani Chad, ani Erik nie mieli motywu. Fakty wyjdą w końcu na światło dzienne. Ale kiedy?

Co za koszmar.

Zaczęła myśleć o celu swojej wyprawy. Debra Rosen. Meredith dostała jej adres wieczorem w telefonicznej informacji.

Fakt, że Debra Rosen istnieje i znajduje się w książce telefonicznej, był poważnym ciosem. Historia Chada nie wydawała się już tak nieprawdopodobna. Ale to, że w Boulder mieszka jakaś Debra Rosen, nie oznaczało jeszcze, że miała ona jakikolwiek związek z Erikiem. Może raczej z Chadem. Ale nie z Erikiem. Meredith domyśliłaby się przecież, gdyby w jego życiu była jakaś inna kobieta. I z pewnością wyczułaby, że ma z nią dziecko.

Skręciła na północ i wjechała na zieloną wyżynę nazywaną przez mieszkańców Colorado Front Range. Przed nią leżało Boulder – uniwersyteckie miasto z czerwonego piaskowca. Wzniesiono z niego uniwersytet, budynki urzędów i kamienice w centrum. Nad miastem wznosił się Flatiron. Góra wyrastała z ziemi pod dość ostrym kątem, jakby przygięły ją wiatry. Znajdowała się niemal na każdej pocztówce z Boulder.

Dom Debry Rosen.

Czy to bogata kobieta? Boulder to zamożne miasto. A może ona pracuje na uniwersytecie? Do diabła, a może jest sprzedawczynią w sklepie spożywczym albo centrum handlowym Wal-Marta. A może jest psychologiem?

– Cholera – mruknęła Meredith pod nosem. Nie powinna była tu przyjeżdżać.

Kilka razy skręciła w złą stronę, ale w końcu znalazła ten dom. Był w skromnej,

zamieszkiwanej przez średnią klasę dzielnicy, pełnej małych domków z czerwonej cegły, przed którymi znajdowały się równo przystryżone, kwadratowe trawniki.

Parkując, czuła, jak coś zaczynają ścisnąć w gardle. Na czoło wystąpił jej pot, ręce drżały.

Jak przez mgłę dostrzegła, że John zatrzymał się w pewnej odległości za nią. Nie wysiadł. Nawet kiedy wzięła się w garść i otworzyła drzwiczki, on pozostał za przyciemnionymi szybami swojego samochodu.

Przynajmniej, pomyślała, nie będzie utrudniał sytuacji.

Chodnik prowadzący na malutki ganek był bardzo krótki, ale ona miała wrażenie, że ciągnie się w nieskończoność. Nie przyszło jej jednak do głowy, żeby zawrócić. Zebrała wszystkie siły, całą odwagę i szła przed siebie.

Drzwi. Patrzyła na nie przez chwilę tak, jakby nigdy wcześniej nie widziała nic podobnego. Zwyczajny martwy przedmiot. Zupełnie nieszkodliwy. Ale jej wydawało się, że te drzwi kryją odpowiedzi na wszystkie jej pytania, że wszystko, w co wierzyła, kim była, czeka na nią za tymi prostymi, dużymi kawałkami drewna.

Rozdział 20

Otworzył jej mały chłopiec. Meredith omal nie przewróciła się na jego widok, tak był podobny do Erika. Do swojego ojca. Opanowała się z trudem.

– W czym mogę pani pomóc? spytał uprzejmie.

Miał mniej więcej jedenaście lat. Już nie dziecko, ale jeszcze nie nastolatek. Szcupły. Miał błękitne oczy Erika i ciemne włosy swojej matki. Rozpoznała go natychmiast i przypomniała sobie tę kobietę. Widziała ich na uroczystości pożegnalnej. Oczywiście. Jakaż była ślepa!

– Jestem przyjaciółką twojego ojca – wymamrotała. Byłam... byłam w Denver, u siostry, i pomyślałam, że wstąpię na chwilę. Widziałam cię z mamą na uroczystości pożegnalnej w Aspen i... – wzięła głęboki oddech. – I chciałam powiedzieć wam, jak bardzo mi przykro z powodu... z powodu twojego ojca.

– Dziękuję.

– Czy twoja mama jest w domu?

– Nie, ale niedługo wróci. Teraz ma klienta.

– Klienta?

– Jest masażystką.

– No tak, oczywiście. Eee... czy mogłabym na nią poczekać?

Zawahał się, ale w końcu uznał najwyraźniej, że nie ma w tym nic złego.

– Chyba tak. Jasne.

Otworzył drzwi szerzej i wpuścił ją do środka. Miał na sobie krótkie spodenki i podkoszulek z nazwą drużyny baseballowej, o której nigdy nie słyszała. Białe adidasy wydawały się o trzy numery za duże na niego. Jak na swój wiek miał silne, umięśnione łydki. Jak jego ojciec.

– Nie wiesz, kiedy twoja mama wróci... eee... Robbie, tak masz na imię?

– Pewnie za pół godziny. Nigdy nie zostawia mnie długo samego. Jest bardzo opiekuńcza, rozumie pani. Ale ja jestem bardzo odpowiedzialny – dodał poważnie.

– Och, na pewno.

– Właśnie gram na komputerze, więc... Mogę tu panią zostawić?

– Och, tak, Robbie, oczywiście.

– Pilot jest na telewizorze, a tu są jakieś gazety – wskazał na stolik.

– Dziękuję – odparła.

Wyszedł do przedpokoju i zniknął, a po chwili dobiegły ją dźwięki komputerowej gry. Meredith stała na środku małego salonu, rozglądając się dookoła. Zwykle meble, każdy z innej parafii, jakby zostały odziedziczone albo

kupione na aukcji Armii Zbawienia. Ciemne drewno, tapicerowane krzesła i mnóstwo świec. Kilka obrazków na białych ścianach, jasny wełniany koc przerzucony przez oparcie krzesła, indiański dywan przed kanapą. Ciężki wiktoriański stół z krzesłami we wnęce pełniącej funkcję jadalni.

Stała bez ruchu, drżąc i przyciskając do siebie torebkę. A przed domem John siedział w swoim samochodzie. Cóż, będzie musiał poczekać.

W powietrzu unosił się lekki, znajomy zapach – trociczki. Debra w długiej, workowatej sukni. Hipiska. Trociczki, nieślubne dziecko i obrazek przedstawiający indiańskiego szamana na ścianie.

Podeszła do kanapy i opadła na nią ciężko, jakby nie była w stanie dłużej utrzymać się na nogach. Pochyliła się nad stolikiem, żeby przeczytać tytuły leżących na nim magazynów. „Zdrowie”, „Współczesna kosmetyka”, „Świat masażu”.

Siedziała tam, rozglądając się po domu Debry, wdychając jego zapach. Przesunęła palcem po ciemnoniebieskiej kanapie, czując szorstką materię obicia.

Erik siadywał tu, może nawet w tym samym miejscu. Jadał przy tym stole, wyciągał piwo z lodówki, oglądał telewizję. Kochał się z Debrą. Miał z nią syna.

A ona nie miała pojęcia o jego drugim życiu.

Dlaczego jej nie powiedział? Czy w ogóle miał zamiar jej powiedzieć? Ile jeszcze miał przed nią tajemnic?

Zakręciło jej się w głowie, podłoga zaczęła uciekać spod stóp. Czy to wszystko było jednym wielkim kłamstwem? Jego miłość, pierścionek, oświadczyń?

Przez wysokie okno przy drzwiach wpadało słońce, rzucając złocistą smugę światła na gazety na stoliku. W świetle tańczyły drobiny kurzu, który pokrywał też szklany blat stolika.

Czy siadywał tu, kładąc nogi na stoliku, tak jak u niej? Czy w tym miejscu opierał stopy?

Na jednej ze ścian znajdowała się biblioteczka, pełna byle jak ustawionych książek, odłamków skał i ceramicznych figurek zwierząt, wśród których stał też Budda z jadeitu. I fotografie w ramach ozdobionych morskimi muszelkami.

Wstała z trudem i podeszła do biblioteczki, żeby obejrzyć zdjęcia. Dowód na to, że Erik miał drugie życie, o którym ona nie miała pojęcia.

Erik trzymający w ramionach Robbiego, kiedy był niemowlęciem. Cała trójka Erik, Debra i Robbie na tle gór.

Ogarnęły ją mdłości, na czoło, szyję i górną wargę wystąpił zimny pot.

Kolejne zdjęcie. Erik na górskim szczycie, uśmiechnięty, ze zmrużonymi

oczami.

Poszła do przedpokoju i odchrząknęła.

Przepraszam, Robbie, mogę skorzystać z łazienki? – zawołała. Słucham? Och, oczywiście wystawił głowę ze swojego pokoju. – Proszę pójść do łazienki mamy, u mnie jest bałagan – wskazał drzwi po drugiej stronie korytarza. Dziękuję.

Ale najpierw zatrzymała się w sypialni, patrząc na wielkie, szerokie łóżko przykryte narzutą w indiańskie wzory. U wezgłowia leżały kolorowe poduszki. Dwa stoliki nocne. Na jednym leżało kilka przedmiotów:

pilnik do paznokci, stojak na kadzidełka, budzik, pusta szklanka. Na drugim nie stało nic. To był stolik Erika.

Usiłowała nie wyobrażać ich sobie razem na tym materacu, opanować emocje. Pytania bez odpowiedzi atakowały ją zewsząd, ale na razie postanowiła zepchnąć je wszystkie do najciemniejszego kąta swojego umysłu.

Otarła pot z górnej wargi. Czowała się dziwnie odrętwiała. Zraniona do głębi, a jednak odrętwiała, jakby cios, który jej zadano, był tak silny, że nie była w stanie ocenić szkód, jakie jej wyrządził.

Poszła do łazienki i obmyła twarz zimną wodą, starając się nie patrzeć na odbicie swojej twarzy w lustrze upstrzonym plamami z pasty do zębów. Wytarła się brzegiem ręcznika.

W szklance na umywalce były dwie szczoteczki do zębów. I coś, co wyglądało na męską szczotkę do włosów, chociaż nie widziała, żeby Erik takiej używał.

Wzięła ją do ręki i podniosła do nosa. Tak, to była szczotka Erika.

W sypialni podeszła prosto do pustej szafki nocnej i otworzyła szufladę. Książka w miękkiej oprawie. Nie mogła przeczytać tytułu – był norweski. Tanie okulary do czytania.

Okulary. Nie miała pojęcia, że ich potrzebował. Ale uświadomiła sobie nagle, że przy niej Erik nigdy nie czytał. Kochali się, spali i jedli, a potem znowu zaczęli się kochać.

Ale tutaj, w domu Debry, czytał. Swobodny, zrelaksowany. Jakby od lat był mężem tej kobiety.

Zamknęła szufladę i stała przez chwilę koło łóżka, ukrywając twarz w dłoniach. Wtedy nagle usłyszała, jak ktoś otwiera frontowe drzwi.

Ruszyła szybko do drzwi sypialni, nerwowo poprawiając włosy.

– Och!

Przepraszam. Jesteś Debra – powiedziała. – Ja tylko... Robbie powiedział mi, że mogę skorzystać z twojej łazienki.

Na policzki wypłynął jej ciemny rumieniec. Czowała się strasznie upokorzona.

Debra patrzyła na nią przez chwilę.

– A ty jesteś Meredith – powiedziała w końcu.

– Skąd wiesz?

Ktoś pokazał mi ciebie na uroczystości pożegnalnej.

Oczywiście. Ale dlaczego jej nikt nie pokazał Debry? Kathy i Chad wiedzieli o wszystkim. Kto jeszcze był dopuszczony do tajemnicy?

Debra miała na sobie biały podkoszulek i dżinsową koszulę. Sandały. Długie, ciemne włosy zebrane kłamrą z tyłu głowy. Wielkie, srebrne koła w uszach. Ładna twarz, nawet bardzo ładna. Bez makijażu. Trochę pulchna, ale najwyraźniej zadowolona z siebie. Silna, poukładana kobieta. Tak, takie kobiety przyciągały Erika.

– Wiedziałaś, że przyjedziesz. Wcześniej czy później – powiedziała Debra rzeczowo, z nutą satysfakcji w głosie.

– Wiedziałaś – powtórzyła Meredith.

Przykro mi z powodu tego, przez co pewnie teraz przechodzisz.

– Przyjechałam tu, żeby to samo powiedzieć tobie.

Debra uśmiechnęła się lekko, z wyższością.

– Przyjechałaś, żeby sprawdzić, czy to prawda. Czy ja istnieję i czy Robbie istnieje.

– Tak... może o to też mi chodziło.

– Cóż, istniejemy.

– Robbie to wspaniały chłopiec.

– O tak. Dziękuję. – Debra rzuciła wystrzępioną torebkę na krzesło. – Napij się czegoś? Jest tak gorąco. A przed tobą długa droga.

Meredith przyjęła zaproszenie, chciała opóźnić swój wyjazd. Potrzebowała czasu, by oswoić się z tą nową rzeczywistością.

Debra naląła mrożonej herbaty do dwóch wysokich szklanek, zaniósła je do salonu i postawiła na stoliku.

– Usiądź proszę, Meredith. – Usadowiła się po drugiej stronie stolika w brzydkim starym fotelu. – Jesteś ciekawa.

Meredith milczała.

– Posłuchaj, kochałam Erika, a on kochał mnie. Byliśmy razem przez dwanaście lat. Spodziewałam się, że pewnego razu nie wróci. Zawsze wiedziałam, że może zginąć. I kiedy to się stało, byłam wstrząśnięta, ale nie zaskoczona.

– Nie odczuwasz smutku?

– Odczuwam, naturalnie. Człowiek, którego kochałam, właśnie zginął.

Meredith chciała znienawidzić tę pewną siebie, opanowaną kobietę, ale nie mogła. Nie potrafiła nawet znienawidzić Erika za to, co zrobił jej, Debrze i Robbiemu.

Kim właściwie była dla niego Debra? W porządku, mieli dziecko. Nie mogłaby szanować Erika, gdyby zerwał kontakt z własnym synem i jego matką. Zapewne pomagał im także finansowo. To mogła zaakceptować. Na pewno w końcu by jej o tym powiedział. Po oficjalnych zaręczynach.

Ale nie mogłaby zaakceptować Debry jako miłości jego życia. Ja też go kochałam powiedziała Meredith. A on kochał mnie.

Znowu ten uśmiezek.

– Kochał wiele kobiet. Sądzisz, że był mi wierny? Nie mógł się opędzić od kobiet. – Wydawało się, że jest dumna z jego podbojów. Posłuchaj, byłaś jedną z wielu. Erik lubił kobiety. Tobie też nie byłby wierny.

Wierność nie leżała w jego naturze. – Debra spojrzała w stronę pokoju Robbiego, z którego ciągle dobiegały piski i zgrzyty komputerowej gry, i zniżyła głos. – Zawsze uważałam, że Erik musiał żyć szybciej i bardziej intensywnie niż inni ludzie. Wiedział, że jego życie będzie krótkie.

Ale chciał ożenić się ze mną, pomyślała Meredith. I żyć długo i szczęśliwie. Debra się myli.

– Wiedziałaś o mnie? – spytała Meredith.

– Och, wiedziałam, że kogoś poznał. Zawsze mogłam się tego domyślić. Ale nigdy nie opowiadał mi o swoich dziewczynach. Za bardzo szanował moje uczucia. – Debra przekrzywiła głowę i spojrzała na Meredith. – A potem zobaczyłam cię na uroczystości pożegnalnej w Aspen.

Muszę przyznać, że byłam ciekawa.

– Rozumiem.

– Możesz uważać się za szczęściarę, Meredith. Miałaś go całkiem długo – powiedziała Debra współczująco.

Meredith poczuła, że jej system obronny pracuje pełną parą.

Przełknęła trochę mrożonej herbaty. Lekki pomarańczowy aromat. Bergamotka. Upiła jeszcze łyk, usiłując opanować emocje. To spotkanie przypominało sytuację z powieści Kafki.

– Mogę zapytać, dlaczego nigdy się nie pobraliście?

– Nie musieliśmy się pobierać – odparła Debra z dumą. – Powtarzał mi setki razy, że małżeństwo jest dla zwykłych ludzi. Nasza miłość była tak wielka, że

możliśmy oboje pozostać wolnymi duchami. To był naprawdę wspaniały związek.

Meredith dotknęła pierścionka wiszącego na łańcuszku pod białą bluzką. Och, miała wielką ochotę pokazać go tej zarozumiałej kobiecie, rzucić go jej w twarz i unicestwić jej życie, tak jak życie jej samej zostało unicestwione.

Ale co by to dało? Żadnej z nich nie zwróciłoby to Erika. Poza tym byłby to cios poniżej pasa, niegodny jej miłości do niego. Skrzywdziłaby tylko małego, niewinnego chłopca. Lepiej pozwolić, by Debra wierzyła w swoją wersję.

– Pójdę już – powiedziała, wstając.

– Cieszę się, że wstąpiłaś. Lepiej znać prawdę, nie sądzisz?

Podążyły sobie rękami.

– Przykro mi, że poniosłaś taką stratę. I że Robbie stracił ojca. Macie... masz takiego wspaniałego syna.

– Dziękuję.

– Pożegnaj ode mnie Robbiego.

– Dobrze.

Wyszła na zewnątrz. Było gorące popołudnie, wokół rozlegały się głosy ludzi, szum samochodów, śpiew ptaków. Śmiech dziecka.

– Meredith?

To był głos Johna.

Był przy niej. Jakoś udało jej się dojść do samochodu. Oparła się o niego i stała tak, ze zwieszoną głową, czując, jak rozgrzany metal karoserii parzy jej dłonie.

John odwrócił ją delikatnie, tak by widzieć jej twarz, ale nie miała siły spojrzeć mu w oczy.

– Meredith? Wszystko w porządku? Co się tam, do diabła, wydarzyło?

– Nic. Rozmawialiśmy – odparła głuchym, pozbawionym emocji głosem.

– Rozmawiałaś z Debrą Rosen?

Meredith gwałtownie podniosła głowę.

– Skąd wiesz o Debrze Rosen?

Patrzył na nią potulnie, nieśmiało. Uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie widziała na jego twarzy takiego wyrazu.

– Wiedziałem o Debrze Rosen i jej dziecku od... od jakiegoś czasu.

– Od kiedy?

– Po waszym pierwszym spotkaniu pojechał na trzy dni do Boulder.

Obserwowaliśmy go, więc...

– Tak... – powiedziała. Te trzy straszne dni, kiedy czekała na jego telefon, a on nie dzwonił. Spojrzała na Johna z niedowierzaniem. – Wiedziałeś o Debrze i

Robbiem?

Tak.

– I nigdy...

– Przykro mi. Nie sądziłem, że... Cóż, chyba uważałem, że nie musisz o tym wiedzieć, zwłaszcza po tym, kiedy poszukiwania Erika zostały zakończone.

Meredith wyprostowała się.

Dlaczego ciągle robisz rzeczy, z powodu których jest ci później przykro?

Dobre pytanie odparł, patrząc jej w oczy. Teraz nie było w nich podejrzliwości. Były szczerze. Jadą do domu – oznajmiła.

Na pewno możesz prowadzić? Moglibyśmy zostawić twój samochód tutaj i pojechać moim.

– Pojadę swoim samochodem.

Otworzyła drzwiczki swojego subaru i wsiadła. W środku było bardzo gorąco, opuściła szyby we wszystkich oknach. Nie patrzyła w stronę Johna, nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Nie obchodziło jej, czy pojedzie za nią, czy wróci do Waszyngtonu.

Sama nie wiedziała, jak wyjechała z Boulder, nie pamiętała nic z krętej dwupasmowej drogi wiodącej na autostradę. Starła się nie patrzeć w lusterko, ale kiedy nie mogła tego uniknąć, zawsze widziała za sobą ciemny samochód Johna, czasem tuż za sobą, czasem na innym pasie.

Prowadziła jak automat, odrętwiała, aż w końcu zjechała z autostrady na parking przy wjeździe do Eisenhower Tunnel. Zatrzymała samochód, zastanawiając się, skąd się tu właściwie wzięła. Wokół wznosiły się górskie masywy. Na brzydkim brudnym parkingu stały pomarańczowe samochody pomocy drogowej. Przed nią ział czarny otwór tunelu.

Nagle w jej oczach wezbrały łzy. Oparła czoło o kierownicę i zaczęła gwałtownie szlochać. Tłukła pięścią w kierownicę i płakała, aż poczuła ból w piersi, a w oczach zabrakło łez. Z trudem chwytiała powietrze, jak zanoszące się od płaczu niemowlę.

Po chwili drzwi jej samochodu otworzyły się i ktoś ujął ją za ramię. John pociągnął ją lekko do góry i pomógł jej wysiąść.

– Lepiej? – zapytał.

Zwiesiła głowę. Nie chciała, żeby oglądał ją w tym stanie.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Nie.

– Wszystko w porządku. Idź już... Jedź tam, gdzie powinieneś być.

– Chcę być tutaj.

W końcu odważyła się podnieść głowę. Wyraz jego twarzy omal nie zwałił jej z nóg.

– Na pewno uważasz mnie za skończoną idiotkę.

– Nie.

– Okłamywał mnie, a ja niczego nie podejrzewałam. Ani przez sekundę. A powinnam znać się na ludziach. Umieć ich przejrzeć. Jestem żalosna.

– Nie, Meredith. Skąd mogłaś wiedzieć? To nie twoja wina.

– Miał syna powiedziała. A ja nie miałam o tym pojęcia.

– Gdybym powiedział ci od razu, kiedy się o tym dowiedziałem, czy to by coś zmieniło?

– Tak. Może. Przynajmniej bym...

– Co?

Wiatr szarpał jej bluzkę. Na wysokości ponad trzech i pół tysiąca metrów nawet latem było chłodno. Meredith zadrżała.

– Nie wiem. Może spytałabym Erika, czy chce mieć dzieci ze mną. Nie wiem tego. A może właśnie wiem i dlatego nigdy go o to nie zapytałam.

Boże. Jak mogłam być taka głupia?

– Chodź, usiądźmy w moim samochodzie. Jest większy od twojego powiedział John.

Szare wnętrze rządowego samochodu w niczym nie przypominało konfesjonału, ale Meredith otworzyła w nim swoją duszę.

– Nigdy, z nikim, nie czułam się tak jak z Erikiem. To była obsesja.

Nie mogłam utrzymać rąk przy sobie, on też. Może to było chore, nie wiem. I czułam się taka... taka zagubiona, jakbym przestała być sobą.

Tak wiele, moje uczucia... wszystko... zainwestowałam w niego. Miał bardzo silną osobowość. Zbyt silną.

John słuchał w milczeniu, spokojnie. Dlaczego opowiadała mu to wszystko?

– Bałam się. I wydawało mi się, że go kocham. A potem zginął, ale nie było ciała, więc nie mogłam uwierzyć, że naprawdę nie żyje. Był taki silny, doświadczony... był świetny w tym, co robił. Ciągle... – urwała i wzięła głęboki oddech. Ciągle nie mogę w to uwierzyć.

– Trudno w to uwierzyć, kiedy nie ma ciała. Widujemy to po różnych wypadkach, eksplozjach, katastrofach i tak dalej, kiedy ktoś ginie gdzieś daleko i nic po nim nie zostaje. Więc twoja reakcja jest zupełnie naturalna.

Meredith spojrzała na swoje leżące na kolanach ręce, splecione tak mocno, że

aż zbieleły jej kostki. Wydawało się, że nic, co powiedziała, nie zaskoczyło Johna. Był opanowany, spokojny, profesjonalny. Nic. Nawet jej bezwstydnego wyznania seksualnej obsesji. Ale wiedziała, że on ją lubi, że podoba mu się mimo tego wszystkiego. Tak, lubił ją, może nawet za bardzo.

– Zapytałam Chada... zapytałam go wprost, czy Erik mógł przeżyć.

Potrząsnął głową. A ja nadal nie mogę... nie mogę uwierzyć, że on odszedł na zawsze. To takie nierealne. To wszystko jest takie nierealne.

– Potrzebujesz czasu, żeby to zaakceptować.

– Och, teraz ty zamieniasz się w psychiatrę.

– Nie, ale widywałem już takie przypadki. To moja praca.

– Niezbyt przyjemną masz pracę.

– Też zaczynam nabierać takiego przekonania.

– Przykro mi, że zawracam ci głowę. Meredith opanowała się trochę. – Widzisz, zabrałam ci twoją ulubioną kwestię.

– Nie szkodzi.

– Wszystko w porządku?

– Nie bardzo.

To dobrze.

Chyba poczułaś się lepiej.

– Chyba tak.

– Możesz prowadzić? Szczerze mówiąc, nadal wolałbym zostawić twój samochód i...

– Mogą prowadzić.

– Na pewno?

Nie odpowiedziała, tylko otworzyła drzwiczki i wysiadła z jego samochodu. On także wysiadł i podszedł do niej.

Możemy jeszcze pogadać, kiedy wrócimy do domu – zaproponował. – Jeśli chcesz.

– Dzięki, ale chyba już się wygadałam. Umiesz słuchać, naprawdę – dodała.

John wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

– A ty naprawdę wiele przeszłaś.

Poczuła dotyk jego dłoni na swojej twarzy i pochyliła głowę w jego stronę. Tam, na tej wietrznej przełęcz, pod nisko wiszącymi chmurami, wśród ryku mijających ich ciężarówek, nagle zapragnęła pocieszenia.

Objął ją, a ona oparła głowę na jego piersi. Słyszała bicie jego serca, ciepło bijące od jego ciała. Stali tak przez chwilę. Meredith wiedziała, że John nie miał

nic przeciwko temu czysto przyjacielskiemu uściskowi. Był dobrym człowiekiem. Ciekawe, pomyślała, jak wyglądałaby ich znajomość, gdyby poznali się w innych okolicznościach. Ale przecież poznała go z powodu Erika.

Zakręciło jej się w głowie. Jak może myśleć o Johnie w taki sposób po koszmarze ostatniego tygodnia? A jednak myślała o nim, czuła jego ciepło, troskę, sympatię...

Stanowił całkowite przeciwieństwo Erika, który tak naprawdę był tylko jej kochankiem. Teraz, patrząc na to z pewnej perspektywy, wiedziała, że to, co łączyło ją z Erikiem, nie było nawet związkiem, tylko namiętnym romanssem.

Do Johna czuła coś zupełnie innego.

Rozdział 21

To był miażdżący cios. Kiedy sądziła już, że zaczyna wychodzić z mroku, kiedy zobaczyła wreszcie światło w tunelu, kiedy była już tak blisko powierzchni mętnej wody i myślała, że zaraz nabierze w płuca świeżego powietrza, jakaś dłoń bezwzględnie wepchnęła ją z powrotem w ciemny odmęt.

Debra Rosen. Robbie. Ich twarze przez całą noc pojawiały się jej przed oczami, w mglistym kalejdoskopie barwnych obrazów. Ale o poranku odnalazła w sobie siłę, wolę przetrwania. Erik zginął. Była zaślepiona miłością, głucha na wszystko inne, ale teraz, kiedy go już nie było, nadszedł czas, by ruszyć dalej. Godzina za godziną, dzień za dniem – jako psycholog wiedziała, jak przejść do kolejnego etapu swojego życia.

O szóstej wstała, umyła zęby i włożyła dres, którego nie nosiła od miesięcy. Wyciągnęła torbę, wrzuciła do niej szampon, beżowe tenisówki i czarną letnią bluzkę, którą miała zamiar włożyć, idąc do gabinetu.

Zeszła na dół zdecydowana wrócić do swojego dawnego życia. Takiego, jakim ono było, zanim poznała Erika – myślała o nim jako innej erze – wtedy pojawiała się w klubie fitness w Aspen o siódmej rano, co najmniej trzy razy w tygodniu. Teraz miała wielką ochotę znowu tam pojechać. Była tylko jedna przeszkoda – sępy czekające przed domem. Wiedziała, że pojedą za nią do miasta i będą czekać przed klubem.

John leżał na kanapie, jeszcze nie do końca rozbudzony. Podniósł głowę i przeczesał włosy palcami. Która godzina? – spytał sennie.

Wstał i zaczął parzyć kawę. Meredith przypomniała sobie poprzedni dzień i tę chwilę przy wjeździe do tunelu. Ciągle żenował ją fakt, że tak się rozkleiła. Ale czuła też wdzięczność. Wiedziała, że gdyby była na jego miejscu, nie potrafiłaby być tak cierpliwa, tolerancyjna i spokojna.

– Umyję się i zaraz będę gotowy powiedział i poszedł do łazienki.

Miał rację, pomyślała, miał rację od samego początku. Wiedział, że śmierć znanego himalaisty i saudyjskiego księcia który przez sześć miesięcy w roku mieszkał w Aspen zwróci uwagę mediów. Teraz, kiedy pojawiły się wątpliwości co do tego, czy śmierć Kemila była wynikiem wypadku, dziennikarze znowu zaczęli szaleć. Poprzedniego wieczoru, po powrocie z Boulder, John musiał przywołać do porządku młodego łowcę sensacji z „National Insider”, który czekał przed jej domem.

Kiedy wychodzili z domu o szóstej rano następnego dnia, dziennikarz ciągle

tkwił na ulicy. Podeszedł do niej szybko i podsunął jej mikrofon pod nos.

– Jak skomentuje pani plotki głoszące, że Erik Amundsson przeciął linę księcia?

– Zabieraj się pan stąd do diabła powiedział John, osłaniając Meredith.

– Jakie podłoże miał konflikt między Amundssonem i księciem?

John zatrzymał się i odwrócił.

– Ostrzegam cię, chłopcze.

Ale dziennikarz nie dawał za wygraną.

– Która z żon księcia Kemila miała romans z Erikiem Amundssonem?

John odpowiedział mu coś tonem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszała. Niskim, groźnym. Nie dosłyszała słów, ale dziennikarz natychmiast położył uszy po sobie i odszedł.

Zastanawiała się, jak dałaby sobie radę bez Johna. Pamiętała, że na początku w ogóle nie życzyła sobie jego obecności.

Przez całą drogę do miasta myślała o Johnie. W przeciwieństwie do Tony'ego dobrze radził sobie z niezbyt przyjemnymi aspektami jej osobowości. A w porównaniu z Erikiem wydawał się otwarty, niczego nie ukrywał. Wiedziała, że kiedy John wróci do swojego własnego życia, będzie go jej brakowało. A przecież będzie musiał wyjechać do Waszyngtonu albo gdzie indziej i będzie robił dla innej zbląkanej duszy to, co robi dla niej. A ona, oczywiście, zostanie tutaj.

O tak, będzie go jej brakowało. Jego spokoju, jego niewzruszonej, pewnej obecności. Parszywej kawy, którą przygotowywał, zawsze wrzucając za dużo cukru do jej filiżanki. Jego dotyku, ciepła i akceptacji. Tak bardzo różnił się od Erika, wymagającego i skupionego na sobie. Meredith wiedziała, co składa się na dobry związek – była profesjonalistką, musiała się na tym znać. I wiedziała, że to, co łączyło ją z Erikiem – a także z Tonym nie spełniało tych warunków.

Jak właściwie mogłaby nazwać to, co łączyło ją z Johnem? Przyjaźnią? Tak, zaprzyjaźnili się. A może było w tym coś więcej? Przez godzinę ćwiczyła w klubie, potem wzięła prysznic, ubrała się i wyszła. John czekał na nią na ulicy.

– Powinieneś napić się kawy czy czegoś w tym rodzaju – powiedziała.

– Nie, wszystko gra. Później się czegoś napiję. Jak ci się ćwiczyło?

Lepiej się czujesz?

– Tak odparła, idąc do swojego samochodu. – Ale zastanawiam się, co będzie dalej. To znaczy, jak długo dziennikarze będą za mną jeździć?

– Tak długo, aż ta cała historia przyschnie, jak sądzę.

– A kiedy to nastąpi? – Meredith sięgnęła do torby, szukając kluczyków.

– Nie wiem, ale zakładam, że policja będzie chciała, by Chad poddał się badaniu na wykrywaczu kłamstw. Wtedy jego prawnik poradzi mu, żeby nie wyraził na to zgody. Minie trochę czasu, ale w końcu policja będzie zmuszona przyjąć zeznania Chada i odłożyć sprawę na półkę. – Potrząsnął głową. – Szkoda, bo nigdy się nie dowiemy, co naprawdę zaszło na tej górze.

– Oni nie wierzą, że to Chad kłócił się z Kemilem? – spytała. – Uważają, że to wymyśliłam?

– Wierzą czy nie, to tylko twoje słowa przeciw słowom Chada. Nikt nie podał nam powodu tej domniemanej kłótni. Więc...

– A Erik i Kemil nie żyją, więc nie mogą zeznawać – powiedziała przygnębiona.

– Tak – zgodził się John.

– Ale to nie w porządku. Cholera, to takie niesprawiedliwe – zaczęła, ale zreflektowała się nagle. – Nie masz pojęcia, ile razy powtarzałam moim pacjentom, że życie nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością.

John zatrzymał samochód na Main Street, naprzeciw jej gabinetu. Teraz znała jego zwyczaje tak dobrze, jak swoje własne. Będzie obserwował budynek do chwili, aż pojawi się jej pierwszy pacjent, a potem, uznawszy, że jest względnie bezpieczna, pójdzie do kafejki za rogiem na kawę, kupi gazetę i wróci do samochodu, gdzie będzie siedział do lunchu. Dwa razy jadła z nim lunch. Na ogół jednak zamawiała coś na wynos i wykorzystywała tę godzinę na prace biurowe – wypełnianie formularzy ubezpieczeniowych, telefony, pisanie na komputerze. Ale od tego wypadku... od czasu, kiedy Erik... zginął, niewiele siedziała w gabinecie.

Tego ranka zaczęła od telefonów do pacjentów. Tych, którzy odwołali spotkania. Potrzebowali jej. A ona z całą pewnością potrzebowała ich.

Wystukała numer Nancy Randall i czekając przy telefonie, obracała się na fotelu i wyglądała przez osłonięte drewnianymi żaluzjami okno. Zobaczyła Johna. Wysiadał z samochodu, najwyraźniej wybierał się na kawę i po gazety. Przypomniała sobie, jak mówił coś o wyjeździe ze stanu, kiedy jego zadanie dobiegnie końca. Na pewno podobało mu się w Aspen. Może zechce tu osiąść? Wiedział o ochronie dość, by dostać pracę w jednej z miejscowych agencji. A gdyby to zrobił, czy nadal by się widywali?

– Cześć, Nancy, mówi Meredith Greene powiedziała do automatycznej sekretarki i natychmiast przestała myśleć o Johnie.

O dziewiątej trzydziści, kiedy wypełniała dokumenty ubezpieczeniowe – co było koszmarnym zajęciem – do jej drzwi zapukała Sherry, sekretarka architekta,

który miał swoją pracownię obok i poprosiła Meredith do telefonu.

– Rozmowa międzystanowa.

– Co takiego?

Wiem, dziwne, ale chcę rozmawiać z tobą, a twój telefon nie odpowiada.

– Cholera. Meredith wstała i poszła za Sherry.

Czy to znaczy, że pacjenci nie mogą oddzwonić? Czasem trzeba było czekać kilka dni, zanim zjawił się ktoś do naprawy telefonu. Cholera.

Sherry pokazała jej telefon, powiedziała, żeby wcisnąć guzik oznaczający drugą linię i zniknęła w drugim pokoju. Meredith stanęła przy telefonie, podniosła słuchawkę i wcisnęła mrugający guzik. Postanowiła, że zaraz po rozmowie zadzwoni do biura napraw.

– Słucham? – powiedziała niecierpliwie.

– Meredith.

Świat zatrzymał się nagle, lód ściał krew w jej żyłach. Jej umysł eksplodował, a zaraz potem zamarł, jakby zmienił się w kawałek drewna.

– Meredith?

Wszystko znowu zaczęło się kręcić w oszalamiającym tempie. Pod Meredith ugięły się kolana, zrobiło jej się ciemno przed oczami. Po omacku przeszła na drugą stronę biurka i opadła na krzesło.

Chciała odpowiedzieć, ale nie była w stanie wydobyć ani słowa ze ściśniętego gardła.

– Tak, to ja – powiedział głos w słuchawce. – Wszystko w porządku?

– Erik? – wykrztusiła wreszcie.

– Tak.

– Ale...

– Nie, nic nie mów. Ja będę mówił. Rozumiesz?

Erik? Czy to...

– Jest tam ktoś jeszcze?

– T... tak. Nie... W pewnym sensie.

– Nic nie mów. Tylko słuchaj. Dasz radę?

– Ja... co?

– Nie mogę ci nic powiedzieć. Nie teraz. Jestem w stanie Waszyngton.

U przyjaciela. Ale potrzebuję twojej pomocy. Rozumiesz?

Meredith oparła łokcie na biurku i włożyła głowę między dłonie. Wsłuchała się w brzmienie tego głosu. Tak, to on. Nie śniła.

– Rozumiem.

– Nic nikomu nie mów. To najważniejsze. Ani Kathy, ani Chadowi, nikomu. Potrzebuję cię, Meredith. Musisz tu przyjechać.

– Ja nie...

Nie, nie teraz. Wszystko ci powiem, ale musisz tu przyjechać. Rozumiesz?

Kiwnęła głową, ale zaraz uświadomiła sobie, że on tego nie widzi.

– Tak.

– Zapisz sobie, co masz robić. Możesz to zrobić? Więc zapisz wszystko i przyjeżdżaj. Najlepiej dzisiaj, jeśli możesz.

– Tak – powtórzyła.

Odłożyła słuchawkę i zanotowała wszystko na samoprzylepnej karteczce. Miała polecieć do Seattle, wynajmując samochód, nikomu nie mówić, dokąd się wybiera i upewnić się, że nikt jej nie śledzi.

– Dzięki, Sherry – zawołała, wstając z krzesła.

W drzwiach pojawiła się głowa Sherry.

– Nie ma za co. Coś ważnego?

– Och, wiesz, to tylko jeden z moich pacjentów. Zgubił mój numer i wpadł na taki dziwny pomysł, żeby zadzwonić tutaj – odparła i wróciła do siebie.

On żyje. Tylko o tym była w stanie myśleć. Stała w swojej poczekalni, zagubiona i oszołomiona. Żyje. On żyje. I potrzebuje jej.

Co robić? Od czego zacząć? Nie mów nikomu, tak powiedział. Czy zdoła dzisiaj dotrzeć do Seattle? Może... Tak.

Pacjenci? Ojciec? Musi wymyślić jakąś historyjkę. John... O Boże, John.

Wbiegła do gabinetu i wyjrzała na ulicę. Siedział w samochodzie. Przy otwartym oknie. Czytał gazetę.

– Dobrze, dobrze – mówiła do siebie, dysząc, jak po długim biegu.

Podeszła szybko do automatycznej sekretarki i nagrała nowe powitanie.

– Przykro mi, ale musiałam wyjechać z miasta w pilnej sprawie zawodowej ...

Potem zadzwoniła do ojca i zostawiła wiadomość na jego sekretarce – dzięki Bogu nie było go w domu.

– Muszę pomóc przyjaciółce, to nic wielkiego. Zadzwonię po powrocie. Pozdrów ode mnie Ann, jeśli do ciebie zadzwoni – powiedziała, zaskoczona, że zabrzmiało to tak zwyczajnie i wiarygodnie. A może nie?

Może drżał jej głos?

John. Jego nie zdoła nabrać. A po tym wszystkim, co dla niej zrobił... Nie, nie, pomyślała, musi się skupić na Eriku. Nie może się teraz przejmować Johnem. Erik jej potrzebuje.

Stała na środku pokoju z jedną dłonią opartą na biodrze, a drugą przyciśniętą do twarzy. Skoro nie potrafi oszukać Johna, musi uniknąć spotkania z nim.

Dobrze. Może zdoła się wymknąć z gabinetu niezauważona... Ale to mało prawdopodobne. John wydawał się zrelaksowany, wręcz rozluźniony, ale zawsze zachowywał czujność.

Taksówka. Mogłaby zejść po schodach przeciwpożarowych od tyłu i przejść przez podwórko do budynku Alpine Bank. Jej samochód będzie stał na swoim zwykłym miejscu przez cały dzień. Ale jeśli nie wyjdzie na lunch, John zacznie się martwić i na pewno wejdzie na górę sprawdzić, czy wszystko w porządku. Jednak fakt, że nie ma jej w gabinecie, nie powinien go zbytnio zaniepokoić. Pewnie dojdzie do wniosku, że nie zauważył, jak wychodziła. Mogłaby nawet zostawić mu karteczkę w drzwiach. Ale może John nabierze podejrzeń? A jeśli w końcu zadzwoni do gabinetu? Dowie się, że wyjechała z miasta.

Ale nie zrobi tego jeszcze przez kilka godzin.

W końcu postanowiła, że nie będzie się tym przejmować. Kiedy wsiądzie już do samolotu, trzeba będzie paru godzin, żeby ją wytropić. Wtedy będzie już w Seattle. W wypożyczonym samochodzie. Nie wyśledzą jej.

Uznała, że nie ma czasu, by najpierw pojechać taksówką do domu, zresztą tam na pewno czekają na nią dziennikarze. Musi jechać w tym, co ma na sobie. Nie zabierze przecież torby ze strojem gimnastycznym z samochodu. Dezodorant i szczoteczkę do zębów trzymała w malutkiej łazience w swoim gabinecie. Będzie jej to musiało wystarczyć.

Erik. Żyje. Nie była w stanie przyjąć tego do wiadomości. Chwyła szczoteczkę do zębów i wrzuciła ją do torebki. Spojrzała w lustro – włosy w nieładzie, błyszczące gorączkowo oczy, czerwone plamy na szyi i policzkach.

Omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Zdecydowała, że nie zostawi karteczki w drzwiach. Zatrzasnęła je tylko za sobą i zamknęła na klucz. Potem zbiegła po metalowych stopniach. Serce waliło jej jak młotem. Przez podwórko. Czowała pot spływający jej między piersiami. Teraz do banku. Pomachaj mu. Kto to jest? Jej serce zatrzymało się na ułamek sekundy. To Chuck, pracuje tu. W porządku. Na ulicę. Taksówka? Nie, nie tutaj. Dalej, przy Rubey Park, tam jest postój. A jeśli John... jeśli jednak wyjdzie z samochodu? Nie, nie zrobi tego. Jeśli jednak z jakiegoś powodu wyszedł?

Taksówkarz miał ochotę na pogawędkę podczas krótkiej jazdy na Sardy Field, ale Meredith odpowiadała monosylabami. Wyglądała przez okno, szukając samochodu Johna. Śmieszne.

Potem ogarnęły ją wyrzuty sumienia. To, co miała zamiar zrobić Johnowi, było niewybaczalne. Nie zasłużył na to, nie po tym, jak się wobec niej zachował. A teraz, kiedy go polubiła...

Wzięła się w garść. Później, Johnem zajmie się później.

Chwyciła mocniej pasek torebki, usiłując o nim nie myśleć. Musi się dostać do Seattle. Zobaczyć Erika, dotknąć go, uwierzyć, że on naprawdę żyje.

Udało jej się dostać bilet na lot o jedenastej dwadzieścia pięć. Wybelkotała coś o śmierci członka rodziny. Musiała być bardzo przekonująca. Błada twarz, drżący głos.

Czas przed odlotem spędziła w damskiej toalecie, na wypadek, gdyby John jednak pojechał za nią na lotnisko. To niemożliwe, powtarzała sobie, ale czekała w toalecie, na przemian kryjąc się w kabinach i poprawiając włosy przed lustrem, podczas gdy inne kobiety wchodziły i wychodziły.

Na lotnisku w Denver podeszła prosto do pracownika obsługi klientów i jeszcze raz opowiedziała swoją historyjkę o śmierci w rodzinie.

W Denver musiała czekać półtorej godziny. Nerwowo rozglądała się dookoła, szukając w tłumie ludzi Johna, chociaż wiedziała, że nie mógł tu tak szybko dotrzeć. Była na rezerwowej liście na lot o drugiej dziesięć do Seattle, ale wiedziała, że polecą tym samolotem. Wierzyła w to. Nic nie mogło jej powstrzymać.

Czy John był już pod drzwiami jej gabinetu, czyjej nieobecność już zaczęła go niepokoić? Pewnie najpierw będzie czekał, bo przed budynkiem stoi jej samochód, ale potem zadzwoni do gabinetu, do jej przyjaciół, ojca. W końcu Neil przekaze mu wiadomość. John w to nie uwierzy, oczywiście, domyśli się, że chciała go zgubić. Sprawdzi loty, sprawdzi wypożyczalnie samochodów. Dowie się, dokąd poleciała, ale jeśli będzie miała szczęście, zabierze mu to cały dzień. A kiedy dotrze już do Seattle, cóż, Północny Zachód to ogromne terytorium, John nie zdoła jej namierzyć.

Może nawet nie będzie próbował jej śledzić. Może uzna, że po przeżyciach ostatnich dni – widział w końcu, co się z nią działo w powrotnej drodze z Boulder postanowiła spędzić trochę czasu w samotności. W końcu John nie ma pojęcia, że Erik żyje.

Nie, na pewno będzie jej szukał. Był nieustępliwy. Podziwiała jego wytrwałość i musiała przyznać, że ta jego cecha przyniosła jej pewne korzyści. Co by zrobiła bez niego w ciągu tych ostatnich tygodni?

Tak, wiedziała, że będzie jej szukał. Czy jechała do Erika, bo wiedziała, że John

będzie deptał jej po piętach? Że znajdzie się przy niej, kiedy będzie go potrzebowała?

Wyobraziła sobie jego twarz w chwili, kiedy ją odnajdzie. Poczula bolesny ucisk w sercu na samą myśl o jego rozczarowaniu. Ale on przyjedzie, bez względu na wszystko. Będzie czekał. Ta myśl podniosła ją na duchu.

W samolocie podano lunch. Zjadła trochę, skubnęła suche, zawinięte w celofan ciastko. Mężczyzna po jej prawej stronie zasnął i chrapał, ten po lewej przez cały czas pracował na swoim laptopie. Siedziała między nimi i rozmyślała.

Jak Erik zdołał to przeżyć? I dlaczego, na Boga, pozwolił jej tak długo cierpieć? Dlaczego pozwolił swoim przyjaciółom i rodzinie, nawet Debrze i własnemu synowi, przejść takie piekło?

Zginął. A potem powstał z martwych.

Nagle ogarnęło ją dziwne, niepokojące uczucie. W pierwszej chwili nie wiedziała, o co chodzi. Mimo wstrząsu, który przeżyła, i ulgi, coś nie pozwalało jej odczuwać radości. Zaakceptowała jego śmierć, zaplanowała swoje dalsze życie, już bez niego, a teraz...

Skarciła się w duchu za takie myśli.

Odszukała dłonią pierścionek wiszący między piersiami, twardy i rozgrzany ciepłem jej ciała. Czy zdoła znowu pokochać Erika tak głęboką miłością? Czy po tym wszystkim ich związek będzie jeszcze taki sam, jak przedtem?

Pomyślała o Johnie, przypomniała go sobie w swoim domu, w swojej kuchni i łazience, na swojej kanapie. Pasował do tego miejsca. Nie potrafiła już wyobrazić sobie domu bez niego.

Na Sea-Tac Airport poszła do pierwszej z brzegu wypożyczalni samochodów. Wybrała srebrnego forda neona, samochód najmniej rzucający się w oczy ze wszystkich, które tam stały. O czwartej po południu miejscowego czasu wyjechała z lotniska, kierując się podanymi przez Erika wskazówkami. Spoconymi rękami ścisnęła kierownicę.

Skręciła w drogę numer 7, biegnącą wśród łąk i pól uprawnych. Po żółknących pod koniec lata lasach Kolorado wydawały się bardzo zielone. Nisko nad ziemią wisiały chmury, dzień był ciepły, ale szary. Widziała wznoszącą się dalej Mount Rainier, ciemnozieloną, pokrytą modrzewiowymi lasami. Ośnieżone szczyty ginęły w chmurach.

Elbe, napisała na karteczce. Nazwa miasteczka, które znajdowało się najbliżej miejsca, w którym ukrywał się Erik. Obok znajdowały się też wskazówki dotyczące tego, co powinna zrobić, kiedy minie Elbe. Zapyłona droga prowadziła

w stronę Mount Rainier.

Opanowała emocje, powstrzymała myśli, zupełnie, jakby zatrzymała kasetę wideo w zwrotnym punkcie akcji jakiegoś filmu. Aktorzy znieruchomieli z zastygłymi twarzami, niezdolni wykonać żadnego ruchu.

Erik jej potrzebuje.

Odnalazła wiejską drogę, którą miała jechać, opuszczony sad i powalone ogrodzenie na rogu. Skręciła, czując, jak koła samochodu ślizgają się w błocie, które zostało tam po ostatnim deszczu.

Po obu stronach rosły wysokie świerki, rzucając na drogę głęboki cień. Ostatni zakręt, samochód podskakiwał na wybojach, rozbryzgując błotnistą wodę. Wtedy jej oczom ukazała się chata, dokładnie taka, jak opisywał Erik. Niewielka, drewniana, z kominem i gankiem, na który prowadziły dwa schodki. Ukryta w cieniu gęstego lasu.

Był tam, stał na ganku. Meredith straciła z oczu cały świat z wyjątkiem wysokiego, jasnowłosego mężczyzny, który na nią czekał.

Rozdział 22

Nie mogła sobie później przypomnieć, jak zatrzymała samochód, otworzyła drzwiczki i wysiadła. Ani tego, jak Erik ruszył w jej stronę. Po prostu nagle znalazł się przy niej, przez krótką chwilę patrzył jej w twarz, a potem wziął ją w ramiona.

Przylgnęła do niego, odpychając od siebie wszelkie wątpliwości, usiłując przekonać samą siebie, że złe przeczucie, które ją nagle ogarnęło, wzięło się ze strachu, że Erik nagle rozplynie się w powietrzu.

Powtarzał jej imię i całował ją namiętnie. Jej ciało reagowało na jego dotyk, ale umysł zdawał się należeć do kogoś innego, jakby obserwowała jakąś obcą kobietę, która dotyka jego twarzy i oddaje jego pocałunki.

Czy to naprawdę ty? – wyjąkała z ustami przy jego wargach. – Dlaczego, dlaczego pozwoliłeś nam wszystkim sądzić, że zginąłeś?

– Tak, to ja. Boże, tęskniłem za tobą, Meredith.

Przyciągnął ją do siebie.

– Wiesz, jak się czułam, myśląc, że nie żyjesz?

Musiałem ci pozwolić w to wierzyć. Myślisz, że mnie to bawiło?

To już nie wróci – powiedziała właściwie do siebie samej. Nagle zrozumiała, że już nigdy nie będzie w stanie kochać się z tym mężczyzną. Już nie.

To może wrócić. Znów będzie tak jak kiedyś – powiedział. Meredith wysunęła się z jego objęć i spojrzała w ukochaną twarz, poznaczoną teraz brzdami cierpienia.

– Opowiedz mi wszystko.

– Zaraz. Chodź tutaj.

Potrząsnęła głową.

– W porządku powiedział. – W porządku, ale w środku. Jesteś przemarznięta. Cała drżysz.

Uśmiechnęła się słabo. Tak, było jej zimno, tak, drżała. Ale obejmujące ją ręce były ciepłe, jak zawsze.

Razem ruszyli w stronę chaty. Meredith miała wrażenie, że nie jest w stanie oddychać. Przez chwilę bała się, że kiedy zamkną się za nimi te drzwi, nie będzie umiała mu się oprzeć. On zobaczy jej wahanie. Będzie zgubiona.

Nie, nie, pomyślała. Dasz radę. Co kazała jej powtarzać Sandra? Jak to szło?

Erik otworzył drzwi i puścił ją przodem. Boże, a gdyby te ostatnie tygodnie były tylko złym snem? Gdyby nigdy nie poznała Johna? Mogłaby wtedy... „Nikt nie może mną zawładnąć”, przypomniała sobie i zaczęła rozpaczliwie powtarzać te

słowa w myślach.

Wnętrze było bardzo rustykalne, nawet jak na górską chatę. W mdłym świetle jednej lampy stojącej przy kanapie dostrzegła mieszczącą się w rogu kuchnię – wąski kredens, suszarkę do naczyń przy zlewie, małą gazową kuchenkę, lodówkę. Po drugiej stronie znajdował się żeliwny okrągły piecyk, pod którym leżał popiół. Drewniana podłoga, stary pleciony dywanik leżący na środku. Kanapa, z rzuconym na nią śpiworem. Ścięty pień drzewa służący jako stolik. Na kołku przy drzwiach wisiała jedna z kurtek Erika i kraciasta koszula, którą rozpoznała. Pod spodem stał plecak. Worka nigdzie nie było widać. Oczywiście, uświadomiła sobie, został przysłany do Stanów z Talkeetna, gdzie Erik zostawił go przed wspinaczką. Przed swoją śmiercią.

Ale on nie umarł.

Podniosła na niego wzrok.

– Co się tam stało?

Spojrzał na nią z powagą, uważnie.

– Powiedz mi, do cholery! Powiedz mi!

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem westchnął głęboko.

– Powiem ci wszystko. Obiecuję. Ale najpierw muszę wiedzieć, co mówił Chad.

– W porządku odparła. – W porządku.

Powtórzyła mu wersję Chada, pominęła tylko szczegóły ataku szczytowego i burzę, bo to oczywiście wiedział. Potem doszła do wypadku, domniemanego wypadku, i urwała. Coś kazało jej umilknąć, zaczekać na reakcję Erika, zanim wyjawি mu wszystko.

– Co Chad mówił o Kemilu?

– Powiedział, że Kemil wpadł do szczeliny w czasie burzy, a on pomógł ci do niego zejść.

– I?

– Chad twierdzi, że go puściłeś. Dlatego, że kłóciliście się o znajomych Kemila z Pakistanu.

– Jezu – mruknął Erik i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju.

– Powiedział też, że dostawiałeś się do jednej z żon Kemila.

Erik zatrzymał się i odwrócił gwałtownie.

– Chad, ten tchórz – wybuchnął. – Opowiedział te bzdury policji?

– Tak.

Twarz Erika przybrała barwę popiołu leżącego pod piecykiem. Zaklął.

– Więc – podjęła Meredith. – Co się tam naprawdę stało?

Znowu zaczął chodzić, tam i z powrotem, jak zamknięte w klatce zwierzę. Zobaczyła, że utyka i prawie nie porusza jednym ramieniem. Był ranny, a ona nawet tego nie zauważyła.

– Erik, proszę. Muszę znać prawdę.

– Prawda. Pieprzona prawda.

– Powiedz mi.

– Nie wiem, od czego zacząć – rzucił oschle.

– Zaczynaj od początku.

– Od początku. – Podeszedł do krzesła i usiadł na nim ostrożnie, wyciągając przed siebie jedną nogę. – Pieprzony Chad – mruknął ze złością.

– Nie myśl o nim.

Ona też usiadła, ale na brzegu kanapy, odsuwając na bok błękitny śpiwór. Położyła dłonie na kolanach i spojrzała na Erika.

– Dobrze już, dobrze – powiedział. – W dniu, kiedy ruszyliśmy na szczyt... Diabli by wzięli tego Chada.

Trwało to trochę. Wyciąganie z Erika jego historii przypominało wrywanie zęba. Ale Meredith była w tym dobra. Umiała wyciągać z ludzi rzeczy, do których nie chcieli się przyznać. To była jej praca.

– Weszliśmy na szczyt i wiedzieliśmy, że musimy się spieszyć – powiedział.

– Burza? – ponagliła go.

– Tak, tak, burza. Widzieliśmy, jak nadciąga. Ale sądziliśmy, że mamy czas.

– I?

Po prostu nadciągnęła szybciej, niż się spodziewaliśmy. Tam na górze strasznie wiało, ledwo trzymaliśmy się na nogach. Byliśmy tam tylko kilka minut, potem zaraz zaczęliśmy schodzić. Gdybyśmy zdołali zejść poniżej przełęczy Denali, wszystko byłoby w porządku. To nie było daleko, mieliśmy czas. Wszyscy byliśmy w dobrej formie.

– I?

– Byliśmy związani liną, ja szedłem pierwszy, potem Kemil, szło mu całkiem dobrze, ale, Chryste, ta cholerna burza nadciągnęła tak szybko, akurat kiedy byliśmy na przełęczy. Nic nie było widać. Śnieg uderzał nam w twarz jak tysiące igieł. Cóż, byłem tam już wcześniej. Tak samo jak... – urwał i zmarszczył brwi. – Tak samo jak Chad. Kemil musiał polegać na nas, ale był dobry. Ciągłe miał dość sił.

– I?

Potarł dłonią brodę.

– Prawie nie słyszeliśmy się nawzajem, po prostu szliśmy przed siebie, krok za krokiem, bardzo ostrożnie. Wiatr wypełniał śniegiem szczeliny na krawędziach, wystarczyłby jeden fałszywy krok, żeby polecieć.

Ale oczywiście byliśmy związani razem liną. – Urwał znowu i zamyślił się, przywołując tamte chwile.

– Erik? Co się potem stało? – ponagliła go.

Na jego twarzy pojawił się wyraz odrazy.

– Nie mogę w to uwierzyć, nawet teraz... Poczulem, że lina się napręży, zatrzymałem się więc i odwróciłem. To było jak zły sen. Kemil i Chad zaczęli się bić. Wiatr wiał z taką siłą, że przez chwilę w ogóle ich nie widziałem. Pomyślałem, że mam halucynacje, ale zaraz znowu ich zobaczyłem. Bili się, na przełęcz Denali, w szalejącej śnieżycy. – Spojrzał jej w oczy i potrząsnął głową. – Zawróciłem. Był tam tylko Chad. Poszedłem za liną do krawędzi. Kemil spadł, wiedziałem o tym. Ale ciągle wisiał na linie. Chad nie chciał go zepchnąć, tego jestem pewny. Zacząłem na niego krzyczeć: „Co ty wyprawiasz? Co ty wyprawiasz?” Ale nie dosłyszałem jego odpowiedzi. Pamiętam, że położyłem się i spojrzałem w dół. Wiatr ustał na chwilę. Zobaczyłem Kemila, zahaczył się czekanem i wisiał tam. Nie wiem, czy mnie widział, ale ja wiedziałem, że długo tak nie wytrzyma. Gdyby spadł, pociągnąłby za sobą nas obu. Wiedzieliśmy, co robić. Nie musieliśmy o tym rozmawiać. Chad mnie ubezpieczał, wbił w lód dwa haki i popuszczał linę, kiedy schodziłem do Kemila. Znowu zaczęło wiać, wisiałem tam i kołysałem się tam i z powrotem, ale wytrzymałem. Byłem już prawie przy Kemilu. Spojrzał na mnie. Widziałem, jak na mnie patrzy. Próbował się uśmiechnąć. Wiedziałem, że mogę go uratować. Ale ta burza... Nie mogliśmy rozmawiać. Chryste, Meredith...

– Mów dalej.

– Nie mogę o tym nawet myśleć, a co dopiero mówić.

– Musisz mi to powiedzieć.

Zaklął.

– Powiedz mi.

– Pociągnąłem za linę, potrzebowałem więcej luzu, żeby dotrzeć do Kemila i wtedy... – urwał, a jego oczy zaszyły mgłą. – I wtedy, nie mogę w to uwierzyć, ciągle nie mogę w to uwierzyć, wydawało mi się, że wzrok płata mi jakieś koszmarnie figle, śnieg uderzał mi prosto w twarz. Poczulem, że lina się obluzowuje, ale za bardzo, zdecydowanie za bardzo, spadała w dół jak wąż,

jaskrawożółta na tle bieli. Ciągle mam ją przed oczami. – Przerwał i potarł palcami powieki. – Spojrzałem w górę i zrozumiałem, co zrobił Chad. Wiedziałem, co zrobił, ale nie mogłem w to uwierzyć. Odpiął linę, zdjął ją z haków i przerzucił przez krawędź. Zostawił nas, bez możliwości wspięcia się z powrotem na górę. Odpiął linę.

– Chad chciał... was zabić?

Spojrzał na nią błękitnymi, chłodnymi oczami.

– Dokładnie tak.

– Ale on...

– Tak, zastanawiałem się, co ci powiedział, co powiedział wszystkim.

Powinienem być się domyślić.

– Jak udało ci się stamtąd wydostać?

– Spróbowałem zbliżyć się bardziej do Kemila. Ciągle byliśmy spięci liną, pomyślałem więc, że zdołamy zejść w dół, miałem przy pasku kilka haków. W innych okolicznościach może by nam się udało, ale nie w tej burzy, przy takim wietrze. Po pewnym czasie, nie wiem, jak długo to trwało, Kemil spojrzał na mnie, Boże, widziałem, że porusza wargami, powiedział coś, czego nie dosłyszałem. Zobaczyłem, jak czekan wyslizguje się z jego dłoni. Spadł, po prostu nagle zniknął. Lina przeleciała przez mój karabińczyk i to był koniec. Już było po nim. – Erik umilkł i podjął po chwili: – Trzymałem się tak długo, jak się dało. Zszedłem kilkaset metrów w dół. Miałem czekan, ale nie miałem liny, więc nie mogłem się zaczepić. Wtedy byłem już bardzo przemarznięty i zmęczony. Spadłem. Nie pamiętam tego, ale spadłem. Obudziłem się później, nie wiem, ile czasu byłem nieprzytomny. Zatrzymałem się w bardzo wąskiej szczelinie, to uratowało mi życie. Miałem zwichnięte kolano i ramię, ale było tak zimno, że nie czułem bólu. Potem nadszedł świt, poszedłem tam, gdzie nie było już tak stromo, na północ. Schodziłem i schodziłem. Po prostu szedłem w dół. Chryste, nie wiem, ile godzin. W końcu dotarłem do doliny i natrafiłem na chatę. Pamiętam tych ludzi, małżeństwo, które tam mieszkało... Obudziłem się. Powiedzieli, że minęły trzy dni. Trzy dni.

Nic nie pamiętałem. Nie, przepraszam, pamiętałem twarz Chada i spadającą linę. I wyraz twarzy Kemila, kiedy zrozumiał, że dłużej nie zdoła się utrzymać. Cholera, Meredith, ciągle nie potrafię w to uwierzyć. Chad to mój najlepszy przyjaciel. Tyle razy ratowaliśmy się nawzajem. Muszę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, zanim się z nim zobaczę. Muszę to zrozumieć. Dlatego tak cię potrzebuję. Rozumiesz to, Meredith, prawda? Musiałaś mi powiedzieć, co mówił

Chad. Patrzyła na niego spokojnie.

– Oczywiście.

– Nie wiem, komu ufać. Poza tobą. Tobie mogę ufać. Muszę wiedzieć, co teraz zrobić.

– To wspaniała historia, Erik – powiedziała Meredith, patrzyła na niego przez chwilę bez słowa, po czym wzięła głęboki oddech. – Naprawdę świetna. Jest tylko jeden problem. Lina Kemila nie przeleciała przez twój karabińczyk. Została przecięta. Przecięta nożem. A teraz może opowiesz mi, co się tam naprawdę wydarzyło?

Na twarzy Erika najpierw odmalowało się niedowierzanie, potem zdumienie, strach i w końcu gniew. Zimna furia. Widywała już u niego to spojrzenie. Patrzył tak na innych, nigdy na nią. Serce zaczęło jej bić szybciej. Jeśli to on zamordował Kemila, czy może znowu zabić? Zapadła cisza. Meredith słyszała tylko krople spadające z ciekącego kranu, szybko, w rytmie uderzeń jej serca. Coraz głośniej. I widziała wyraz oczu Erika.

Milczenie przeciągało się, serce Meredith biło coraz szybciej. W końcu Erik westchnął i poruszył się na swoim krześle.

– Więc wiesz, że lina została przecięta. Co chcesz, żebym ci powiedział? Co mogę ci powiedzieć?

– Prawdę.

– Tak po prostu. Tylko prawdę?

– Tak. Koniec kłamstw. Rzeczywiście coś cię łączyło z terrorystami, których znał Kemil? Miałeś romans z jedną z jego żon? Zrobiłeś to? Przeciąłeś linę?

Podniósł głowę, spojrzał na nią i zaśmiał się głucho, z goryczą.

– Chad naprawdę powiedział, że miałem romans z żoną Kemila? Bardzo dobre, sprytne. Nigdy nie widziałem na oczy żadnej z żon Kemila.

Ale kto się o tym dowie, skoro obaj – Kemil i ja już nie żyjemy? A te bzdury o terrorystach? Owszem, wiedziałem, że jesteśmy pod obserwacją, że rząd ma na nas oko. Ilekroć opuszczaliśmy kraj, sprawdzali nas dokładnie i przeszukiwali po powrocie. Zawsze. Żartowaliśmy z tego wszyscy. To było zabawne. Z trudem wstał z krzesła. Jego niemal boska doskonałość zniknęła. Meredith bolał ten widok. Erik, utykając, podszedł do okna, potem wrócił i stanął w świetle lampy. – Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że jedno z dzieci Kathy ma białaczkę?

– Tak, Brit. Teraz jest już dobrze i...

– Zawsze chodziło tylko o Kathy – machnął gwałtownie ręką. Meredith drgnęła nerwowo. – Zawsze. Kathy nie miała ubezpieczenia. Była zrozpaczona. Brit

potrzebowała transplantacji szpiku, a były mąż Kathy nie miał zamiaru jej pomóc. Chad dał Kathy trochę pieniędzy, ale nie miał ich wiele. Ja też chciałem jej pomóc, ale nie miałem takich możliwości finansowych. Więc Kathy okradła Kemila. Jak to się mówi? Sfałszowała księgi? Przez trzy lata Kemil niczego nie zauważył. Potem odkrył to. Wiosną. Powiedział, że nie zgłosi tego policji, jeśli Kathy odda pieniądze. Starła się o pożyczkę, ale nie dostała jej. Chciała sprzedać dom, ale hipoteka była zadłużona. Jej były, ten sukinsyn, nie kiwnął nawet palcem. Nie miała się do kogo zwrócić. Poprosiła Chada o pomoc.

Poszedł do Kemila i próbował go przebłagać, ale nic nie wskórał.

Oczywiście, ta gwałtowna wymiana zdań, której była świadkiem.

– A potem Chad przyszedł do mnie.

Meredith czekała.

Erik spojrzał jej w twarz. Jego oczy były zimne i twarde jak marmur.

– Naprawdę sądzisz, że Chad miałby dość odwagi i zimnej krwi, żeby przeciąć linę Kemila?

Nagle wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Chad we wszystkim polegał na Eriku. To Erik próbował odpiąć linę od ciała Kemila – linę, która była dowodem – i wtedy sam spadł. Boże, Chad mówił prawdę. Meredith ukryła twarz w dłoniach.

– To nie było trudne usłyszała głos Erika, spokojny i obojętny. – Wypadki ciągle się zdarzają. W końcu większość himalaistów, jeśli nie przestaną się wspinać, ginie w górach. Kemil ryzykował. Ja ryzykuję. Co za różnica?

Różnica? Różnica między wypadkiem a rozmyślnym zabójstwem.

– Nie – potrząsnęła głową. – Nie. Ty tak nie myślisz.

– Owszem, tak właśnie myślę. Widziałem... widziałem wiele śmierci.

Zbyt wiele.

– Nie jesteś tak bezwzględny. Nie jesteś – upierała się.

Zaśmiał się gorzko.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś... mordercą. Nie mogę.

Może nie jestem. Życie Kemila i tak wisiało na włosku. Rozumiesz to, prawda? Ledwo się trzymał. Mogło mi się nie udać uratować mu życia. Więc można powiedzieć, że tylko nieco przyspieszyłem bieg zdarzeń. Morderstwo? Ryc może. Ale prawdziwym mordercą jest ta góra.

Każda góra. Zawsze. Zrobiłem to dla Kathy, i Brit, i Timmy'ego. Dla Chada. Góra mi pomogła. Meredith spojrzała na niego ostro.

– Czy Chad zrobił coś, żebyś odpadł? Czy on...

– Nie. On nie miał z tym nic wspólnego. Bałem się, że ciało Kemila zostanie odnalezione, a wraz z nim ta nieszczęsna lina. Więc postanowiłem zejść na dół i usunąć potencjalny dowód. Ale, moja droga Meredith, góra miała inne plany. Kiedy dotarłem do Kemila, moja lina wyslizgnęła się z karabińczyka. Już nie byłem spięty z Chadem. Drobny błąd w kalkulacjach. Możesz to nazwać przeznaczeniem. Nie miałem czasu odpiąć liny Kemila, bo zacząłem zjeżdżać w dół. Spadłem. Powinienem był zginąć wraz z Kemilem. Resztę już znasz.

Minuty ciągnęły się nieznośnie powoli. Milczeli oboje. Meredith siedziała na brzegu kanapy, usiłując pojąć znaczenie słów Erika. To góra zabiła Kemila, Erik po prostu przyspieszył to, co i tak było nieuniknione.

Odetchnęła głęboko, wciągając do płuc wilgotne powietrze.

– Powiedz, że mi przebaczasz – przerwał milczenie Erik, cichym, gardłowym głosem.

– Nie wiem – odparła powoli.

– Ty zawsze wiesz, Meredith.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– A Bridget? I ci ludzie na Aconcagui? Czy zginęli z twojego powodu?

– Zginęli, bo taka jest natura wspinaczki.

– Więc ty nie poczuwasz się do odpowiedzialności?

– Musiałem się jakoś uporać z poczuciem odpowiedzialności.

– I?

– To wszystko.

Najwyraźniej nie czuł się winny. Ale wiedziała przecież, że tak będzie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógł powiedzieć: „Nie, nie będę waszym przewodnikiem, bo w pewnych okolicznościach ta góra może was zabić”. Erik wierzył w wolną wolę. Jeśli chcieli wspiąć się na jakiś szczyt, jeśli trenowali i spełniali wymagania, nie odczuwał wyrzutów sumienia, jeśli tylko wykonywał swoją pracę, najlepiej jak potrafił.

I Kemil. Erik bez wątplenia wierzył, że tak naprawdę to góra odebrała mu życie.

I to był człowiek, którego jak jej się wydawało kochała. Człowiek, który, nawet teraz, po tym wszystkim, co wycierpiał, po tym, co ona wycierpiała, ciągle był jej obcy.

Spojrzała na niego. Musiała to wiedzieć.

– Czy kiedykolwiek naprawdę mnie kochałeś?

Nie wahał się.

– Tak. Nadal cię kocham. Wierzysz mi, prawda? Teraz, kiedy już wyznałem ci prawdę? Żeby ci udowodnić, jak bardzo cię kocham, powiem ci coś jeszcze. Mam syna, Meredith. Jego matka i ja...

Wiem o Debrze i Robbiem – przerwała mu.

– Och. Rozumiem.

– Pojechałam do Boulder. Widziałam się z nią. Rozmawiałyśmy.

– Kto ci o nich powiedział?

– Chad.

– Sukinsyn – powiedział, ale bez złości.

– Powiedziała, że wiedziała o mnie, że nigdy nie byłeś jej wierny, i że mnie też nie byłbyś wierny.

– Nigdy nie poprosiłem Debry, żeby za mnie wyszła. – Z wysiłkiem ukląkł przed Meredith i wziął jej twarz w obie dłonie. – Prawda?

– Tak – wyszeptała.

Ale czuła się odrętwiała, pusta, wypalona. Nagle ogarnęło ją zmęczenie, spowodowane trudami tego dnia, niepokojem, tym, co usłyszała. Prawdę. Prawdę, której tak niestrudzenie szukała, a poznała dopiero teraz.

Nabrała powietrza w płuca i odsunęła się szybko. Była uzależniona, opętana, ślepa na wszystko poza gonitwą za czysto fizyczną przyjemnością. Nie chciała myśleć o tym, że Edkowi brakuje kręgosłupa moralnego, nawet wtedy, kiedy wyraźnie czuła, że coś jest nie tak. Poszła do Sandry, ale nic nie mogło jej powstrzymać ani uleczyć. Aż do tej chwili. Aż do jego wyznania.

Była upokorzona, ale odczuwała też pewne zadowolenie na myśl o tym, że przeszła przez ogień, który nie zniszczył jej, lecz wzmocnił. Nagle zatęskniła za Johnem, za jego obecnością, opanowaniem, umiejętnością odróżniania dobra od zła. On wiedziałby, co zrobić w takiej sytuacji. On zawsze wiedział, co robić. Bez niego czuła się zagubiona.

– Co teraz będzie? – usłyszała swój własny głos. – Co się z tobą stanie? Z Chadem i Kathy?

I ze mną, dodała w myślach.

Rozdział 23

Rozmawiali wiele godzin, a potem siedzieli w milczeniu naprzeciw siebie, dwoje ludzi w czterech ścianach drewnianej chaty, podczas gdy na zewnątrz powoli zapadał zmierzch.

Znad Pacyfiku nadciągały mgły, otulając drzewa, paprocie i mchy, podpływając miękko pod okna chaty, tłumiąc dźwięki. W końcu zapadła noc, czarna jak atrament. Gwiazdy, jedna po drugiej, także ginęły we mgle.

Cisza przedłużała się i pogłębiała.

Pragnę cię – powiedział w końcu Erik.

Nie odpowiedziała. Patrzyła w ciemność i czuła równy rytm swojego serca. Wiedziała, że do końca życia będzie pamiętać tę chatę i Erika. I wodę kapiącą monotonnie z kuchennego kranu, i zapach wilgotnego popiołu.

– Meredith?

– Myślisz – powiedziała – że bylibyśmy szczęśliwi?

– Byliśmy szczęśliwi. Jesteśmy szczęśliwi.

– Naprawdę? Czy mogłabym być szczęśliwa, w ogóle cię nie znając?

– Byliśmy szczęśliwi. Poprosiłem cię, żebyś za mnie wyszła.

– Nie o to mi chodzi. Nie znałam cię, tak naprawdę wcale cię nie znałam, a nie znając cię...

– Byliśmy szczęśliwi – powtórzył z uporem.

Meredith oderwała wzrok od okna i spojrzała mu w oczy. Aż do tej chwili sądziła, że nie może polegać na własnych ocenach, nie wie, kim jest i dokąd zmierza. Ale teraz zrozumiała, że nie zablądziła, tylko odkryła nowy aspekt swojej osobowości, który ją przeraził, ponieważ był inny i obcy. Ale był tylko jednym z wielu aspektów. Zawierał w sobie potencjał i dobra, i zła – w zależności od tego, jak ona go wykorzysta. Erik wyzwolił ją pod wieloma względami i wiedziała, że zawsze będzie mu za to wdzięczna.

Chciała powiedzieć Johnowi, czego się dowiedziała o sobie samej. Chciała mu to wszystko wyjaśnić. Czy będzie w stanie ją zrozumieć?

Wzdrygnęła się na wspomnienie chwili, kiedy tak bezwstydnie wyznała mu swoją seksualną obsesję na punkcie Erika. Ale on, nawet wtedy, traktował ją z szacunkiem. Z troską.

Gdzie jest teraz John? Czy już ją odnalazł? Potrzebowała go.

– Wiesz powiedziała. – Na początku strasznie się bałam. Wydawało mi się, że utraciłam swoje ja. Wydawało mi się, że całkowicie mną zawładnąłeś, moim

ciałem i duszą.

Erik uśmiechnął się w ciemności.

Ale byłam w błędzie. To byłam ja, cały czas. Nawet tej pierwszej nocy, u ciebie. Nie potrząsnęła głową jeszcze przedtem. Na pogrzebie Bridget. To ja wysyłałam sygnały, prawda?

Tak.

– Już wtedy? Czy już wtedy mogłam cię pragnąć? Byłam pewna, że cię nienawidzę.

– Pragnęłaś czegoś. Może pragnęłaś, żeby ktoś cię wyzwolił.

– Może... Tak. Ale nie ktokolwiek.

Erik pokręcił głową.

– Meredith, to nie tak, że dla jednej kobiety jest na świecie tylko jeden jedyny mężczyzna. Coś takiego nie istnieje. Byłaś gotowa. Może tylko dojście do tego punktu zabrało ci więcej czasu niż innym.

– Zawsze będę wierzyć, że to byłeś ty.

Czy Erik naprawdę ją kochał? Czy zakochał się w niej? A może szukał tylko swojego wyobrażenia o niej. Doszła do wniosku, że to już nie ma znaczenia.

Jeszcze raz spróbował ją nakłonić, żeby się z nim kochała. Nie mogła.

– Przykro mi – powiedziała, wyciągając do niego rękę. – Tak mi przykro, Erik, ale dałam ci już wszystko, co miałam do zaoferowania. Nic już nie zostało.

– Rozumiem – powiedział, ale ona wiedziała, że nie był w stanie tego zrozumieć.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, a potem Erik spakował swoje rzeczy do plecaka i stanął w otwartych drzwiach.

– Pocałujesz mnie? – zapytał.

Pocałowała go w szaroperłowym świetle świtu, przytuliła się do niego, wdychając jego zapach, myśląc ze smutkiem o człowieku, jakim mógłby być.

– Żegnaj, Meredith, moja miłości – powiedział.

Patrzyła, jak szedł drogą tak długo, aż zniknął we mgle.

– Żegnaj – wyszeptała.

Rano zaczął padać deszcz, monotony i szary. Wierzchołki gór ginęły w chmurach.

Jechała na lotnisko w tej ulewie i miała wrażenie, że ostatnie dwadzieścia cztery godziny były snem. Niedługo będzie w domu. Wiedziała, że wtedy wszystko to wyda jej się jeszcze bardziej nierealne. Wszystko, poza, być może, tamtą chatą, kroplami wody kapiącymi z kranu, zapachem sosny i popiołu, i błękitnymi oczami

Erika. Jego nieobecny spojrzeniem. Był wikingiem wpatrującym się w horyzont, rzucającym wyzwanie niebezpieczeństwom.

John znalazł ją w wypożyczalni samochodów. Siedziała na ławce i czekała na bus z lotniska. Krople deszczu spływały jej z włosów na ramiona.

W pierwszej chwili go nie zauważyła. Nie zauważała też deszczu ani nasiąkniętego wodą ubrania. Patrzyła na otulone mgłą góry otaczające Puget Sound i myślała, że już nigdy nie zobaczy szczytu żadnej góry.

– Jezu, Meredith – usłyszała i z wysiłkiem podniosła głowę.

– Masz, włóż to – John narzucił jej płaszcz przeciwdeszczowy.

– Znalazłeś mnie – powiedziała głucho.

– Gdzie ty, do diabła, byłaś? – Stał nad nią w strugach deszczu i rozcierał jej ramiona. – Sprawdziliśmy linie lotnicze, a potem wypożyczalnie samochodów.

Był tu, tak jak się spodziewała. Znalazł ją. Czowała, że teraz może sobie odpuścić, poddać się zmęczeniu. Pochyliła się i oparła czoło o jego pierś.

– Meredith?

– Jestem taka zmęczona – wyszeptała.

Objął ją ramieniem i lekko przyciągnął do siebie.

– Widziałaś się z nim.

– Tak. – Zamknęła oczy i odetchnęła zapachem mokrej wełny, krochmalu z jego koszuli i zapachem Johna. Westchnęła.

– Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową.

Obejmował ją, delikatnie głaszcząc plecy.

– Wiedziałam, że tu przylecisz – powiedziała.

– Ale czy chciałaś, żebym tu był?

– Tak, o tak.

– To, co zrobiłaś, było szalone, niebezpieczne.

– Musiałam to zrobić.

Nie odpowiedział.

– Nie znajdziesz go – powiedziała.

Nie mogła powiedzieć Johnowi prawdy. Jeszcze nie. Musiała dać Erikowi czas. Na szczęście John nie nalegał. Podjął temat dopiero, kiedy siedzieli już w samolocie do Kolorado.

Chcę, żebyś mi teraz powiedziała. Meredith, owinięta w koc, opierała głowę o szybę okna.

– Powiem ci. Powiem ci wszystko. Chodziło o coś zupełnie innego, niż sądziłeś

– zaczęła. – Nie dotyczyło to wcale Kemila ani terrorystów, z którymi się przyjaźnił, ani nic w tym rodzaju.

– Mów dalej – powiedział.

Jego głos brzmiał tak znajomo. Ufała mu.

Opowiedziała mu wszystko. O białaczce Brit, o oszustwie Kathy Fry, o Chadzie, który chciał pomóc siostrze i prosił Kemila, żeby dał jej czas na spłatę skradzionych pieniędzy. A potem zaczęła mówić o Eriku.

– W końcu jednak – powiedziała – Erik przejął inicjatywę. To on przeciął linę Kemila. Nie Chad. – Potrząsnęła głową. – Nie wierzyłam, kiedy Chad powiedział policji, że zrobił to Erik, ale mówił prawdę. Chad nie byłby w stanie tego zrobić, był zbyt słaby psychicznie. Powinnam była to wiedzieć. Brakowało tylko motywu. Spojrzała na Johna. – A motywem były pieniądze.

– My wszyscy w departamencie mieliśmy chyba bielmo na oczach – powiedział John w zamyśleniu.

– Myliliśmy się. Wszyscy. Ty, ja...

– Na to wygląda.

– Co teraz będzie z Kathy?

– Nie wiem. Zdecyduje o tym rodzina księcia, jak sądzę. Gdyby chcieli pozwać ją do sądu, mogą to zrobić, rzecz jasna.

– Ale może będą chcieli uniknąć rozgłosu. Chyba mają dość, po tym, co już przeszli.

– Tak – zgodził się John. – Zwłaszcza że oznaczałoby to ujawnienie całemu światu tajemnic księgowości księcia Kemila.

– A Chad? To znaczy... – Zmarszczyła brwi. – Czy mogą go oskarżyć? Na przykład o współudział?

– Wątpię – odparł John. – Jeśli to nie Chad przeciął linę, to mógł nawet nie wiedzieć, co planuje Erik. Tak czy inaczej, pewnie tak właśnie będzie twierdził. – Urwał na moment. – No dobrze – podjął łagodnie. – Więc gdzie jest Amundsson? Meredith?

Meredith otuliła się szczelniej kocem i spojrzała w okno. Nagle zapragnęła o tym pomyśleć. Zapamiętać wszystko. Podzielić się tym z Johnem.

– Wyjeżdżam o świcie – powiedział Erik. Światło lampy migotało w jego włosach. Patrzył na nią. Czekał. Czy sądził, że będzie próbowała go powstrzymać? Albo że wezwie policję? – Pamiętasz – ciągnął – tę samotną wspinaczkę, którą od dawna planowałem? Dużo rozmawiałem o tym z Chadem. Nawet Kemil... – Jego twarz pociemniała. – Ale to już bez znaczenia. Tirich Mir w Hindukuszu.

– Mój Boże – wyszeptła.

– O tak. To piękna góra. Marzenie każdego himalaisty.

Długo szukała słów. Potem powiedziała szeptem:

– Ale mówiłeś... mówiłeś... że to samobójstwo. Erik, nie możesz tego zrobić. Nie możesz!

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko lekko kącikiem ust, patrząc gdzieś w przestrzeń. On już tam był, na tej górze. Woda nieprzerwanie kapała z kranu. Meredith poczuła na swojej skórze pierwszy powiew zimnego poranka.

– Proszę – podjęła. – Na pewno jest jakiś inny sposób. Erik, proszę.

Roześmiał się nagle.

– Nie znasz mnie? Nie wiesz, że całym sobą pragnę tej wspinaczki?

Proszę cię tylko o to, żebyś dała mi czas. Pozwól mi odejść, zanim powiesz cokolwiek policji. Zrobisz to dla mnie, moja miłości?

Woda kapała, serce Meredith biło jej rytmem, chatę otulała gęsta mgła.

– Masz jeszcze ten pierścionek? – zapytał Erik.

– Oczywiście. Odruchowo podniosła rękę do piersi.

– Dasz mi go? poprosił.

Zdjęła łańcuszek, a on wziął go i powiesił sobie na szyi.

– Teraz – powiedział – już zawsze będziesz ze mną.

W końcu pozwoliła mu odejść, bo wiedziała, że nie zdoła go powstrzymać. Wiedziała, że nie powinna nawet próbować.

– Mieczem wojował – powiedziała, patrząc w okno samolotu – i od miecza zginie. Pozwoliłam mu odejść. – Nie płakała. Czowała, że postąpiła słusznie, nie miała co do tego wątpliwości. Nie wytrzymałby procesu, skazania i pobytu w więzieniu.

John znalazł jej dłoń pod kocem i uścisnął ją.

Nie zawiadomił policji, kiedy wylądowali w Denver, ani godzinę później, kiedy znaleźli się już na lotnisku w Aspen. Meredith niemal chciała, żeby to zrobił – na pewno Erika ciągle jeszcze można było odnaleźć – ale w głębi serca była wdzięczna Johnowi za zrozumienie, jakie okazał. Zawsze ją rozumiał.

Jej samochód nadal stał przed gabinetem, dokładnie tam, gdzie go zostawiła poprzedniego dnia czyli niemal w innym życiu. John zawiózł ją do domu. Było bardzo ciemno i bardzo zimno. Meredith ciągle miała na sobie jego płaszcz przeciwdeszczowy. John otworzył drzwi jej kluczem. Weszła do środka.

– Muszę tu zostać – powiedział.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Tak, wiem – powiedziała bez wahania. – Ja... ja nie chcę być dzisiaj sama.

Kiwnął głową i zamknął drzwi.

– Pójdę do łóżka, dobrze? spytała, oddając mu płaszcz. No, może najpierw wezmę jeszcze gorący prysznic. Jestem bardzo zmęczona.

Znowu kiwnął głową. A potem uśmiechnął się słabo. Muszę zadzwonić powiedział. Rozumiesz?

Tak. Teraz już możesz. Naprawdę. Podeszedł do telefonu, a ona ruszyła w stronę schodów. Ale zatrzymała się nagle.

Co teraz będzie?

– Nie wiem – odparł. – Wiem tylko, że chcę cię znowu zobaczyć. Chcę z tobą być.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy. Mimo spokojnego tonu dostrzegła w nich prawdziwe uczucie. Ogarnęło ją dziwne ciepło. Zapomniała o zmęczeniu, smutku, wątpliwościach.

Ja też tego chcę – powiedziała nieśmiało.

John uśmiechnął się radośnie. Ten uśmiech rozświetlił jego twarz, jakby należała do małego chłopca. Meredith podeszła do niego. Objęli się bez słowa. Poczuli, że otwiera się przed nią pełna obietnic przyszłość.